tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 21 (1167)
16-22.05.2022
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

PROF. ANDRZEJ SZAHAJ
O KRYZYSIE LEWICY

PROF. MICHAŁ BRZEZIŃSKI
POLSKA BIEDA TO TABU

PEŁNOMOCNIK RZĄDU
– FUCHA JAK MARZENIE

NATALIA PRZYBYSZ
MUZYCZNE SPOTKANIE Z KORĄ

POLACY MAJĄ PRAWO SIĘ BAĆ

Drożyzna i wojna

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509-3115
21
9 771509 311201

eprasa.pl 7eed6e752a

Wisła

kwiecień – listopad 2022

FESTIWAL FILMÓW POLSKICH

Albania, Armenia, Azerbejdżan, Bangladesz
Chorwacja, Gruzja, Kazachstan, Kirgistan, Korea Płd.
Serbia, Tadżykistan, Turcja, Uzbekistan

www.festiwalwisla.pl

Finansowanie RP:

POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

Organizatorzy:

WSPIERAM! FUNDACJA

eprasa.pl 7eed6e752a

Jerzy Domański

Usprawiedliwiacze skandalu

Należało mu się. Trzeba rozumieć emocje Ukraińców. Tak najczęściej komentowany był przez polityków i powiązane z partiami media chamski atak na Siergieja Andriejewa, ambasadora Rosji, i delegację, która 9 maja chciała złożyć kwiaty na Cmentarzu Mauzoleum Żołnierzy Radzieckich w Warszawie. W miejscu, które oddaje hołd także Ukraińcom, którzy polegli w mundurach Armii Czerwonej. Wieńce składano tam od dziesiątków lat. Ale tym razem służby podległe ministrowi Kamińskiemu zrobiły wszystko, by doszło do międzynarodowego skandalu. Oblanie czerwoną farbą, plucie, szarpanie i popychanie ambasadora i delegacji przez grupę kobiet i mężczyzn przy całkowitej bierności policji jest złamaniem konwencji wiedeńskiej z 1961 r., która chroni dyplomatów na placówkach. Ambasador jest nietykalny. Ma immunitet. I to bez względu na to, jak krytycznie oceniamy wojnę w Ukrainie. Bardzo kompetentnie pisze o tym prof. Jan Widacki.

W państwach demokratycznych prawo do protestów i demonstracji jest oczywiste. Nie słyszę jednak, by na miejsca happeningów i przemocy wybierano cmentarze. To, co się stało w Warszawie, jest poniżej norm cywilizowanego świata. Jako jedyny spośród ważniejszych polityków rozumie to minister Zbigniew Rau, który uznał tę napaść za „incydent ze wszech miar godny ubolewania". To jednak odosobniony głos, bo reszta bredzi, że to ambasador, przychodząc na cmentarz, prowokował. Są tacy, którzy pytają, dlaczego nie było ochroniarzy z ambasady. Ktoś wyraźnie liczył na takie zwarcie. Dlaczego policjanci nie zareagowali na ten atak, choć byli bliziutko? Najbardziej kuriozalna jest opinia jednego z komentatorów, że ambasador Andriejew „prowokował, bo stał nieruchomo, i to przez dłuższy czas, pozując fotoreporterom". Prawda, że na trzeźwo trudno w takie słowa uwierzyć?

Na ambasadorze się nie skończyło. „Nieznani" sprawcy zaatakowali szkołę, do której chodzą dzieci dyplomatów rosyjskich. Z jednej strony, mamy niesprawne państwo, sobiepaństwo ministra Kamińskiego, który nie poniósł konsekwencji za brutalne pacyfikowanie przez policję Strajku Kobiet i robi, co chce, a z drugiej – ludzi, którym nienawiść tak ogranicza widzenie, że fakty dla nich się nie liczą.

Często słyszę zarzut, że ambasador Andriejew mówi tak jak jego rząd. W Polsce to się nie podoba. Ale jak ma mówić? Czy mamy w Warszawie choć jednego ambasadora, który nie wykonuje dyspozycji swojego rządu? Niedawno był taki. Polski ambasador w Czechach. Wyleciał po kilku tygodniach od nominacji. Bo coś bąknął o Turowie.

I jeszcze jedna sprawa. Delikatna, bo dotyczy Ukraińców w Polsce. Są tu gośćmi, a nie gospodarzami. Muszą o tym pamiętać. Chyba nie wymagamy zbyt wiele.

Z „Zemlianą na sztandarach" Ukraina do Unii Europejskiej nie wejdzie.

eprasa.pl 7eed6e752a

W NUMERZE

KRAJ

8 **Ziobro – słaby czy mocny?**
Kaczyński go nie wyrzuci

10 **Gabinet cieni**
Pełnomocnicy, czyli jak rząd dba o swoich

13 **Polacy mają prawo się bać**
– rozmowa
z dr hab. Mirosławą Huflejt-Łukasik

16 **Jak wyjść z biura, które jest w jadalni**
Praca zdalna do regulacji

20 **Polska bieda to tabu**
– rozmowa z dr. hab. Michałem Brzezińskim

54 **Architektury nie można wyłączyć**
– rozmowa z Marcinem Szczeliną

WOJNA W UKRAINIE

24 **Straty bezpowrotne**
Szanse na przeżycie na froncie

ZAGRANICA

26 **Wyborcza fortuna opuszcza konserwatystów**
Brytyjczycy oddali głosy

29 **Irlandzka noc jedności**
Sinn Féin przejmuje władzę

32 **Gazociąg trojański**
Korespondencja z Niemiec

36 **(Nie)realna inflacja**
Rośnie niezadowolenie w Turcji

OPINIE

38 **Piotr Kimla**
Niebezpieczeństwa wiktorii nad Rosją

40 **Andrzej Szahaj**
Kryzys lewicy

KULTURA

42 **W muzyce Kory czuć jej siłę**
– rozmowa z Natalią Przybysz

44 **Qulturalia**

46 **Bez podziału na oprawców i ofiary**
– rozmowa z Dénesem Nagyem

66 **Polityka w sztuce**

HISTORIA

48 **Zęby ze Stajni, bumerang i reszta**
Neandertalczyk na piedestale

NAUKA

52 **Błękitna krew, która ratuje życie**
Co zawdzięczamy skrzypłoczom

ZDROWIE

58 **Jedzenie, które wzmacnia**
Poprawiamy florę jelitową

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Usprawiedliwiacze skandalu

19 **Jan Widacki**
Prezent dla rosyjskiej propagandy

23 **Roman Kurkiewicz**
Zakaz czytania

35 **Tomasz Jastrun**
Nasze domowe lęki

45 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Tryb przypuszczający

51 **Wojciech Kuczok**
Chcesz w dziób?

42
KULTURA

W MUZYCE KORY CZUĆ JEJ SIŁĘ
– rozmowa
z Natalią Przybysz

54
KRAJ

ARCHITEKTURY NIE MOŻNA WYŁĄCZYĆ
– rozmowa
z Marcinem Szczeliną

58
ZDROWIE

JEDZENIE, KTÓRE WZMACNIA
Poprawiamy florę jelitową

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS (2), SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7eed6e752a

Na tropie Ciemiorków

Chciałem bardzo podziękować za notkę o książce poświęconej Ciemiorkom. Dla mnie samego była to pasjonująca lektura pokazująca różnorodne drogi kariery polskich lekarzy z jednego rocznika jednej uczelni. Zaletą i jednocześnie wadą tej książki jest skonstruowanie jej jako „portretu własnego”, czyli zbioru oryginalnych historii napisanych przez ich podmioty (to zaleta). Zabrakło w niej siłą rzeczy historii wielu kolegów,

Na tropie Ciemiorków

którzy wcześniej zmarli, w tym naszego prymusa prof. Krystiana Żołyńskiego, który wydoktoryzował bodajże ponad 70 ortopedów, czy dr. med. Mieczysława Błaszczyka, byłego wiceministra zdrowia, ale przede wszystkim wieloletniego znakomitego dyrektora Szpitala im. Grucy w Otwocku. Płk Ciemior miał swoją „drugą twarz”, którą był szef kursu – chor. Bolesław Sąsiadek. Bolek, jak go za plecami nazywaliśmy, zawsze mówił: „Pułkownik jest waszym ojcem, a ja to jestem wasza matka”. I rzeczywiście, zawsze można było do niego przyjść. Dusza człowiek. Był synem osadnika wojskowego na Kresach i jako chłopiec został przez Rosjan w 1939 r. wywieziony na Syberię do rąbania lasów. Skończył tylko kilka klas szkoły podstawowej. Udało mu się dostać do dywizji Berlinga, z którą przeszedł szlak od Lenino do Berlina. Miał całą pierś odznaczeń i nad nimi dwie gwiazdki. Kiedyś wspomniałem o tym w obecności jakiegoś prawicowca, a ten zawołał: „P… komunista!”. Nie wytrzymałem i choć byliśmy na pan odpowiedziałem: „Czy ty wiesz, durniu, co znaczą gwiazdki nad baretkami u żołnierza? Nie wiesz! Bo gdybyś miał pojęcie, tobyś wiedział, że żołnierz taką gwiazdkę dostaje za ranę odniesioną w boju. Jeśli przeżyje”.

Prof. Wiesław Wiktor Jędrzejczak, Ciemiorek

Dlaczego lewica nie prowadzi własnej polityki historycznej?

Obecna kawiorowa lewica po prostu wstydzi się lat 1945-1989. Młodsi działacze lewicy już zostali zindoktrynowani nowymi wersjami historii, które pojawiały się po 1989 r., czyli kato-narodowo-prawicową papką historyczną. To raz. Dwa – obecni kreatorzy polityki historycznej są zbyt mocni politycznie, żeby lewica mogła cokolwiek zdziałać. Trzy – wszelka próba rzeczowej polemiki z kreatorami nowych wersji historii kończy się zakrzyczeniem kwestionującego jakże merytorycznymi epitetami:

OPINIE

JAKA HISTORIA JEST NAM POTRZEBNA

Dlaczego lewica nie prowadzi własnej polityki historycznej?

Narracja IPN nie napotyka prawie żadnego intelektualnego oporu lewej strony sceny politycznej

August Grabski

resortowe dziecko, komunista, potomek ubeków, antypatriota itd. Taki sposób prowadzenia dyskusji prawica ma opanowany do perfekcji i nawet najtęższy umysł, gdyby z dowodami w ręku chciał zaprzeczyć kreowanym „faktom”, i tak zostanie zakrzyczany najpierw przez „specjalistów” od historii, a potem w ramach owczego pędu przez odbiorców papki historycznej.

Michał Czarnowski

•

Niestety, lewicy ani się nie chce, ani nie potrafi – to intelektualne miernoty. Szkoda – można liczyć jedynie na lewicowych publicystów i naukowców.

Wojciech Szymborski

ZDJĘCIE TYGODNIA

Mieszkanki wsi Majaki na linii frontu w Ukrainie wschodniej odebrały emerytury dostarczone przez pocztę ukraińską.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 7eed6e752a

Adam Michnik, redaktor naczelny „Gazety Wyborczej", otrzymał za całokształt działalności Nagrodę im. Gilela Storcha przyznawaną przez szwedzką organizację Judisk Kultur osobom, których działalność przyczyniła się do propagowania wartości demokratycznych, uniwersalnych i humanistycznych.

Jolanta Kwaśniewska została uznana za Osobowość Dekady. W czasie gali odbyła się również licytacja na rzecz Fundacji Porozumienie bez Barier Jolanty Kwaśniewskiej na rzecz wsparcia Ukrainy.

„Portret damy" Ewy Juszkiewicz został sprzedany na aukcji charytatywnej Christie's w Nowym Jorku za 1,56 mln dol.

Bogusław Barnaś, BXBstudio, dostał podwójną nagrodę A' Design Award za realizację Polskiej Zagrody oraz Małopolskiej Chaty Podcieniowej.

Ponad 15 tys. wolontariuszy z Polski, Czech i Niemiec w ciągu 10 dni zebrało 7,5 tys. worków odpadów, ponad 120 ton, w ramach Akcji Czysta Odra.

Około 7,5 mln sztuk dużego AGD kupili Polacy w 2021 r., wydając na nie ponad 10 mld zł.

Nieprzypadkowy jest masowy atak prawicowych mediów i polityków na papieża Franciszka za słowa w wywiadzie dla „Corriere della Sera". Garstka to przeczytała i zrozumiała, a zmanipulowane miliony hejtują papieża. A rozum gdzie?

243 osoby poniosły śmierć w 2021 r. wskutek wypadku przy pracy, a 681 osób doznało ciężkich obrażeń ciała (raport Głównego Inspektoratu Pracy).

Nie tylko inflacja w Polsce rośnie. **W 2020 r. prokuratura wytropiła 130 osób, które obraziły uczucia religijne współobywateli.** Z raportu Ordo Iuris wynika, że jesteśmy krajem, w którym chrześcijanie są dyskryminowani i szykanowani.

Szykujmy się na mordercze strzelaniny w szkołach, uczelniach i innych miejscach, gdzie jest więcej ludzi. **Transferu amerykańskich problemów do Polski domagają się środowiska prawicowe, które chcą powszechnego dostępu do broni. Dziś w rękach Polaków jest już 658 tys. egzemplarzy broni.**

Zamiast dozwolonej prędkości 50 km/godz. 36-letni wrocławianin pędził bmw 180 km/godz. I to bez prawa jazdy. Trafił do sądu, zapłaci mandat w wysokości 2,5 tys. zł i dostanie 10 punktów karnych.

Młodzież ze Świętokrzyskiego pije najwięcej i najczęściej w Polsce. Ma z kogo brać przykład. W 2020 r. wydano w tym województwie na alkohol 1,05 mld zł.

PRZEBŁYSKI

„Gazeta Polska". Klęski na wokandzie

Jak się ma od spółek skarbu państwa kasy jak lodu (sprzed globalnego ocieplenia), to co tydzień trzeba komuś dokopać. Najchętniej przeciwnikowi dojnej zmiany. „Gazeta Polska" sponiewierała Włodzimierza Cimoszewicza, drukując kłamstwa o leśniczówce, i Wojciecha Fiłonowicza. A także wielu innych, którzy czekają na wyroki sądowe. Na razie pokazujemy urobek „Gazety Polskiej" w kłamaniu (tylko z 11 maja). Jeszcze jeden powód, by sądy zaorać?

OŚWIADCZENIE

Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o.o. – Wydawca „Gazety Polskiej", Redaktor Naczelny – Tomasz Sakiewicz i Jacek Liziniewicz – autor artykułu „Cimoszewicz dewastator", opublikowanego w nr. 13 „Gazety Polskiej" z 27 marca 2019 r., przepraszają Pana Włodzimierza Cimoszewicza za dokonane wskutek publikacji tego artykułu naruszenie jego dóbr osobistych w postaci dobrego imienia i czci poprzez podanie nieprawdziwej informacji, że Pan Włodzimierz Cimoszewicz zdewastował mienie Lasów Państwowych.

Przepraszamy Wojciecha Fiłonowicza za umieszczenie w artykule pt. „Tajemnice Trójki z Białegostoku. ZWOLNIENIA OD SEKSUOLOGA, PSYCHIATRY, ORTOPEDY I WNIOSKI O NAGRODY" informacji nieprawdziwych, danych wrażliwych oraz treści naruszających dobre imię i godność Wojciecha Fiłonowicza.

Wystarczyło zostać

Bez przesady można o nim powiedzieć Bartek Wędrowniczek. Zanim, jako wynalazek Waszczykowskiego, trafił do MSZ, związany był m.in. z BBN, PISM, Ośrodkiem Karta. W Rosji robił za rzecznika prasowego polskiej ambasady. Doradzał szefowi Agencji Wywiadu. Gdy w końcu Bartosz Cichocki został ambasadorem w Ukrainie z nominacji Czaputowicza, szybko wpadł w tarapaty. Jeszcze w styczniu był u ministra Raua na krótkiej liście ambasadorów do wymiany („Do Reczy"). Nie zdążyli go odwołać, bo wybuchła wojna. Cichocki na wszelki wypadek nie wyjechał z Kijowa. Ubrany w koszulkę Szachtara Donieck zapraszał do ambasady chętnych na szklaneczkę whisky. I na pogaduchy o Legii. Przedstawiciele niezwyciężonego NATO pouciekali z Kijowa, a on został. I teraz jako bohater wojenny jest nie do ruszenia.

Wildstein za rozwiązaniem Unii

Każdy może sobie wybrać takiego wieszcza, jaki mu pasuje. Nawet z urody. Są też tacy, którzy patrzą na wieszcza pod kątem głębi myśli wypuszczanych przez niego w świat. Czekają więc na komunikaty proste jak osławiona konstrukcja cepa.

Proza Bronisława Wildsteina do klarownych z pewnością nie należy. Co dla dojnej zmiany jest dużym atutem. Bo im mniej ludzie rozumieją, tym bardziej autora hołubią.

Ale i Wildsteinowi zdarzają się przebłyski. Może nie tyle myśli, ile czarnego humoru: „Wojna w Ukrainie jest ostatnim momentem dla likwidacji obecnego kształtu Unii po to, aby uratować Europę i Zachód jako cywilizację" („Sieci").

FOT. TWITTER, YOUTUBE, ARCHIWUM

eprasa.pl 7eed6e752a

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | W czasach dwucyfrowej inflacji lepiej oszczędzać czy wydawać?

ŁUKASZ KOMUDA,
ekonomista, Fundacja Inicjatyw Społeczno-Ekonomicznych

Moi rodzice stracili większość środków, które gromadzili. Były książeczki mieszkaniowe założone na mnie i moją siostrę, a potem fundusze inwestycyjne. Żona dała się złapać na haczyk polisolokat. Udało im się uniknąć Amber Goldu, Foreksu i kryptowalut. Ich wnioski? Długoterminowo trudno uniknąć pułapek. I ostatnią osobą, której rad należy słuchać, jest doradca finansowy czy pracownik banku. „Wydawaj wszystko, co zarabiasz, a gdy pojawi się nagła potrzeba – weź kredyt"? Cóż, moja krewna straciła w ten sposób dom. W czasach wysokiej inflacji młodym ludziom radziłbym wydawać (najlepiej na rozwój swoich kompetencji). A starszym – nie odmawiać sobie zbyt wiele, a oszczędności dywersyfikować, choćby wybierając różne waluty czy obligacje. Wszystkim zaś radzę unikać superokazji i inwestowania w coś, czego mechanizmów nie rozumieją.

DR MIRA MARCINÓW,
psycholożka, filozofka, pisarka

Sądzę, że w perspektywie długoterminowego wzrostu inflacji – a mówimy o prognozach schodzenia z inflacją do pożądanego poziomu około roku 2026 – powinniśmy, o ile tylko pozwala nam na to sytuacja finansowa, zadbać przede wszystkim o prywatne poczucie bezpieczeństwa finansowego. Innymi słowy, musimy sobie odpowiedzieć na pytanie, co indywidualnie i niekrótkowzrocznie może mi pomóc poczuć się bezpiecznie w czasach kryzysu. Dla jednych będzie to nadpłata kredytu, dla drugich pozostawienie sobie poduszki finansowej. Bo mimo że inflacja podjada nasze oszczędności, zdajemy sobie sprawę, żyjąc w kraju przyfrontowym, że nie jest to jedyne zagrożenie. Oczywiście mówię o osobach, które mają co oszczędzać i co wydawać, czyli mających pewną płynność finansową. Myślę, że każdy sam musi obecnie przyjrzeć się swojej „prywatnej inflacji" – nawet jeśli nie chce „oszukiwać" wzrostu cen – i przy okazji lepiej sobie uświadomić swoje dotychczasowe wybory konsumenckie.

DR MACIEJ SZLINDER,
filozof, socjolog i ekonomista, Razem

Państwo ma obowiązek ograniczać skutki inflacji uderzające w ludzi. Musi zatem wydawać. Potrzebujemy dodatków osłonowych, konieczne są podwyżki emerytur i płac w sektorze publicznym. Państwo musi również wydawać na inwestycje, które zmniejszają zależność naszej gospodarki od monopoli i oligopoli (surowcowych, deweloperów) – to ona jest jedną z głównych przyczyn wysokiej inflacji. Nie można zatem oszczędzać na budowie mieszkań – przyjazd uchodźców z Ukrainy uwidocznił i pogłębił problem, z którym borykamy się od wielu lat. Nie można oszczędzać też na transformacji energetycznej – bez niej nasza zależność od eksporterów paliw będzie trwać, a wysokie ceny energii będą utrzymywać wysoką inflację.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 7eed6e752a

Robert Walenciak

ZIOBRO – słaby czy mocny?

Kaczyński go nie wyrzuci. A dlaczego?

Za poparcie wyboru Adama Glapińskiego na drugą kadencję posłowie Solidarnej Polski wystawili PiS rachunek. Nz. Janusz Kowalski i Zbigniew Ziobro. 12 maja 2022 r.

Ziobro – słaby jest czy mocny? Cóż za pytanie! Niektórzy twierdzą nawet, że jest wszechmocny, że to on trzyma Zjednoczoną Prawicę w uścisku, że ogon kręci psem. Wielka to przesada.

Można spokojnie założyć, że wpływy Zbigniewa Ziobry osiągnęły apogeum 12 maja, gdy Sejm głosował za drugą kadencją Adama Glapińskiego na stanowisku prezesa NBP. Dla Jarosława Kaczyńskiego było to głosowanie kluczowe. Bo oznaczało, że przez najbliższe sześć lat – w polskiej polityce to wieczność – kontrolę nad polskimi bankami i złotówką sprawować będzie jego zaufany człowiek. Dlatego przygotowywał się do tego głosowania przez kilka miesięcy, gromadził szable i był gotów za poparcie dla Glapińskiego zapłacić naprawdę wiele. Z tego powodu tak ważne było dla niego poparcie Solidarnej Polski – dziś mającej 20 posłów. Glapiński wisiał na Ziobrze. Ale już nie wisi, bo został wybrany.

Czym Kaczyński za to poparcie zapłacił? Sejm wybrał nową Krajową Radę Sądownictwa i wśród jej nowo wybranych członków jest duża grupa sędziów związanych z Ziobrą. Mamy zatem pierwszą transzę. A co dalej? Tego będziemy się dowiadywać w najbliższych dniach. Wakaty są w samym NBP, w Radzie Polityki Pieniężnej i w zarządzie, nie byłoby dziwne, gdyby trafili tam ludzie z poparcia Solidarnej Polski. Poza tym świat spółek skarbu państwa, banków kontrolowanych przez państwo oraz fundacji nie jest mały. I jest otwarty na potrzeby „racji stanu".

Trudniej natomiast do tej ceny dołożyć transfer posłanki Anny Siarkowskiej. Od czwartku 12 maja – 20. szabli Solidarnej Polski. Siarkowska była w klubie PiS reprezentantką skrajnej grupy, liderką przeciwników covidowych obostrzeń, więc pożegnano się z nią bez żalu.

Inaczej należy ocenić otwarcie telewizji publicznej dla ziobrystów. Przedstawiciele Solidarnej Polski nie wychodzili z programów TVP, głosili tam bez skrępowania swoje poglądy. Uznajmy to za grę prezesa Kurskiego – przeciwko Dudzie i Morawieckiemu. I w imię wzmocnienia swojej pozycji.

•

Ale to wszystko drobiazgi w porównaniu z innymi pytaniami, które pozwalają ocenić siłę Ziobry. Po pierwsze, jaki będzie los Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego, której likwidacja jest warunkiem odblokowania miliardów dla Polski w ramach Krajowego Planu Odbudowy? Po drugie, czy rosną w Polsce nastroje antyunijne, na których płynie Solidarna Polska? I po trzecie, czy Kaczyński zdymisjonuje Ziobrę i wyrzuci go z koalicji?

Zacznijmy od Izby Dyscyplinarnej. Sprawa toczy się od lipca (sic!) 2021 r. Wtedy to, po wyroku Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen sformułowała trzy warunki, które Polska musi spełnić, by odblokowane zostały unijne pieniądze. Bagatela – ponad 58 mld euro!

Te warunki były proste – likwidacja Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego, zmiana systemu dyscyplinowania sędziów oraz przywrócenie do pracy sędziów nieprawnie wyrzuconych.

Żądania nie są wygórowane, to jedynie implementacja wyroku TSUE (Polska płaci 1 mln euro dziennie za jego niewykonanie). Tymczasem Zjednoczona Prawica miesiącami sprawę odwlekała i nie potrafiła ruszyć jej do przodu. Hamulcowy był jeden – Zbigniew Ziobro. Przyjęcie wyroku TSUE oznaczało demontaż jego „reformy" wymiaru sprawiedliwości, powrót sędziów, z którymi walczył, kłopoty sędziów, na których stawiał. No i jego kompromitację po prawej stronie sceny – jako człowieka, który przegrał.

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

eprasa.pl 7eed6e752a

Solidarna Polska postawiła więc weto wobec zaleceń Unii. Tylko że kruszy się ono na naszych oczach. Powody są dwa. Po pierwsze, Polska jest w kłopotach gospodarczych, pieniądze z KPO są potrzebne jak nigdy. Zwłaszcza że nie są małe. Skrajną głupotą byłoby z nich rezygnować.

Po drugie, mamy wojnę rosyjsko-ukraińską, a to zmienia perspektywę polityczną. Jeszcze parę miesięcy temu można było traktować Zachód i Unię Europejską jako zagrożenie, knuć z Marine Le Pen i z Viktorem Orbánem. Dziś sytuacja jest inna. Kluczowa stała się jedność Zachodu, współdziałanie Unii i USA. Wszystko, co tę jedność rozbija, jest podejrzane. I nieakceptowane przez wyborców. To zresztą świetnie widać – w Ameryce demokraci ramię w ramię z republikanami głosują za miliardowym pakietem pomocy dla Ukrainy. W Europie ta rzekomo chytra Unia nie szczędzi dodatkowych pakietów pomocy dla Kijowa. Wyborcy nie protestują! Prawicowi populiści, którzy afiszowali się z niechęcią do Brukseli i sympatią dla Putina, zaczynają przegrywać wybory. Owszem, Orbán wygrał, ale to inny przypadek. W Słowenii przegrał Janša, a we Francji – Le Pen. Macron zdruzgotał ją podczas debaty telewizyjnej, wypominając jej pożyczki, które brała z rosyjskiego banku, i mówiąc, że rozmawia z Putinem jak ze swoim bankierem.

Tak to wojenny przymus jedności Zachodu zmienił sytuację Ziobry. Bo, z jednej strony, i Morawiecki, i Duda zaangażowali się w jak najszybsze rozwiązanie sprawy Izby Dyscyplinarnej. To właśnie projekt Dudy likwidujący Izbę Dyscyplinarną jest w Sejmie i posłowie nad nim deliberują, a wkrótce pewnie będą głosować. A z drugiej – jest coś takiego jak klimat społeczny. Dziś Polacy bardzo wysoko cenią sobie jedność Zachodu, NATO, Unię, czują się bardziej niż przedtem częścią zachodniego świata. Partia, która to neguje – traci. A przecież na niechęci do Zachodu, do Niemiec, do osób LGBT Ziobro budował swoją pozycję. Szło mu to nie najgorzej, myślę, że miał większe wpływy w społeczeństwie niż ten 1%, który dawały mu sondaże. Tylko że wojna odcięła mu prąd.

To widać, wystarczy Ziobry posłuchać. Oto, co mówił na konferencji prasowej: „Dziś na skutek szantażu ze strony KE pan prezydent zdecydował się rozwiązać tę sytuację konfliktu, przedstawiając kolejny projekt, który zmienia jego własny projekt. I co do zasady, mógłbym powiedzieć, że nie bylibyśmy gotowi głosować za tym rozwiązaniem, gdyby nie nadzwyczajne okoliczności, w jakich znajduje się dzisiaj Polska, związane z konfliktem za naszą wschodnią granicą, z bardzo poważnymi zagrożeniami gospodarczymi. To wszystko, razem wziąwszy, wymaga odpowiedzialności. W imię właśnie tych racji wyszliśmy naprzeciw oczekiwaniom koleżanek i kolegów z PiS i zbliżamy się do zawarcia kompromisu. Jesteśmy bardzo blisko".

Innymi słowy, ogłosił rejteradę, na całym odcinku. Bo wprawdzie Unia „szantażuje" i prezydent Duda temu ulega, ale są „nadzwyczajne okoliczności", które powodują, że trzeba ustąpić.

A rząd musi być pewny swego, skoro w piątek, 13 maja, Polska zawarła z Komisją Europejską (tam też króluje przekaz o potrzebie jedności Zachodu) porozumienie w sprawie odblokowania KPO. Polska przyjmuje w nim trzy warunki Ursuli von der Leyen i teraz tylko muszą one się znaleźć w procedowanej w Sejmie ustawie.

Dodajmy do tego jeszcze jeden element – w sprawie ustawy o Izbie Dyscyplinarnej poparcie Solidarnej Polski nie jest specjalnie potrzebne. A to z tej przyczyny, że PSL zapowiada wstrzymanie się od głosowania. Obniży to próg głosów potrzebny do przyjęcia ustawy.

•

Odpowiedzmy zatem jeszcze na pytanie, czy Kaczyńskiemu nie byłoby łatwiej tak kłopotliwego koalicjanta po prostu wyrzucić z rządu. Otóż – nie. Bo wtedy PiS musiałoby szukać koalicjantów do kolejnych głosowań, z których część by przegrywało, a to ośmieszałoby premiera i samego Kaczyńskiego. Poza tym na prawicy mielibyśmy wojnę – bo Solidarna Polska, skazana na samodzielny start, wyrąbywałaby sobie miejsce na scenie politycznej. Jak? Atakując PiS.

Ziobro w rządzie jest dziś najlepszym rozwiązaniem dla Kaczyńskiego. Jako prokurator generalny z punktu widzenia interesów PiS zachowuje się bez zarzutu. Spójrzmy, co dzieje się z najgłośniejszymi śledztwami, jak są prowadzone, umarzane – odpowiedź będzie tu oczywista. Poza tym zapewnia głosy w Sejmie, nie atakuje rządzących i jednocześnie zbiera głosy skrajnych wyborców, którzy mogliby odejść do Konfederacji. A że temu dobremu, z punktu widzenia PiS, rozwiązaniu towarzyszą różne pyskówki? To żadna cena.

Zwłaszcza że teraz, po ostatnim ważnym głosowaniu (Glapiński), czas pracuje na korzyść Kaczyńskiego. Niedługo głosowanie nad wnioskiem o wotum nieufności wobec Ziobry. Bez poparcia PiS nie ma on szans przeżycia. A potem będzie jesień i powoli zaczniemy wchodzić w okres układania list wyborczych. I nagle Ziobro i jego ekipa staną się mało potrzebni, ich cena będzie spadać. Szczególnie gdy staną twarzą w twarz z politykami PiS walczącymi o miejsca na liście. Zbigniew Ziobro nagle stanie się tym, który nie potrafił przez osiem lat przeprowadzić reformy sądownictwa i nic poza kłopotami polskiej prawicy nie przyniósł. Nie będzie mógł stawiać żądań, będzie musiał prosić. Do tej ścieżki właśnie się zbliżył.

Przedstawiciele Solidarnej Polski nie wychodzili z programów TVP, głosili tam swoje poglądy. Uznajmy to za grę Kurskiego – przeciwko Dudzie i Morawieckiemu.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7eed6e752a

Marek Czarkowski

Gabinet cieni

Pełnomocnicy, czyli jak rząd Morawieckiego dba o swojaków

Na stronie internetowej www.gov.pl jest licząca ponad 60 pozycji lista pełnomocników rządu i prezesa Rady Ministrów do spraw różnych. Dla jednych to gabinet cieni dublujący pracę rządu, dla drugich – „odstojnik" dla towarzyszy partyjnych, którzy chwilowo znaleźli się na uboczu głównego nurtu polityki, oraz ciepła posadka dla niektórych koalicjantów.

W założeniach Rada Ministrów może powołać pełnomocnika rządu, by zajął się konkretną sprawą, którą niekoniecznie musi się trudzić odpowiedzialny minister. Pełnomocnikowi przysługują: gabinet, samochód z kierowcą, sekretarka, diety na delegacje i środki na inne wydatki związane z pełnioną funkcją.

W odpowiedzi na interpelacje poselskie dotyczące wysokości wynagrodzenia pełnomocników powtarzana jest formuła, że oni nic nie kosztują, bo to funkcja, a nie stanowisko. I jest to prawdą w odniesieniu do urzędujących sekretarzy stanu. Poseł lub senator, który zostaje pełnomocnikiem rządu lub premiera, ma rangę sekretarza stanu i może liczyć na dodatki.

Bywa tak, niejednokrotnie, że zadania powierzone pełnomocnikom rządu dublują się z obowiązkami wiceministrów. Co jednak nie prowadzi do konfliktów personalnych, gdyż zainteresowani wiedzą, że pełnomocnik to nie samodzielna figura, lecz synekura. Często niezwykle barwna figura… i zawsze kosztowna.

Wojaże senator Anny Marii Anders

W poprzedniej kadencji Senatu córka gen. Władysława Andersa została pełnomocnikiem prezesa Rady Ministrów ds. dialogu międzynarodowego. Piastowała tę funkcję w latach 2016-2019, by następnie zostać ambasadorem RP we Włoszech.

Dzięki dociekliwości posłów składających liczne interpelacje dotyczące aktywności pani senator oraz kosztów jej zagranicznych wojaży wiemy, że te podróże służbowe w latach 2016-2018 obciążyły budżet państwa kwotą 611 625 zł. Do tego musimy doliczyć 51 tys. zł nagrody za rok 2017. Kontrowersje wzbudził zwłaszcza fakt, że pani senator latała klasą biznes.

Jako pełnomocnik Anna Maria Anders ożywiała i zacieśniała kontakty z partnerami zagranicznymi „istotnymi z punktu widzenia interesów Polski". Byli wśród nich nieżyjący już senator John McCain, kongresmeni: Steven Russell z Oklahomy, Dennis Ross z Florydy, Marcy Kaptur z Ohio czy Steve King z Iowa. Lista amerykańskich oficjeli, którzy ściskali dłonie i fotografowali się z córką gen. Andersa, jest znacznie dłuższa.

Stany Zjednoczone były ulubionym kierunkiem podróży wdowy po oficerze US Army Robercie Coscie. Na przykład między 7 a 18 lipca 2017 r. pani senator spotkała się z burmistrzem Las Vegas i miała wykład w tamtejszym World Affairs Council; inna persona, z którą się spotkała, to senator Marco Rubio, poza tym wzięła udział w Paradzie Pułaskiego w Nowym Jorku, uroczyście otworzyła wystawę „Armia Andersa-Szlak Nadziei" w ramach 39. Polish American Festival, a w Buffalo Club wystąpiła z wykładem „Contemporary Polish Relations with USA, UE and Polonia" (Współczesne stosunki Polski z USA, UE i Polonią).

Kolejna tura spotkań na terenie Stanów Zjednoczonych miała miejsce między 23 września a 8 października 2017 r. Z ważniejszych wydarzeń należy wymienić Dzień Polski w Central Parku na Manhattanie, spotkanie z burmistrzami Reno i Las Vegas oraz uhonorowanie Briana Sandovala, gubernatora stanu Nevada, nagrodą Amicus Poloniae.

Natomiast 20 dni później, między 27 października a 11 listopada 2017 r., Anna Maria Anders uczestniczyła w 17. Uroczystej Gali Nowodworski Foundation jako honorowa przewodnicząca komitetu fundacji oraz wzięła udział w konferencji naukowej „Refleksje nad wiekiem spustoszenia" zorganizowanej przez Fundację Pamięci Ofiar Komunizmu w 100. rocznicę rewolucji bolszewickiej. Szczegółowy wykaz podróży pani senator w latach 2016-2018 znajdziemy w jej odpowiedziach na zapytania posłów.

Gdy w 2019 r. córka gen. Andersa, szykując się do objęcia stanowiska ambasadora RP we Włoszech, zrezygnowała z zaszczytnej funkcji pełnomocnika, premier Morawiecki powołał na jej miejsce posłankę PiS Annę Schmidt-Rodziewicz, która otrzymała też stanowisko sekretarza stanu w KPRM. Ucichły plotki o wojażach, uroczystych balach, sutych kolacjach i bizantyjskich wydatkach. Dziś Anna Schmidt jest sekretarzem stanu w resorcie rodziny i polityki społecznej i mało kto się nią interesuje.

Lista pełnomocników rządu i prezesa Rady Ministrów do spraw różnych liczy ponad 60 pozycji.

Błyskotliwa kariera kierowcy

Cezariusz Lesisz, prezes Agencji Rozwoju Przemysłu, w czerwcu 2018 r. został powołany przez premiera Mateusza Morawieckiego na pełnomocnika ds. rozwoju gospodarczego. W latach 1982-1987 był on osobistym sekretarzem i kierowcą Kornela Morawieckiego oraz jednym z założycieli Solidarności Walczącej.

W 1989 r. wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. Jednak nie udało mu się urzeczywistnić swojego

eprasa.pl 7eed6e752a

Marcin Horała jest pełnomocnikiem rządu ds. centralnego portu komunikacyjnego. Pieniądze płyną, a na planowanej budowie nic się nie dzieje.

„amerykańskiego snu". Źli ludzie opowiadają, że prowadził małą firmę remontowo-budowlaną, która upadła, a on sam po 20 latach wrócił do ojczyzny. Tu założył nową firmę, mającą budować drewniane domy, ale i ten biznes Lesiszowi nie wypalił.

W latach 2016-2017 ekskierowca Kornela Morawieckiego został jego asystentem poselskim, a w roku 2017 awansował na szefa gabinetu politycznego Mateusza Morawieckiego, który jeszcze jako minister finansów powołał go na stanowisko pełnomocnika ds. kontaktów z parlamentem i organizacjami społecznymi. Gdy Morawiecki syn został premierem, Lesisz zajął specjalnie utworzone nowe stanowisko – pełnomocnika prezesa Rady Ministrów ds. rozwoju gospodarczego. We wrześniu 2018 r. Cezariusz Lesisz został prezesem Agencji Rozwoju Przemysłu. I wszyscy by o nim zapomnieli, gdyby nie pandemia oraz rządowy program „Polskie Szwalnie".

Zrobiło się o nim głośno w ubiegłym roku, gdy w mediach pojawiły się informacje o uszytych za 258 mln zł 178 mln maseczek, z których większość nie spełniała norm sanitarnych. Koordynatorem feralnego programu była Agencja Rozwoju Przemysłu. I tak prezes Lesisz znalazł się w krzyżowym ogniu pytań, podejrzeń i supozycji. Posłowie opozycyjni złożyli w Sejmie kilkanaście interpelacji. Interesowało ich, ile pieniędzy poszło na narodowe szycie maseczek. Kto uczestniczył w tym procederze i czy ktoś poniósł konsekwencje. Nie poznali prawdy. Urzędnicy z godnością odpowiadali, że szczegóły umów objęte są tajemnicą handlową. A poza tym wszystko odbyło się zgodnie z prawem. Sprawą zajęła się Najwyższa Izba Kontroli, która na początku bieżącego roku wezwała na rozmowę szefa KPRM Michała Dworczyka i marszałek Sejmu Elżbietę Witek, która miała lobbować za jedną z prywatnych firm, zainteresowaną udziałem w tym jakże dochodowym programie. A potem wybuchła wojna w Ukrainie i o maseczkach zapomniano. Zapewne jednak inspektorzy NIK ujawnią w przyszłości więcej pikantnych szczegółów programu „Polskie Szwalnie". Szkoda, że nie będzie to miało większego znaczenia. Generalnie o efektach poczynań Lesisza jako pełnomocnika prezesa Rady Ministrów ds. rozwoju gospodarczego niewiele wiadomo. I tak pewnie zostanie.

Niezatapialny

Wśród w większości pozbawionych charyzmy pełnomocników rządu i premiera zdarzają się postacie wyjątkowe. Ich wpływ na gospodarkę i politykę jest większy, niż wynikałoby to z zajmowanej funkcji. Od listopada 2015 r. sekretarzem stanu w KPRM oraz pełnomocnikiem rządu ds. strategicznej infrastruktury energetycznej jest Piotr Naimski. Działacz Komitetu Obrony Robotników i NSZZ Solidarność, potem w ZChN, Ruchu Odbudowy Polski i Ruchu Katolicko-Narodowym. Nie dość, że pełni swoją funkcję od prawie siedmiu lat, to jeszcze uchodzi za architekta zmian w polskiej energetyce, gazownictwie i branży paliwowej. Naimski od zawsze głosił potrzebę uniezależnienia się od dostaw rosyjskich surowców energetycznych. Był promotorem budowy gazoportu w Świnoujściu, gazociągu Baltic Pipe i opowiadał się za budową elektrowni atomowych w Polsce.

Nie obchodzą go bieżące walki buldogów pod dywanem, interesuje go strategia. Prezentuje pogląd, że bezpieczeństwo naszego kraju będzie zapewnione tylko wtedy, gdy zerwiemy z Kremlem i umocnimy sojusz ze Stanami Zjednoczonymi. Wojna w Ukrainie potwierdziła wiele głoszonych przez niego tez.

Zadania powierzone pełnomocnikom rządu często dublują się z obowiązkami wiceministrów.

A ponieważ nie podejmuje on żadnych decyzji personalnych ani nie prowadzi działalności gospodarczej, jest wolny od powszechnych w środowisku Zjednoczonej Prawicy podejrzeń o kumoterstwo, nepotyzm i sprzedajność. Za to ceni go Jarosław Kaczyński. I jak długo prezes będzie miał wpływ na partię i rząd, Naimski może być spokojny o swoją pozycję.

Soboń dobry na wszystko

Artur Soboń to polityk uniwersalny. Zdaniem premiera Morawieckiego sprawdza się na każdym

FOT. PIS NA KSIĘŻYC

eprasa.pl 7eed6e752a

stanowisku. Był sekretarzem stanu w Ministerstwie Inwestycji i Rozwoju, potem w Ministerstwie Funduszy i Polityki Regionalnej. Po wyborach 2019 r. trafił do Ministerstwa Aktywów Państwowych i został pełnomocnikiem rządu ds. transformacji spółek energetycznych i górnictwa węglowego.

Miał dużo szczęścia. W 2020 r. sytuacja w polskich kopalniach była fatalna, lecz wszystko można było zwalić na pandemię. Poza tym w ramach kolejnych tarcz antykryzysowych rząd wpompował w spółki węglowe sporo pieniędzy, więc z wypłatą pensji nie było problemów. Rok później ceny węgla ruszyły w górę i górnicza brać poczuła moc. Artur Soboń jako wiceminister i pełnomocnik prowadził rozmowy ze związkowcami. Prochu nie wymyślił, ale też niczego nie popsuł. W październiku ub.r. przeniósł się do resortu rozwoju i technologii i został pełnomocnikiem rządu ds. rozwoju lokalnego. A na początku tego roku, po kompromitacji Polskiego Ładu, trafił do resortu finansów, by zrobić tam porządek. Zobaczymy, jak mu pójdzie.

Cezariusz Lesisz – osobisty sekretarz i kierowca Kornela Morawieckiego – został pełnomocnikiem premiera ds. rozwoju gospodarczego.

Dworczyk, Horała i inni

Gdyby nie afera mejlowa, Michał Dworczyk, szef KPRM, miałby szansę zostać kandydatem prawicy na prezydenta RP w wyborach 2023 r. Do niedawna uchodził za sprawnego organizatora, ale nie tylko poległ na fatalnym przecieku, lecz także nie poradził sobie z funkcją pełnomocnika rządu ds. narodowego programu szczepień przeciw SARS-CoV-2. Nie dość, że Polacy nie chcieli się szczepić, to jeszcze rząd kupił za dużo szczepionek i w magazynach zalega 25 mln dawek. Co gorsza, czeka nas dostawa kolejnych 67 mln dawek, za które powinniśmy zapłacić 6 mld zł koncernowi Pfizer. I które, jeśli nie znajdzie się rozwiązanie, zostaną zmarnowane, bo Polacy nadal nie chcą się szczepić.

Trwa szukanie winnych. Jedni wskazują Dworczyka – jako pełnomocnika rządu – drudzy ministra zdrowia Adama Niedzielskiego. Czas pokaże, kto zostanie rozliczony.

W równie mało komfortowej sytuacji znalazł się Marcin Horała, który jest pełnomocnikiem rządu ds. centralnego portu komunikacyjnego. W ramach pierwszego etapu port miałby obsługiwać 40 mln pasażerów rocznie i stworzyć 150 tys. nowych miejsc pracy. Wartość inwestycji szacowana jest obecnie na 35 mld zł, choć zdaniem NIK należy przeprowadzić rzetelną analizę kosztów i korzyści.

Posłowie opozycji zwracają uwagę, że pieniądze płyną (tylko do końca 2020 r. nakłady na CPK wyniosły ok. 96,5 mln zł), a na planowanej budowie nic się nie dzieje. Za to mnożą się wątpliwości i protesty mieszkańców, którzy uważają, że „kosztem rolników i zwykłych ludzi ma powstać gigantyczne lotnisko", a „rząd PiS chce wywłaszczyć ich bez konsultacji". Rzecz jasna chodzi o pieniądze. Spółka CPK proponuje za mało za grunty. I nie wiadomo, czym to się skończy. Tak czy inaczej Marcin Horała zawiódł.

Bardzo krótka okazała się kariera Danuty Dmowskiej-Andrzejuk, którą Morawiecki powołał na pełnomocnika prezesa Rady Ministrów ds. utworzenia Narodowego Centrum Sportu. Po czym szybko zdjął, bo koncepcja NCS padła. Danuta Dmowska-Andrzejuk to była mistrzyni świata i Europy w szpadzie, do polityki weszła, zastępując na stanowisku ministra sportu Witolda Bańkę, gdy ten został szefem Światowej Agencji Antydopingowej. Jednak kiedy po wyborach 2019 r. resort sportu został połączony z ministerstwem kultury, w którym rządził prof. Gliński, dla pani Danuty zabrakło miejsca. Morawiecki chciał jej coś załatwić, dając fuchę pełnomocnika, i załatwił ją ostatecznie. Nasza mistrzyni świata szpadzistka powinna wiedzieć, że polityka to nie szermierka, lecz dupniak.

Prawdziwym meteorem wśród ponad 60 pełnomocników był Łukasz Mejza, niezrzeszony poseł z Zielonej Góry. W zamian za wsparcie w głosowaniach Prawo i Sprawiedliwość zaoferowało mu stanowisko sekretarza stanu w Ministerstwie Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu oraz funkcję pełnomocnika prezesa Rady Ministrów ds. nowych technologii w sporcie. Gdy oferta została przyjęta, w mediach rozpętała się burza. Na jaw wyszły pikantne szczegóły działalności biznesowej posła Mejzy, co w atmosferze skandalu zmusiło go do złożenia rezygnacji z wszystkich piastowanych funkcji. Został mu tylko mandat posła.

Michał Dworczyk nie poradził sobie z funkcją pełnomocnika rządu ds. narodowego programu szczepień przeciw SARS-CoV-2.

Bywa znacznie gorzej. Pełnomocnik rządu ds. gospodarki wodą oraz inwestycji w gospodarce morskiej i wodnej, minister gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej, Marek Gróbarczyk, wyłożył się na słynnej stępce promu, która z udziałem premiera Morawieckiego została położona w czerwcu 2017 r. w Morskiej Stoczni Remontowej Gryfia w Szczecinie. Miał to być początek odrodzenia się polskiego przemysłu stoczniowego, a wyszła wielka hucpa.

Na zakończenie egzotyka wśród pełnomocników. 21 października 2021 r. dyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich Adam Eberhardt został pełnomocnikiem prezesa Rady Ministrów ds. wspierania reform w Republice Mołdawii. Jednym z jego pierwszych rozmówców w Kiszyniowie był sekretarz stanu, szef Departamentu ds. Relacji z Republiką Mołdawii w rządzie Rumunii, Adrian Dupu.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7eed6e752a

DROŻYZNA I WOJNA

Polacy mają prawo się bać

Rozmawia Jakub Dymek

Czego najbardziej boją się dziś Polacy?

– Badania CBOS przeprowadzone na przełomie zimy i wiosny, ale jeszcze przed inwazją Rosji na Ukrainę, dobrze pokazują nam obraz „lęków" i obaw Polaków. Na pierwszym miejscu są inflacja i drożyzna, których boi się 71% z nas. I właściwie tyle samo osób obawia się wojny. Na dalszych miejscach, ale dość blisko: choroba i pandemia (64% i 38%) oraz – znów – pogorszenie się sytuacji materialnej (34%). Jednak lęki i strachy to dwie różne rzeczy.

To znaczy?

– Lęk dotyczy nieokreślonych okoliczności, wypływa z tkwiącej w nas niepewności, to indywidualna sprawa dotycząca trudności i problemów pojedynczej osoby. Ale jeśli możemy zlokalizować i nazwać przyczynę, a strach dotyczy konkretnych wydarzeń, to mówimy raczej o obawach społeczeństwa, a nie lękach. Obawiamy się realnych zagrożeń: rosnących kosztów życia i drożyzny, nieudolności polityków w walce z tymi problemami itd. Trudno więc w tym przypadku mówić o nieuzasadnionych lękach. Lęku może doświadczać ktoś z powodu problemów osobistych, ten ktoś może mieć bardziej podatną na lęk osobowość, można doświadczać lęku nawet w dobrej sytuacji życiowej i zawodowej. Po prostu nie wszyscy rodzimy się doskonale uzbrojeni przeciwko lękowi i związanym z nim negatywnym emocjom.

Ale jeśli obok naszego kraju toczy się wojna, to nic dziwnego, że pojawia się szeroko odczuwany strach przed wojną, prawda? Nawet jeśli ta wojna nie toczy się u nas, a my doświadczamy jej konsekwencji tylko pośrednio, występujący dziś w Polsce strach przed wojną jest zupełnie zrozumiałym zjawiskiem.

DR HAB. MIROSŁAWA HUFLEJT-ŁUKASIK

– pracuje na Wydziale Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego, w Katedrze Psychologii Biznesu i Innowacji Społecznych. Prowadzi badania m.in. nad skutkami i kosztami zmian. Pionierka coachingu w Polsce, senior coach i superwizor. Także psychoterapeutka i superwizor psychoterapii.

To co o polskim społeczeństwie mówi dziś ten katalog obaw i strachów?

– Główne obawy lub strachy polskiego społeczeństwa odzwierciedlają prawdziwe zagrożenia wokół nas. Nie można się dziwić, że w czasach kryzysu inflacyjnego, wojny za progiem i po doświadczeniu pandemii trzy największe obawy społeczeństwa dotyczą właśnie drożyzny, bezpieczeństwa i zdrowia. Ludzie mają prawo się bać. Niezależnie też od naszej indywidualnej oceny tego, jak prawdopodobne jest, że Polskę dotknie wojna, co do tych trzech najważniejszych zagrożeń nasze społeczeństwo jest zgodne.

Zadam to pytanie w trochę nienaukowy sposób, ale czy powinno nas zaskakiwać, że dwie rzeczy zagrażające bezpośrednio życiu – wojna i choroba – i tak przegrywają w tym zestawieniu z drożyzną?

– Myślę, że dla wielu osób w naszym kraju drożyzna również jest wręcz zagrożeniem życia. Jeśli ktoś musi wybierać, co kupić: jedzenie czy leki, to nie jest teoretyczny dylemat. Co może nawet ważniejsze, to dramat bliższy naszej codzienności niż wojna. Bo ona wciąż toczy się za naszymi granicami. Zresztą w sprawie pandemii było trochę podobnie, bo zadziałał mechanizm „nierealistycznego optymizmu", któremu wszyscy ulegamy.

Co to znaczy?

– Ludzie w pandemii uważali, że choroba jest jak najbardziej prawdziwa, ale akurat oni nie zachorują. Może ktoś inny umrze, może ktoś inny trafi do szpitala, ale nie ja! Takie myślenie można rozciągać na wiele dziedzin życia.

Czy to zjawisko jest charakterystyczne tylko dla nas, Polaków,?

– Nie, dla wszystkich ludzi. Nauka zbadała ten mechanizm. Natura wyposażyła nas w pewien wrodzony optymizm. To siła, która pozwala nam przezwyciężać trudne momenty. Ale ten mechanizm potrafi czasami działać w sposób nie najkorzystniejszy dla nas. Gdy np. zagrożenie jest trochę od nas oddalone, zaczynamy z przesadną pewnością uważać, że nas nie dotknie.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 7eed6e752a

Uważamy więc, że wojna i wirus nas ominą. Ale wiemy, że od podwyżek cen nie ma ucieczki.

– Otóż to. Widzimy je przecież codziennie w sklepach, w swoich portfelach i na kontach. Nasze wpływy są takie same albo i mniejsze niż wcześniej, za to ceny artykułów pierwszej potrzeby i wydatki na utrzymanie rodziny rosną. Tu nawet nie ma miejsca na optymizm, bo zderzamy się z rzeczywistością inflacji i drożyzny dosłownie na każdym kroku! I nic nam po „nierealistycznym optymizmie", gdy przed nami bliskie i realne zagrożenie.

Czy za obawą przed inflacją stoi wspomnienie lat 90.? Niektórzy badacze i ekspertki uważają – lub może uważali tak do niedawna – że to sprawa pokoleniowa.

– Nie sądzę, żeby kwestia pamięci była najważniejsza. Wszyscy znamy jakąś rzeczywistość i przyzwyczajamy się do niej. Owszem, Polacy pamiętają – ja również – inflację lat 90. i początku XXI w. Ale widzę znaczne różnice między tym, co było wtedy, a tym, co jest dzisiaj. Kiedyś byliśmy jako społeczeństwo w ogóle biedniejsi i nikt nie martwił się swoim kredytem na 30 lat – bo go po prostu nie miał. A w biednym społeczeństwie obawa przed drożyzną i tak jest powszechna.

Ludzie obawiają się nagłej zmiany i utraty stopy życiowej.

Ale w ciągu przynajmniej ostatnich 20 lat sytuacja radykalnie się zmieniła na korzyść. Ludzie obawiają się nie tyle hiperinflacji – którą pamięta coraz mniej osób – ile nagłej zmiany i utraty stopy życiowej, do której zaczęli się przyzwyczajać.

A teraz spadamy z wysokiego konia?

– Oczywiście. Ludzie uczą się funkcjonować w rzeczywistości i rozumieć ją taką, jaka ona jest. A porównanie przeszło 20 lat stosunkowo bezpiecznych pod względem gospodarczym z tym, co zaczyna się dziać teraz, skutkuje wytrąceniem ludzi z poczucia bezpieczeństwa i stabilności. W dodatku szans na pozytywną zmianę w dziedzinie gospodarki nie widać. Co więcej, w przestrzeni medialnej i publicznej mamy do czynienia z niespójnością przekazu i wykluczającymi się informacjami (lub dezinformacją) na temat prawdziwej skali inflacji. To jeszcze trudniejsze doświadczenie, bo chaos informacyjny dokłada się do niepewności.

Mamy do czynienia z kilkoma niebezpiecznymi zjawiskami jednocześnie, w tym zupełnie nowymi, np. pandemią. Jak społeczeństwo sobie z nimi radzi i czemu zawdzięczamy to, że nie ogarnęła nas powszechna panika?

– To jest właśnie mój temat badawczy, czyli doświadczenie zmian. Co na ten temat mówią nam badania? Że każde doświadczenie zmiany, nawet dobrej i wyczekiwanej, jest kosztowne. Bo tworzy nową rzeczywistość, do której musimy się dostosować. Nawet nowa praca i awans mogą być związane z negatywnymi emocjami, przemęczeniem organizmu czy osłabieniem odporności. Jeśli jednak człowiek dostrzega pozytywne aspekty zmiany, to sobie poradzi.

Ale co z pandemią właśnie? Ona wydaje się nie przynosić żadnych pozytywnych zmian.

– Zrobiliśmy badania, w których pozwoliliśmy pytanym podzielić się również pozytywnymi aspektami doświadczenia pandemii. I okazało się, że ludzie są w stanie je odnaleźć i sami się nimi dzielą – np. mówiąc, że spędzą teraz więcej czasu z rodziną. Ale tak działają nasze mechanizmy ochronne, które pozwalają nam radzić sobie z trudnymi sytuacjami. Oprócz szukania korzyści w nowych warunkach jest jeszcze inny mechanizm, polegający na wyobrażaniu sobie korzyści czy zmian na lepsze, które przyjdą później, projektowaniu lepszej przyszłości. Niektórzy Polacy dziwią się Ukraińcom, których kraj dotknęła teraz wojna, że oni już myślą o odbudowie i planach na przyszłość. Ale tak to działa!

Przepraszam, ale nie potrafię się doszukać zmian na lepsze, które pojawią się w następstwie dzisiejszych kryzysów. Gdy ceny przestaną rosnąć, i tak będą wysokie, a wojna pozostawi kraj naszych sąsiadów w ruinie. Politycy zaś chyba nie są w stanie obiecać lepszego jutra.

– Podzielam pańskie obawy o gospodarkę i decyzje rządzących.

eprasa.pl 7eed6e752a

Cofnęliśmy się pod względem dobrobytu o parę lat i pewnie jakiś czas zajmie nam powrót tylko do tego, co już było. Ale trzeba tu rozróżnić dwa poziomy: naszą ocenę sytuacji i ryzyka oraz reakcje na nie. Rzeczywiście nie widać wokół sygnałów, że prędko będzie lepiej – w dziedzinie czy to bezpieczeństwa, czy gospodarki. Ale czym innym jest nasza ocena sytuacji, której dokonujemy jako eksperci, naukowcy czy publicyści, a czym innym jest to, co robimy, żeby poradzić sobie indywidualnie z tymi problemami.

Ludzie nie są głupi – przecież wiedzą, że nie możemy oczekiwać wiele dobrego w najbliższym czasie. Indywidualnie jednak potrafią znaleźć oparcie w swoich prywatnych sukcesach albo dobrych decyzjach. Na przykład, mimo pandemii i drożyzny, dla kogoś oparciem może być to, że ma pewną pracę, w której może się rozwijać i jeszcze dostawać podwyżki, a więc też radzić sobie w trudniejszym otoczeniu gospodarczym i politycznym. Ktoś inny może liczyć na wsparcie rodziny i docenić, a nawet polepszyć relacje. A jeszcze inną osobę pogarszająca się sytuacja może zmobilizować do odkładanych działań, które przyniosą znaczną poprawę np. pozycji zawodowej. Jako ludzie umiemy znaleźć oparcie – czy w sobie, czy w innych – nawet w bardzo trudnej rzeczywistości.

A obawy o przyszłość? Zmianę klimatyczną i ryzyko kataklizmów potrafimy bardzo dobrze od siebie oddalać.

– To prawda, odpychamy od siebie myślenie o konsekwencjach zmian klimatu, podobnie jak palacze ignorują ostrzeżenia na paczkach papierosów, dopóki sami nie zaczną mieć problemów z oddychaniem. Ale widzimy np., że w młodszym pokoleniu pojawia się obawa przed posiadaniem dzieci. Czego to jest rezultatem?

To niech pani mi powie, czego.

– Wcześniej nie było aż takiej obawy, a teraz jest. Sytuacja związana z prawem aborcyjnym czy skutecznością opieki zdrowotnej w wypadku trudnych ciąż zmieniła się tak radykalnie, że coś, co nie było szeroko rozpowszechnioną obawą, właśnie nią się stało. Posiadanie dziecka jest ryzykowne, a Polki boją się, że ginekolog nie będzie mógł spokojnie wykonywać swojej pracy, pewnych zabiegów czy badań z powodu restrykcji prawnych. Strach mieć dziecko. Kobiety nie czują, że jeśli z ich ciążą czy zdrowiem zacznie się dziać coś złego, będą miały wsparcie, neutralną światopoglądowo opiekę medyczną i prawo dokonania aborcji. Widać zatem, że te obawy związane z ciążą i posiadaniem dzieci są nie tylko coraz bardziej rozpowszechnione, ale i uzasadnione. Byłoby wręcz dziwne, gdyby takich obaw nie było.

Eksperci i elity medialne są współwinni tego chaosu informacyjnego i podkręcają obawy?

– Czasy się zmieniły, kiedyś słowo pisane i opinia ekspertów cieszyły się autorytetem. Nawet niekoniecznie najmądrzejsze rzeczy, gdy ukazały się drukiem, miały poważanie. Dziś każdy jest swoim własnym ekspertem, mamy media społecznościowe, a w internecie znajdziemy wszystko – od blogów ekspertów po jawną dezinformację. I skoro wszystko to jest podane w identyczny sposób, odbiorcy nie kierują się jakością czy wiarygodnością tych przekazów. Wybierają te, które potwierdzają ich własne opinie, sądy i obraz rzeczywistości. Psychologia udowodniła, że ludzie chętniej sięgają po informacje, które potwierdzają ich obraz rzeczywistości.

Partyjne czy propagandowe przekazy potrafią też prowadzić do bagatelizowania zagrożenia. Albo politycy dla bieżących korzyści ogłaszają sukces. Pamięta pan, jak kampania wyborcza „zakończyła" pandemię, a premier Morawiecki ogłaszał, że „tego wirusa nie należy się już bać"? Albo kiedy prezes Narodowego Banku Polskiego przekonywał, że inflacja nie jest zagrożeniem i jest wręcz za niska? Głos lidera czy charyzmatycznej jednostki, szczególnie w świecie mediów i przekazów tak podzielonych, odgrywa ważną rolę w budzeniu i wygaszaniu obaw.

A politycy muszą grać na lękach.

– Ależ właśnie nie muszą! Gdy politycy grają wartościami, czyli budują przekaz tak, aby odwołać się do tego, co dla ludzi najważniejsze – bezpieczeństwa czy rodziny – mogą uruchomić bardzo silne reakcje. I to w różnych kierunkach. Spójrzmy na kwestię uchodźców: raz była przedstawiana jako olbrzymie zagrożenie dla naszego bezpieczeństwa: choroby, przemoc, „islamizacja"... Ale dziś politycy, w tej samej kwestii – uchodźców, odwołują się do innego zestawu wartości, czyli gościnności Polaków i solidarności. I teraz reakcja jest odwrotna. Obawy związane z przyjmowaniem migrantów zeszły na dalszy plan i w małym stopniu dotyczą obywatelek i obywateli Ukrainy.

Dla wielu osób drożyzna jest zagrożeniem życia. Jeśli ktoś musi wybierać, co kupić: jedzenie czy leki, to nie jest teoretyczny dylemat.

Ale powtórzę: nie ma powodu, by polityka tak wyglądała. Nie ma powodu, by politycy grali lękami. Żyjemy już w innej rzeczywistości – dużo ludzi jest wyedukowanych, oczytanych, mają możliwość wpływania na życie wokół siebie, angażowania się w życie obywatelskie. Ale godzimy się na daną rzeczywistość, trochę analogicznie jak ofiary przemocy domowej godzą się czasem z tym, że spotyka je krzywda, i znajdują dla tego „wytłumaczenia", bo innej rzeczywistości nie znają. Ale tak nie powinno i nie musi być.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7eed6e752a

Jak wyjść z biura, które jest w jadalni

Nie traci się czasu na dojazdy, a w trakcie pracy można wstawić pranie i zupę. Ale rosną rachunki za prąd i wodę. Praca zdalna wymaga pilnych regulacji

Anna Stachowiak

35% pracowników od marca 2020 r. pracuje najchętniej z domu – wynika z badania przeprowadzonego przez serwis Pracuj.pl. Zdecydowana większość bardzo sobie chwali taki model zatrudnienia: dwie trzecie cieszy się, że nie traci czasu na dojazdy, 52% uważa, że w domowych pieleszach pracuje efektywniej. Wiele osób docenia elastyczne godziny pracy, ale jednocześnie ponad połowa badanych odczuwa tęsknotę za pracą „w firmie". Zarazem tylko co dziesiąty badany wyraża chęć powrotu do pracy stacjonarnej.

Praca zdalna to złoto?

„Praca zdalna i hybrydowa to nie tylko prosty komfort pracy z domu. Każda grupa odbiorców odnajduje w niej inne atuty. Dla osób żyjących w miastach liczących ponad 500 tys. mieszkańców, narażonych na korki czy pracujących w odległych dzielnicach, bardzo ważna jest oszczędność czasu na dojazdach. Tę zaletę wskazało aż 72%. Osoby zwracające szczególną uwagę na wydatki doceniają oszczędność na paliwie czy firmowych lunchach. Natomiast dla osób wychowujących dzieci dużym atutem może być większa elastyczność godzin pracy", wyjaśniała Agnieszka Bieniak, dyrektor HR w Grupie Pracuj.

Kaśka, 35-letnia specjalistka od PR, potwierdza: – Za żadne skarby nie wracam do biura. Teraz pracuję, jak i kiedy chcę, jestem pod mejlem i telefonem, ale nie mam problemu z tym, żeby odebrać córkę ze szkoły o godz. 12 czy 15 i dopasować plan dnia do życia. Wcześniej siedziałam w biurze od godz. 9 do 17, w domu byłam przed godz. 19. Dla dzieci miałam tylko weekendy, kiedy padałam na pysk ze zmęczenia. Teraz zabieram parę godzin z dnia pracy, ale odrabiam to wieczorem. Wszystko jest zrobione.

Karol, dziennikarz, 28 lat: – Praca zdalna to złoto. Pracuję, w zasadzie kiedy chcę i jak chcę. Ma być zrobione – i tyle. Nie ma bezsensownych kawek, kolegia są zdalne, więc nie tracę czasu na dojazd. Moim zdaniem nie ma powrotu do trzymania ludzi w biurach.

Grażyna, lekarka, 65 lat, też lubi to rozwiązanie: – Przychodnia normalnie działa, ale gros wizyt to teraz teleporady. Oszczędzam na dojazdach do pacjentów, a za konsultacje online albo telefoniczne zarabiam przyzwoite pieniądze.

Z kimkolwiek rozmawiam, właściwie nikt nie marzy o powrocie do pracy stacjonarnej. Magda, prawniczka: – O wiele rzadziej bywam w kancelarii, większość spotkań i wiele rozpraw odbywa się online. Czasami brakuje mi energii, którą dają spotkania na żywo, ale nie powiedziałabym, że tęsknię.

Marek, grafik, choć również jest zadowolony, zwraca uwagę na jeszcze jeden aspekt: – Wszystko fajnie, ale w sumie ciągle jestem w pracy. Szefowa potrafi do mnie napisać mejla po godz. 21 i oczekiwać, że odpowiem i wykonam zadanie, bo przecież i tak jestem przy kompie.

„Praca zdalna i hybrydowa wywołują u pracowników różne emocje. Brak pracy w biurze, w otoczeniu współpracowników, jest wyzwaniem szczególnie dla osób ekstrawertycznych. Dobra atmosfera, relacje koleżeńskie to bardzo ważne elementy życia zawodowego. Rozmowy w biurowej kuchni, spotkania integracyjne, możliwość poproszenia kogoś z sąsiedniego biurka o pomoc to kwestie

eprasa.pl 7eed6e752a

budujące zespoły. Ich brak sprawia, że tęsknimy za pracą w biurze. Jednocześnie doceniamy oszczędność czasu na dojazdach czy elastyczność czasu pracy. Jak pokazują nasze wcześniejsze badania, to praca hybrydowa jest najczęściej preferowaną formą pracy", komentowała Małgorzata Skonieczna, ekspertka ds. badań kandydatów w Grupie Pracuj.

Kto zapłaci za prąd?

Emocje emocjami, ale brakuje konkretnych regulacji. „Chcemy wprowadzić pracę zdalną na stałe do Kodeksu pracy", mówiła w październiku ub.r. minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg. Na chęci się skończyło.

Tymczasem regulacje są bardzo potrzebne, bo pojawiły się problemy, których jeszcze trzy lata temu nikt sobie nie wyobrażał. Także pozornie prozaiczne. – Praca zdalna to też wyzwania związane ze sprzętem. Kto za niego odpowiada? Czy firmy go zapewniają? Co z kosztami internetu, prądu i innymi, które ponosimy, pracując z domu. Poza tym są kwestie BHP. Kuchenny stół i krzesło, na którym siedzimy podczas posiłków, często nie są przystosowane do tego, abyśmy pracowali w tych warunkach przez osiem lub więcej godzin – mówi Zuzanna Piechowicz, dziennikarka specjalizująca się w tematyce rynku pracy oraz trenerka umiejętności miękkich.

5 stycznia br. do Sejmu wpłynęła interpelacja nr 30226 do ministra rodziny i polityki społecznej w sprawie pracy zdalnej. Posłanka PiS Anna Dąbrowska-Banaszek pytała m.in. o to, czy rozważane jest wprowadzenie miesięcznego dodatku ryczałtowego do wynagrodzenia pracownika z powodu trybu pracy zdalnej, co – jeśli praca jest świadczona z mieszkania pracownika – wiąże się ze zwiększonymi kosztami. Kolejne pytanie w interpelacji dotyczyło wysokości dodatku ryczałtowego – czy byłaby uzależniona od liczby dni pracy zdalnej.

20 dni później minister Marlena Maląg, powołując się na ustawę o szczególnych rozwiązaniach związanych z zapobieganiem, przeciwdziałaniem i zwalczaniem COVID-19, odpowiedziała, że pracodawcy nie mają obowiązku rekompensowania pracownikom kosztów ponoszonych z tytułu pracy zdalnej. Podkreślała jednak, że każdy pracodawca może te kwestie uregulować wewnętrznie. Powtórzyła, że „trwają prace nad wprowadzeniem pracy zdalnej na stałe do Kodeksu pracy". I znowu zapadła cisza, a precyzyjne przepisy przydałyby się przy wysokiej inflacji i rosnących cenach, m.in. prądu, gazu i wody.

Zdalnie tylko dobrowolnie

Zachwyt pracowników pracą zdalną mimo braku rozwiązań formalnych to tylko jedna strona medalu. W badaniu firmy Buffer na pytanie, co jest ich największą bolączką, ankietowani najczęściej (20%) wskazywali problemy ze współpracą i komunikacją oraz samotność. – Praca jest jednym z podstawowych miejsc nawiązywania kontaktów międzyludzkich, również osobistych. Wyeliminowanie lub ograniczenie kontaktów ze współpracownikami przyczynia się do pogłębienia istniejących już problemów – przyznaje Zuzanna Piechowicz. Wymienia też kolejne wady: niemal 20% badanych ma problem z mentalnym „wyjściem" z pracy, 12% narzeka na trudności ze skupieniem się. Bywają kłopoty z motywacją do pracy oraz braniem urlopu.

– Wydaje się, że problemy te można przezwyciężyć dzięki dobrze przemyślanemu systemowi uelastyczniania pracy. Możemy więc być pewni testowania i wprowadzania odpowiednich rozwiązań przez firmy różnej wielkości – mówi dziennikarka. Zauważa jednak, że praca zdalna wcale nie jest zjawiskiem tak powszechnym, jak sądzimy. – Dane z różnych ośrodków różnią się, ale oscylują wokół 10%, czyli tylko co dziesiąta osoba pracująca w Polsce miała taką możliwość.

Na to, że praca zdalna ma minusy, od początku pandemii zwraca uwagę

> Pracując zdalnie, mamy dużo większy problem z liczbą godzin poświęconych na pracę.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7eed6e752a

Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych. W listopadzie 2020 r. Paweł Śmigielski, dyrektor Wydziału Prawno-Interwencyjnego OPZZ, pisał: „Poza korzyściami z wykonywania pracy zdalnej pojawiają się również poważne problemy, takie jak brak rozdziału między życiem prywatnym pracownika a jego pracą, alienacja (wykluczenie) pracownika z zakładu pracy czy brak kontaktu z innymi zatrudnionymi, co w rezultacie może ograniczyć lub utrudnić rozwój zawodowy, jak i osobisty pracownika".

Wiceszef OPZZ Piotr Ostrowski: – Przede wszystkim uważamy, że wszelka forma pracy, która uwzględniałaby pracę zdalną, musi być konsultowana ze związkami zawodowymi. Sytuacja, w której pracodawca narzucałby pracownikowi tego typu rozwiązania, jest niedopuszczalna. Skłaniamy się raczej ku pracy hybrydowej. Sądzę, że wszyscy trochę zachłysnęliśmy się pracą zdalną na początku pandemii, ale wkrótce potem zrozumieliśmy, że stałe odcięcie od miejsca pracy przynosi rozmaite problemy zarówno dla pracowników, jak i firm.

No i kwestia BHP. – W świetle obecnych przepisów to pracodawca odpowiada za zapewnienie bezpieczeństwa i higieny pracy – tłumaczy Ostrowski. – Tu jest bardzo duży znak zapytania. I kolejna sprawa: praca zdalna generuje duże koszty – mediów, internetu, sprzętu – co po części jest rozwiązane w rządowych propozycjach, ale naszym zdaniem to za mało. Tu jest pole do poważnych dyskusji.

Mobbing online

Elastyczność i możliwość łączenia zadań prywatnych z zawodowymi są równocześnie plusem i minusem. – Bo jak wyjść z biura, które jest w jadalni? Albo w sypialni? Do mejla można usiąść i o godz. 9 rano, i o 21. Wiele danych wskazuje, że pracując zdalnie, mamy dużo większy problem z liczbą godzin poświęconych na pracę. A i tak Polki i Polacy to jedno z najbardziej zapracowanych społeczeństw krajów OECD – wyjaśnia Zuzanna Piechowicz.

Podkreśla przy tym to, co wynika nieomal z wszystkich badań poświęconych pracy w pandemii i podziałowi obowiązków – większość z nich spadła na kobiety. – To głównie kobiety między zadaniami zawodowymi zajmowały się lekcjami, dziećmi, obiadem i praniem. Jak wytłumaczyć małemu dziecku, że mama pracuje, skoro jest w pokoju? Poza tym warunki mieszkaniowe w Polsce są takie, że tylko najbogatsi mogą mieć oddzielny pokój na pracę. Zdalna praca to praca z łóżka, stołu w kuchni czy kanapy. Co znowu powoduje zlanie się życia prywatnego z zawodowym – mówi.

A to stwarza pole do przesuwania granic i nadużyć zarówno po stronie pracownika, jak i pracodawcy. Także do mobbingu. – Szef może założyć grupę na Messengerze i nie zaprosić do niej jednej osoby. Nękać i zastraszać można np. mejlowo. Wysyłanie wiadomości w nocy, ciągła presja na różnych komunikatorach – przemoc może mieć formę online, ale krzywda nią spowodowana jest jak najbardziej realna. W Portugalii wprowadzono prawo zabraniające przełożonym wysyłania SMS-ów i mejli do pracowników po godzinach pracy – wylicza Zuzanna Piechowicz.

Jej zdaniem ważna jest edukacja menedżerów. – Menedżerom przyzwyczajonym do stałego obserwowania pracowników trudno jest ich nie kontrolować podczas pracy zdalnej. Bo skąd mają wiedzieć, że oni pracują, skoro tego nie widzą? Może układają pasjansa i siedzą na Facebooku? Pracownik w pracy zdalnej wymaga dojrzałości i dobrych umiejętności komunikacyjnych od menedżerów.

Regulacje są potrzebne na już, bo praca zdalna z nami zostanie. W 2021 r. aż 17% wszystkich ofert pracy (według danych serwisu Pracuj.pl) dotyczyło pracy zdalnej – to trzy razy więcej niż rok wcześniej.

Anna Stachowiak

> Szef może założyć grupę na Messengerze i nie zaprosić do niej jednej osoby.

PROŚBA O WSPARCIE DZIENNIKARSKIEGO ŚLEDZTWA

Jan Ptaszyński od 2005 r. odsiaduje wyrok dożywocia, uznany za winnego zabójstwa matki z dzieckiem w Białymstoku, pod koniec 2001 r. Skazano go błyskawicznie w procesie poszlakowym, choć prokuratura nie była w stanie przedstawić przed sądem żadnych, najmniejszych nawet dowodów jego winy.

Postanowiłem jako dziennikarz wrócić do tej sprawy (www.tygodnikprzeglad.pl/kolejny-niewinny-skazany/), tym bardziej że pojawiły się nowe, sensacyjne informacje, np. taka, że prawdziwy sprawca tej makabrycznej zbrodni sprzed ponad 20 lat jest już w rękach policji, ale zarzuty wobec niego dotyczą innego, równie poważnego przestępstwa popełnionego w tym samym czasie, miejscu i w podobnych okolicznościach. Znam nazwisko tej osoby… Do przejrzenia będę miał dodatkowo wiele materiałów sądowych, łącznie z nagraniami audio i wideo.

Założenie zrzutki pieniężnej na przeprowadzenie dziennikarskiego śledztwa w tym przypadku to konieczność chwili. Żaden dziennikarz w sytuacji pauperyzacji zawodu i ubożenia nie będzie w stanie skoncentrować się na jednym temacie w sposób wnikliwy i pogłębiony, a jako dziennikarz wolny strzelec muszę też zapewnić sobie minimum materialnego komfortu. Stąd pomysł na założenie zrzutki i prośba o Państwa wsparcie.

Z góry dziękuję, również w imieniu Jana Ptaszyńskiego, za każdą złotówkę:

zrzutka.pl/ex4hx6

Arkadiusz Panasiuk

eprasa.pl 7eed6e752a

Z Galicji

Jan Widacki

Prezent dla rosyjskiej propagandy

Zdjęcie oblanego czerwoną farbą ambasadora rosyjskiego usiłującego złożyć kwiaty pod pomnikiem na cmentarzu żołnierzy radzieckich w Warszawie jest chyba najlepszym prezentem, jaki mogliśmy dać rosyjskiej propagandzie. Pokazały je, z odpowiednim komentarzem, wszystkie rosyjskie media i wiele mediów światowych. Ukazano Polskę jako państwo nieszanujące prawa międzynarodowego lub kompletnie nieudolne, niezdolne do wykonania wynikających z niego zobowiązań. Państwo dziko antyrosyjskie. Co więcej, daliśmy Rosji pretekst do działania odwetowego. Piszę ten tekst 10 maja, nie wiem, czy zanim ukaże się on drukiem, któregoś z polskich cmentarzy w Rosji nie zbezczeszczą jacyś „nieznani sprawcy" albo nawet sprawcy znani z imienia i nazwiska, ale bardzo zdenerwowani i oburzeni potraktowaniem swojego ambasadora w Warszawie, zakłóceniem przebiegu ważnej dla nich uroczystości na cmentarzu poległych na polskich ziemiach czerwonoarmistów. W komentarzu do tych wydarzeń minister spraw wewnętrznych Rosji, cytując niemal swojego polskiego odpowiednika, powie wtedy, że „emocje sprawców zbezczeszczenia są po oburzających, obrażających uczucia Rosjan wydarzeniach w Warszawie zrozumiałe".

Nie będą zrozumiałe, tak jak nie są zrozumiałe, wbrew twierdzeniom ministra Kamińskiego, te okazane w Warszawie. Obojętne, jak bardzo nie lubimy rosyjskiego ambasadora (ale go przecież nie wydaliliśmy!), jak bardzo oburzeni jesteśmy na Rosję za jej agresję na Ukrainę, polskie władze są odpowiedzialne za bezpieczeństwo nawet nielubianego (co to ma do rzeczy?) ambasadora. Konwencja wiedeńska o stosunkach dyplomatycznych, obowiązująca w całym cywilizowanym świecie, której Polska i Rosja są stronami, w art. 29 głosi: „Osoba przedstawiciela dyplomatycznego jest nietykalna", a „Państwo przyjmujące będzie traktować go z należytym szacunkiem i przedsięweźmie wszelkie odpowiednie kroki, aby zapobiec wszelkiemu zamachowi na jego osobę, wolność lub godność".

Otóż państwo polskie nie przedsięwzięło nie tylko „wszelkich odpowiednich kroków", ale zgoła żadnych. Teren, na którym stoi pomnik, przed którym ambasador miał składać kwiaty w dniu i godzinie podanych w nocie władzom polskim, jest otwarty i niezwykle łatwy do zabezpieczenia. Możliwość zaistnienia jakiegoś incydentu, a nawet zwykłej prowokacji, była do przewidzenia. Do zabezpieczenia spokojnego przebiegu ceremonii złożenia kwiatów wystarczyłoby trochę więcej policjantów. Nawet specjalistycznej formacji, jaką jest Służba Ochrony Państwa, nie trzeba było angażować. Ktoś tu nie dopełnił obowiązków i dopuścił do zdarzenia godzącego w interes państwa polskiego. Czy będzie jakieś śledztwo, które ustali, kto nie dopełnił obowiązku? Albo może jeszcze gorzej, kto celowo i świadomie naraził na szwank interes państwa polskiego? Obawiam się, że nie.

Oblanie farbą choćby nielubianego, aroganckiego ambasadora i przeszkodzenie mu w złożeniu kwiatów na cmentarnym pomniku wypełnia ewidentnie znamiona przestępstwa z polskiego Kodeksu karnego. Z całą pewnością było to przestępstwo z art. 136 kk, który stanowi: „Kto na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej dopuszcza się czynnej napaści na głowę obcego państwa lub akredytowanego szefa przedstawicielstwa dyplomatycznego takiego państwa albo osobę korzystającą z podobnej ochrony na mocy ustaw, umów lub powszechnie uznanych zwyczajów międzynarodowych, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5". Nawiasem mówiąc, w grę mogą tu wchodzić jeszcze inne przestępstwa: art. 195 par. 2 – gdyby uznać, że składanie kwiatów na cmentarzu jest „uroczystością lub obrzędem żałobnym", art. 260 – zakłócenie przebiegu zgromadzenia czy art. 261 – gdyby uznać, że oblanie farbą ambasadora składającego kwiaty pod pomnikiem poległych żołnierzy państwa, które on reprezentuje, jest zarazem znieważeniem pomnika lub „innego miejsca publicznego urządzonego w celu upamiętnienia zdarzenia historycznego".

Dokonanie pełnej oceny prawnokarnej zdarzenia wymaga przestudiowania materiału filmowego dokumentującego to zdarzenie, przesłuchania świadków, a także bezpośredniej sprawczyni, która publicznie do czynu się przyznała. Napiszę teraz rzecz bardzo niepopularną, narażając się na oburzenie „prawdziwych patriotów". Ona powinna stanąć przed sądem. Przed polskim sądem. Sąd powinien ocenić jej winę, uwzględniając jej motywację, stan emocjonalny, osobiste, być może traumatyczne doświadczenia. Powinien wziąć pod uwagę wszelkie okoliczności łagodzące, ale także uwzględnić społeczną szkodliwość jej czynu. Miarą tej szkodliwości jest szkoda wyrządzona interesom Rzeczypospolitej. Biorąc to wszystko pod uwagę, sąd może nawet uwolnić sprawczynię od kary, ale osądzić ją powinien. Jeśli tego nie zrobi, jeśli sprawczyni nie stanie przed sądem, możemy być pewni, że nie staną też przed sądem ewentualni sprawcy zamachu na wolność, godność albo nawet zdrowie ostatnich polskich dyplomatów rezydujących w Moskwie. Albo sprawcy znieważenia któregoś z polskich cmentarzy lub pomników na terenie Rosji.

Emocje zawsze powinny być pod kontrolą rozumu, a prawo, w państwie prawa, powinno być przestrzegane.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7eed6e752a

POLSKA BIEDA TO TABU

Poziom nierówności dochodowych w Polsce jest wyraźnie wyższy, niż wskazuje GUS

Rozmawia
Bronisław Tumiłowicz

Wydaje się, że poziom nierówności w Polsce zmniejszył się w ostatnich latach. Czy podobnie jest z ubóstwem obywateli?

– Nie wiemy do końca, jak to jest, bo rozkład dochodów ludności i konsumpcji jest słabo mierzalny. Winne są trochę dostępne metody badawcze. Używamy głównie badań ankietowych, ale zbierane w ten sposób dane są bardzo niepewne. Ludzie mają tendencję do zaniżania dochodów w odpowiedziach, zwłaszcza jeśli są one wysokie. Nasza wiedza jest więc dosyć ograniczona. Na Zachodzie zrezygnowano z ankiet, korzysta się z danych podatkowych, które są bardziej precyzyjne. My nie korzystamy z wiedzy administracyjnej, z PIT. Jesteśmy więc pod tym względem zacofani o co najmniej 20 lat w stosunku do krajów lepiej rozwiniętych. Główny Urząd Statystyczny podaje, że nierówności dochodowe w Polsce w ostatnim okresie wyraźnie spadły. W dużej części wynika to z działania programów redystrybucyjnych wprowadzonych przez PiS. Istnieją jednak wiarygodne badania pokazujące, że poziom nierówności dochodowych w Polsce jest wyraźnie wyższy, niż wskazuje GUS.

Czyli jednak coś wiemy.

– Oczywiście program 500+ trochę zredukował nierówności. Co do ubóstwa, to określa się je na wiele sposobów. Na przykład skrajne ubóstwo oznacza wydatki mniejsze niż minimum egzystencji. Od wielu lat pozostaje ono na poziomie ok. 5% populacji. Tak jest zresztą w każdym kraju i nie bardzo da się to wyeliminować.

Raczej wolimy podawać informacje o Polakach zamożniejszych?

– Niekoniecznie. Ale nawet mało zamożni z czegoś żyją. Znaczna część dochodów w Polsce jest ukrywana i powstaje w szarej strefie. Czyli miary ubóstwa pokazują zapewne wyższe ubóstwo niż to, które występuje faktycznie. Jak mówiłem, nie mamy dostępu do danych administracyjnych.

DR HAB. MICHAŁ BRZEZIŃSKI
– profesor UW, Wydział Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego

Rząd ukrywa dane

Kto nie ma? Dziennikarze czy naukowcy?

– Mówię o naukowcach. Może „swoim” badaczom czy analitykom takie dane się udostępnia, ale zwykli eksperci, tzw. niezależni, niepracujący na potrzeby instytucji rządowych, nie mają takich możliwości. Ani z resortu finansów, ani z ministerstwa rodziny nie dostajemy potrzebnych danych, bo to jest właściwie sprawa polityczna. Opublikowanie informacji, „jak jest”, mogłoby stanowić zagrożenie.

Sądzi pan, że jest inaczej, niż mówi władza? Że ubóstwo rośnie? Nawet w stosunku do poprzednich rządów?

– Poprzedni rząd też nie za bardzo udostępniał takie dane, ale teraz mamy z tym bardzo poważny problem, bo sprawa jest silniej uwarunkowana politycznie.

Ale chyba o poziomie biedy w Polsce mówi coś spis powszechny?

– W spisie powszechnym nie ma pytań o dochody i wydatki. W Polsce o to się nie pyta.

A dane z ośrodków pomocy społecznej?

– Ośrodki pomocy społecznej rzeczywiście mają dane, ale to pozostaje w gestii administracji państwowej, więc nie ma do nich łatwego dostępu. Zresztą tych danych nie wykorzystuje się w polityce społecznej. My, jak wspomniałem, opieramy się głównie na badaniach ankietowych i widzimy, że sporą rolę odgrywa tu szara strefa, np. w budownictwie większość dochodów jest ukrywana. Można by nasze badania uzupełnić np. o dane podatkowe, ale to także nie pozwoli opisać sytuacji całego społeczeństwa, bo chociażby wieś w sporej części nie płaci podatków.

W oficjalnym obiegu informacji danymi najwyraźniej się manipuluje, ale przecież naukowcy też tak mogą robić, np. dla doraźnych korzyści.

– W przypadku prac naukowych następuje weryfikacja, m.in. w procesie recenzji. Ale to może być dla władzy niebezpieczne. Woli więc pokazywać tendencje pozytywne, że nierówności dochodowe spadają. Używa się do tego np. współczynnika Giniego.

eprasa.pl 7eed6e752a

Manipulowanie opinią

Premier Mateusz Morawiecki powiedział w exposé, że wskaźnik Giniego od 2015 r. spadł poniżej 28 pkt. To oznacza, że w zaledwie cztery lata udało się osiągnąć poziom nierówności, jaki jest w Danii, a niższy niż przeciętnie w Europie, niższy niż we Francji, w Niemczech, we Włoszech czy w Wielkiej Brytanii. Czy mijał się z prawdą?

– Premier, podając tę informację, opierał się na danych ankietowych GUS. Jednak nie doszacowują one wysokich dochodów, ponieważ osoby osiągające je częściej odmawiają udziału w ankietach. W związku z tym faktyczny poziom nierówności dochodowych w Polsce jest wyraźnie wyższy, co pokazują nieliczne badania łączące dane ankietowe z danymi z zeznań podatkowych. Jednak szczegółów nie możemy poznać, bo jest to temat tabu i naukowcy nie współpracują z odpowiednimi komórkami administracji rządowej. Nie ma wolnego dostępu do takich informacji, bo decydenci ustalają, jakie dane można przekazać badaczom.

Czy daleko nam do zamożności Niemców? Czy już wyprzedziliśmy Portugalię i Grecję?

– Na te sprawy można spoglądać z kilku punktów. Można porównywać średni dochód na mieszkańca, ale także wielkość PKB. Grecję i Portugalię przebiliśmy już kilka lat temu pod względem średniego dochodu w gospodarstwie domowym. Trzeba jednak pamiętać, że Europa Środkowo-Wschodnia startuje z niższego pułapu. Kraje naszego regionu rozwijają się szybciej niż zachodnie, mają wyższe tempo wzrostu (ok. 4%) od krajów wysokorozwiniętych (ok. 2%). Dystans więc się zmniejsza, następuje konwergencja, ale wciąż jesteśmy dwa razy biedniejsi niż Francja i Niemcy. Zresztą tempo tego procesu spada, bo stajemy się coraz bogatsi i powoli wyczerpują się „łatwe" źródła wzrostu. Na razie mechanizm wzrostu jest taki sam – zachodnie technologie, podnoszenie poziomu wykształcenia, próby tworzenia innowacji w różnych dziedzinach. Tymczasem, by dogonić czołówkę, potrzebne są zmiany strukturalne. Musimy mieć nowe źródła wzrostu, sami wymyślać, tworzyć nowe technologie, stać się liderami postępu naukowo-organizacyjnego, a nie tylko importerem tego, co już stosuje Zachód. Ale i ten proces nie jest szczegółowo zbadany. Jak dokonać przejścia od importu technologii do tworzenia własnych – nikt tego dokładnie nie wie. Wiemy tyle, że trzeba mieć dobrze rozwinięty sektor nauki, finansować nowe innowacyjne projekty. Ale nasze płace nadal są niskie i opłaca się transferować do nas coraz tańsze nowinki z zagranicy. Takie „doganianie" może potrwać 30-40 lat. I dotyczy to nie tylko Polski, ale również innych krajów regionu. Każdy chciałby dogonić Niemcy.

Czyli pod względem ubóstwa w Polsce nie jest tak źle?

– Zapewne poziom skrajnego ubóstwa jest relatywnie niski. Mamy wciąż rozgrzaną gospodarkę, jest duży popyt na pracowników o niskich kwalifikacjach. Jeśli tylko ktoś chce pracować, zmniejsza ubóstwo własne i całej rodziny, jeśli ją ma. W gorszej sytuacji są rodziny, w których dochody z pracy odgrywają małą rolę lub żadną, np. osób niepełnosprawnych, gospodarstwa utrzymujące się ze świadczeń społecznych. W tych rodzinach ubóstwo jest relatywnie wysokie i może rosnąć. Są rodziny, których ubóstwo jest zawinione, ale i takie, które nie są winne biedy, a otrzymywane zasiłki, ogólnie niskie, od dawna nie były waloryzowane. Te gospodarstwa domowe stają się coraz biedniejsze.

Ale chyba głodu w Polsce nie ma?

– Wydaje się, że głodu nie ma, choć występuje problem niedożywienia dzieci. Prof. Joanna Tyrowicz z ośrodka GRAPE ustaliła, że system dożywiania dzieci w szkołach nie działa efektywnie. Po pierwsze, rzeczywistej skali dożywiania nikt nie zna, wiemy też, że fundusze na ten cel są źle wydatkowane. 500+ poważnie wspomogło rodziny o niskich dochodach i zapewne ograniczyło także problem niedożywienia. Państwo mogłoby lepiej wspomagać biedniejszą część społeczeństwa. Zamiast multiplikować dotacje, wprowadzić jeden spójny system transferów zastępujący różne programy, takie jak Rodzina 500+, świadczenia z pomocy społecznej oraz ulgę dla dzieci w PIT.

Spójrzmy na tę sprawę z innej strony. Czy można w biedzie względnie nieźle żyć? Chodzi przede wszystkim o rodziny wielodzietne.

– Jeśli następuje kumulacja świadczeń społecznych, to takie rodziny mogą być ponad progiem ubóstwa. To również obejmowano badaniami, ale takich rodzin nie jest wiele. Poddawane są one pewnej presji społecznej, mogą nawet być stygmatyzowane, jeśli pasożytują na świadczeniach i dotacjach i nie mają dochodów z własnej pracy, bo środowisko negatywnie to ocenia. Z drugiej strony nie ma w Polsce zgody społecznej, aby takie świadczenia jak 500+ uwarunkowywać sytuacją materialną rodziny. Dlatego pewnie nigdy takiego rozwarstwienia pomocy się nie wprowadzi. Na przykład rolnicy nie są objęci PIT, nie udałoby się wdrożyć systemu warunkowości dla tej grupy. Trudno też byłoby ustalić, kto z członków gospodarstwa na wsi pracuje. Nie jesteśmy sprawnie zorganizowanym państwem, a próba uregulowania takich transferów prowadziłaby do licznych błędów ▸

Znaczna część dochodów w Polsce jest ukrywana i powstaje w szarej strefie, dotyczy to np. budownictwa.

Jesteśmy wciąż dwa razy biedniejsi niż Francja i Niemcy.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 7eed6e752a

i konfliktów. Kontrowersji i skandali i mamy tak pod dostatkiem. Pamiętajmy, że powszechne świadczenia mają pewne zalety. Część dzieci, które zostałyby ich pozbawione, mogłaby na tym ucierpieć. W obecnej sytuacji powszechne świadczenia, nawet dysfunkcjonalne, wydają się najwłaściwsze. Nie chcielibyśmy nikogo wykluczać. Oddzielny system to pomoc społeczna. Teraz też mamy kilka systemów poza 500+. Te inne nie są waloryzowane i ich skuteczność się zmniejsza, sytuacja beneficjentów stopniowo się pogarsza. Jednak rządzący boją się, by koszty te w czasie kryzysu nie rosły. Osoby biedne, do tego bez dzieci, nie są „kontrolerami ruchu lotniczego", że się tak wyrażę.

To aluzja do szybkiej reakcji władz na żądanie maleńkiej grupy zawodowej. A czy działa u nas zasada, że biedę, tak jak bogactwo, się dziedziczy?

– Z przykrością muszę stwierdzić, że niewiele o tym wiemy. Były badania prowadzone nad osobami, które wywodziły się z gmin popegeerowskich. Na pewno były u nas obszary bezradności, ale to już dziś nie ma takiego znaczenia. Teraz nie bada się dochodów dzieci i ich rodziców. Polska jest jednym z niewielu krajów rozwiniętych, które nie zbierają takich danych porównawczych, międzypokoleniowych jak w USA czy Europie Zachodniej. Takie mamy zapóźnienie naukowe. Nasze państwo nigdy tym się nie interesowało. Przerwano nawet z braku środków finansowych wielki projekt badawczy prof. Janusza Czapińskiego „Diagnoza społeczna". Już od siedmiu lat badania te nie są kontynuowane.

Chętnie byśmy się porównywali z mieszkańcami krajów, gdzie tzw. socjal jest wysoki.

– Na przykład z Francją, krajami skandynawskimi, gdzie budżety na wydatki socjalne są najwyższe, gdzie wspomaga się dzieci, osoby starsze, niepełnosprawne. My stoimy przed wyborem: albo przyciągać kapitał, proponując niższe opodatkowanie i mniejszy socjal, albo silniej wspomagać potrzebujących.

A jak wypada Polska w porównaniu z krajami naszego regionu?

– To się zmieniło u nas znacząco, skokowo, bo wcześniej zakres pomocy, zwłaszcza dla dzieci, był w Polsce jednym z najniższych, poza emeryturami. Z tym że emerytury i renty to nie czysta pomoc społeczna, ale rodzaj ubezpieczenia społecznego. Nie są one czystym transferem socjalnym. Po roku 2015 i wprowadzeniu 500+ znaleźliśmy się pod względem redystrybucji dochodów na poziomie średnich wydatków europejskich na cele społeczne. Teraz pod względem świadczeń na dzieci Polska stała się najbardziej socjalnym krajem w naszym regionie, przeznaczając na ten cel co najmniej 3% PKB. Niewiele bogatszych krajów OECD daje na dzieci więcej niż Polska. Na te transfery składają się program Rodzina 500+, zasiłki rodzinne i ulga podatkowa dla dzieci.

Pod względem świadczeń dla dzieci Polska stała się najbardziej socjalnym krajem w regionie, przeznaczając na ten cel co najmniej 3% PKB. Niewiele bogatszych krajów OECD daje więcej na dzieci.

Polska jest jednym z niewielu krajów rozwiniętych, gdzie nie zbiera się danych porównawczych, międzypokoleniowych, które pokazywałyby, czy biedę lub bogactwo się dziedziczy.

Imigranci są potrzebni

Zaczęliśmy od próby opisania nierówności w Polsce i obszarów biedy, ale przecież są kraje, głównie Południa, gdzie panuje prawdziwa nędza, głód, wojny. Boimy się katastrofy migracyjnej, zalewu uchodźców.

– W dłuższej perspektywie masowe migracje powinny nastąpić i nastąpią. Jednak nie są to katastrofy i kryzysy, tylko pozytywne zmiany i procesy. Generalnie przynoszą one korzyści – światu, krajom, do których przybywają migranci, i ludziom migrującym, którzy z absolutnej biedy trafiają do warunków wielokrotnie lepszych. Doznajemy z tego powodu wielu korzyści, bo przybysze konsumują, ale też świadczą usługi, których lokalni mieszkańcy nie chcą wykonywać. Imigracja ma niewielki wpływ na lokalne płace. Generalnie wszyscy zyskują. Prawdziwym kryzysem migracyjnym może się okazać sytuacja, kiedy przybędzie do nas za mało migrantów. Nasza sytuacja demograficzna jest coraz gorsza, brakuje nam kilka milionów ludzi zdolnych do pracy. Jeśli nie uda się ich zatrzymać na dłużej, dostosować się do ich oczekiwań, nasze własne problemy urosną ponad miarę. Musimy zatem absorbować więcej migrantów.

Ale teraz niemal 3 mln uchodźców z Ukrainy znalazło schronienie w naszym kraju. Czy to nie zmienia sytuacji?

– W tej chwili może to trochę zmniejszyć deficyt na rynku pracy, ale nie wiemy, jak potoczy się wojna. Pewna część uchodźców już wróciła do Ukrainy albo wyjechała do innych krajów. Nam jednak chodzi o perspektywę najbliższych kilkunastu lat, może 20, kiedy będzie nam brakować ok. 5 mln pracowników. To o przyjazd tych migrantów powinniśmy zabiegać.

Jak to zrobić, kiedy Polacy, straszeni przez narodową propagandę, boją się imigrantów, zwłaszcza z krajów muzułmańskich?

– To są obawy nieuprawnione. Państwo powinno prowadzić politykę oświecania i integracji. Konieczna jest gruntowna zmiana narracji w tej kwestii.

Bronisław Tumiłowicz
b.tumilowicz@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7eed6e752a

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Zakaz czytania

Ten felieton będzie inny, dziwny, być może problematyczny. Osobisty na granicy niewybaczalnego ekshibicjonizmu. Choć ktoś może powiedzieć: autoreklamiarstwo. Zapewne trochę tak. Będzie o mojej miłości. O uczuciu, które żywię nieprzerwanie od lat dziecięcych, o nałogu, o przymusie, o czymś silniejszym ode mnie samego. O czytaniu i książkach zatem, o moim czytaniu i książkach, o moim gadaniu o nich. Wygląda na to, że jestem przedstawicielem jednego z ostatnich pokoleń, dla których czytanie książek gutenbergowskich było podstawą edukacji i poznawania świata. Kryzysy czytelnicze, słabość mediów papierowych, niepowstrzymywalna ofensywa cyfrowych technologii, w których to obraz, najlepiej ruchomy, jest królem zwierząt – to wszystko jest nie do cofnięcia. Ta bitwa została wygrana (przegrana?), choć nie wiadomo, co przyniesie „rzekomy pokój", zawieszenie broni, niebezwarunkowa kapitulacja. Książka z piedestału została zrzucona bez fajerwerków i oficjalnych pożegnań, to przyszło w ciszy komputerowych wiatraków i myszek, w poręczności broni XXI w. – wszechobecnych smartfonów. Książki wydawane na papierze pozostaną ekskluzywnym znakiem przynależności do ważnej, ale malejącej sekty. Pełnej resentymentu, projekcji, wspomnień o niegdysiejszej potędze. Czytać książki będą entuzjastki i ludzie nauki. Pod znakiem zapytania stanie za jakieś 30 lat istnienie jednej z najwspanialszych i najbardziej zasłużonych instytucji publicznych i dobra wspólnego – bibliotek.

Przez całe lata nosiłem książki na plecach, niekiedy dzień w dzień, kupowałem dublety i triblety, bo kiedyś komuś uda się podarować to, co dla niego/niej odpowiednie, ważne, nieodzowne, zachwycające. Miasta traktują księgarnie i antykwariaty jak sklepy z mięsem czy wódką. Nie dbają, nie chuchają, nie dopieszczają, są obcesowe. Tym samym dokonują autoamputacji ważnych dla miejskiego organizmu i krwiobiegu organów. Ale w kapitalizmie wszystko musi się bilansować, musi trwać wyścig po metr kwadratowy. Towar to towar.

Tak nie jest. Książki i ich małe domy tworzą miasta, ich głos, ich marzenia. Kiedy znikają wypierane przez siedziby banków oraz sieciowych, globalnych biznesów – to jakby same miasta i miasteczka z wolna obumierały.

W Polsce czytamy coraz mniej, rzadziej, coraz mniej liczna jest ta grupa. Zawsze chciałem to zmienić. Próbowałem to robić. Kiedyś pomyślałem, że należy postawić na gen przekory, niezgody, buntu. Trzeba zakazać czytania! Pod karą więzienia! Więzienia zresztą są przepełnione czytelniczą manią, bo czym innym? Jak się zabroni czytania – zaczną wreszcie czytać! Bo strony zakazane to już nie są jakieś tam strony, to są strony, karty, które kuszą, wzywają – pojawia się dreszcz nielegalu i wolności. Takie tam mrzonki. I wtedy pomyślałem, że jeśli kiedyś wrócę do opowiadania o książkach, rozmawiania o nich, zapraszania autorów/ek, tłumaczy/ek, redaktorów/ek, wydawców i wydawczyń, nazwę to „Zakazem czytania". I zrobię coś, co powinno być publiczne, dostępne, pożywne. A jest osobiste, bo publiczne media zajęte są czymś innym. A poza wszystkim nie są żadnymi mediami publicznymi, są kropką nad i, postawioną nad degradacją ich roli i funkcji po 1989 r. – stały się mediami jednej partii, w najgorszym, niewyobrażalnym stylu. I zasłonę milczenia nad nimi spuszczam.

Teoretycznie szansą pozostaje internet mimo jego inwigilacyjno-konsumpcyjnego kręgosłupa. I tam to robię! „Zakaz czytania". Po swojemu – i tylko tak. Mówię o książkach, które uważam za ważne, które mnie zauroczyły choć na chwilę, które kocham od dawna i do nich wracam, które zjawiają się znikąd i zaskakują oraz cieszą. Witam się z nimi wszystkimi, od poezji i filozofii, socjologii przez politykę, literaturę piękną, po kryminał. Bez granic. Z książkami niezgody na to, co nieakceptowalne, z tymi, które budują wciąż nadzieję na zmianę, na bardziej sprawiedliwy świat, które uczą i zmuszają do myślenia, które ostrzegają zawczasu i które wywołują uśmiech. Które intrygują. Których inni nie zauważają. Które żyją w ukryciu. Które, za Williamem Hazlittem, XVIII/XIX-wiecznym eseistą, traktuję wszystkie jak nowości („nowością są wszystkie książki, których jeszcze nie przeczytaliśmy"). Zapraszam do tej przygody, „Zakaz czytania" jest do znalezienia na platformie YouTube: www.youtube.com/channel/UCu8Hb2volVCtnWcbPR3mmeg. Tam też spotkamy książki wydawane przez PRZEGLĄD, jak choćby monumentalny, zjawiskowy trójksiąg prof. Andrzeja Walickiego, jednego z najważniejszych myślicieli politycznych przełomu wieków, autora tygodnika PRZEGLĄD, krytyka i uważnego analityka ostatnich trzech dekad, czy niezwykłą historię „Buntowników i marzycieli. O rewolucji rosyjskiej, rewolucjonistach i terrorystach", książkę prof. Andrzeja Andrusiewicza, jednego z najwybitniejszych znawców historii Rosji.

Książki i ich małe domy tworzą miasta, ich głos, ich marzenia.

Wspólnota czytających jest nierozwiązywalną międzynarodówką, o której nie da się zapomnieć, której nie da się zagłuszyć „prawami rynku", polityczną indoktrynacją mediów. Czytanie jest jedną z najpiękniejszych przygód ludzkiego umysłu. Odtąd, na nowo, będę brał aktywnie udział w tej przygodzie. Obok bycia felietonistą (od dobrych już lat w PRZEGLĄDZIE) to kocham najbardziej i za tą miłością podążam. Zapraszam do udziału i liczę na tutejszych Czytelników i Czytelniczki. Do książek!

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7eed6e752a

Marcin Ogdowski

Straty bezpowrotne

Przez ostatnie ponad sto lat szanse rannego żołnierza na przeżycie tylko rosły. Rosjanie odwrócili ten trend

Zimą 2015 r. w rejonie miasta Debalcewe trwały ciężkie walki, w których armia rosyjska i separatyści usiłowali zlikwidować wyłom w swoich pozycjach. Oddziały ukraińskie trzymały miasto przez kilka tygodni – wycofały się na początku lutego, gdy w debalcewskim worku skończyła się amunicja, a jedyna trasa wykorzystywana do zaopatrzenia i ewakuacji stała się drogą śmierci, którą nie sposób było prowadzić efektywnej komunikacji. Cokolwiek wjeżdżało na szosę wiodącą do Artiomowska, z miejsca stawało się celem dla wrogiej artylerii. Wiedziałem o tym aż za dobrze, więc z obawą oglądałem potencjalny „pojazd ostatniej szansy" – rozklekotany ambulans, przeznaczony do wywózki najciężej rannych. Stan techniczny karetki sprawiał, że bałbym się nią jechać w czasie pokoju, a co dopiero pędzić ostrzeliwaną drogą. Dobrych 30 km do najbliższego szpitala, powiatowej placówki w Selidowie.

Przez lata relacjonowałem wojny w Iraku i Afganistanie, pracując głównie jako dziennikarz akredytowany przy polskim i amerykańskim wojsku. Gdybym został ranny, wywieziono by mnie na tyły zgodnie z procedurą przewidzianą dla żołnierzy. Trafiłbym do śmigłowca ewakuacji medycznej i niezwłocznie wylądował na stole operacyjnym. System Medevac zaprojektowano tak – poprzez odpowiednie rozlokowanie śmigłowców i placówek medycznych – by niezależnie od miejsca zdarzenia najdalej w ciągu godziny pacjent uzyskał pomoc ratującą życie.

Co więcej, istotnym elementem Medevacu była pierwsza pomoc udzielana tuż po zranieniu przez wyszkolonych ratowników. W ówczesnej armii ukraińskiej – opartej na radzieckich wzorcach – lekarzy na pierwszej linii nie było, a sanitariusze, niezależnie od tego, jak oddani i kompetentni, zmagali się z dramatycznym niedoborem podstawowych środków medycznych. Na tyłach zaś, we wspomnianym Selidowie, do obsługi frontowych oddziałów wyznaczono szpital, który nie miał dostępu do bieżącej wody. Podstawowe techniczne instrumentarium pamiętało czasy późnego ZSRR, a stół operacyjny był z połowy lat 50. „Nie mamy sprzętu do intubacji", skarżył się jeden z lekarzy. Kilka lat wcześniej poznałem go w Afganistanie, gdzie jak wielu ukraińskich medyków pracował na rzecz polskiej armii. „Tu, w Donbasie, jest inny świat…", mówił zrezygnowany. Wiedziałem zatem, że nawet gdybym jakimś cudem nie wykrwawił się po drodze, zapewne ostatecznie załatwiłaby sprawę ta umieralnia. Dawała ona szansę lżej rannym i poszkodowanym – zarówno cywilom, jak i żołnierzom. O nadziei w cięższych przypadkach nie było mowy.

> System Medevac zaprojektowano tak, by niezależnie od miejsca zdarzenia najdalej w ciągu godziny żołnierz uzyskał pomoc ratującą życie.

Rzeżączka a zdolność bojowa

To w takich okolicznościach podjąłem decyzję o wzięciu udziału w kursie TCCC (ang. *Tactical Combat Casualty Care* – taktyczne ratownictwo medyczne). Nie chciałem zostać wykwalifikowanym ratownikiem. Wielu poszkodowanych umiera na skutek wykrwawienia – przy postrzale w tętnicę wystarczy kilka minut, by człowiek był już nie do uratowania. Kwestią życia i śmierci staje się wtedy odpowiednio założona i dobrej jakości opaska uciskowa. Banalna sprawa – jak wiele innych będących przedmiotem kursów TCCC – tymczasem wcale nie tak oczywista. W armiach zachodnich dopiero przed 40 laty zaczęto kłaść nacisk na indywidualne wyszkolenie w tym zakresie, obligatoryjne dla każdego członka personelu sił zbrojnych. Było to rezultatem amerykańskich doświadczeń z Wietnamu, gdzie wielu żołnierzy straciło życie mimo dostępu do doskonale wyposażonej bazy medycznej.

O zawartość żołnierskich apteczek dbano jednak już wcześniej, a frontowa medycyna ma początek w głębokiej starożytności. I choć to Grek Hipokrates jest nazywany ojcem medycyny, pierwszy wojskowy system leczniczy z prawdziwego zdarzenia rozwinięto w Rzymie. Jakość ówczesnych medykamentów była niska, nie zdawano też sobie sprawy z istnienia bakterii, więc śmiertelność wśród leczonych legionistów dochodziła do 80%. I pozostała taka przez wiele następnych wieków.

Rozwój broni palnej dramatycznie zwiększył liczbę rannych. W czasach napoleońskich, gdy armie stały się masowe, zatrważająco pogorszyło to statystyki. W takich okolicznościach narodził się wojskowy system pierwszej pomocy. Stworzył go naczelny chirurg Bonapartego, Dominique-Jean Larrey. Historia zapamiętała go z kolei jako ojca *triage* (segregacji medycznej), współcześni mu – jako niezwykle sprawnego lekarza. Dziś myślelibyśmy o nim: rzeźnik, bo owa skuteczność sprowadzała się do szybkich amputacji ranionych kończyn. Podczas bitwy pod Borodino w 1812 r. Larrey wykonał ponad 200 amputacji. Nie zmienia to faktu, że zdobyte w ten sposób doświadczenie stanowiło wielki wkład w rozwój chirurgii. Tyle że na chirurgii skończyć się nie mogło – gros żołnierzy umierało na

eprasa.pl 7eed6e752a

Transport rannego żołnierza afgańskiej armii rządowej do szpitala w polskiej bazie w Ghazni, zima 2012 r.

skutek gangreny i sepsy, wtórnych następstw zranienia. Tu na przełom trzeba było czekać do lat 40. XX w., kiedy w USA zaczęto wytwarzać na przemysłową skalę odkrytą w 1928 r. przez Alexandra Fleminga penicylinę. Do końca II wojny Amerykanie wyprodukowali aż 6,8 mld dawek. „Szkoda, że nie mieliśmy penicyliny podczas poprzedniej wojny", przyznał Winston Churchill. W okopach I wojny – z powodu warunków higienicznych – szerzyły się tyfus, dyzenteria, cholera. W Salonikach brytyjskie „bezpowrotne straty sanitarne" wywołane malarią 20-krotnie przewyższyły straty bojowe. Wracając zaś do II wojny – pośród historyków wojskowości nie brakuje opinii, że największą korzyścią ze stosowania penicyliny była możliwość skutecznego leczenia dziesiątkującej alianckie armie... rzeżączki.

Bardzo dużo Gruzu 200

Podczas ostatniej wojny światowej współczynnik zabitych do rannych wynosił 1:2,4, w okresie wojny wietnamskiej 1:3. W Iraku i Afganistanie na jednego poległego przypadało siedmiu rannych. Kevlarowe hełmy i kamizelki kuloodporne sprawiają, że trudno współczesnego żołnierza zabić – śmiertelne niegdyś ciosy kończą się „zaledwie" zranieniem. Jest więc ta relacja dowodem na zwiększającą się skuteczność środków ochrony osobistej, ale i rosnącą jakość opieki medycznej, zwłaszcza w zestawieniu z informacją o 80-procentowej przeżywalności rannych. Tak to wygląda w wojnach, w które angażują się zachodnie armie. Opierając się na takich danych, łatwo przyjąć, że postępuje humanitaryzacja konfliktów zbrojnych. Niestety, wojna w Ukrainie dramatycznie rewiduje zasadność tej opinii. O ile bowiem w przypadku Ukraińców relacja zabici-ranni kształtuje się na poziomie 1:4, o tyle wśród Rosjan i separatystów jest to 1:1. Przeżywalność rannych Ukraińców od początku wojny nie spadła poniżej 70%, pośród agresorów waha się w przedziale 30-50%. Ukraińcy wyciągnęli wnioski z traumy początków wojny z Rosją i położyli duży nacisk na szkolenie medyczne żołnierzy, które odbywało się pod okiem instruktorów z NATO. Przygotowali także ochronę zdrowia do działań w realiach pełnoskalowego konfliktu. Rosjanie tymczasem mają słabo rozwiniętą sieć szpitali polowych, oddziałom frontowym rzadko towarzyszą wozy sanitarne, a śmigłowce ewakuacji medycznej trzymają się z dala od linii frontu. Wojska ukraińskie dysponują tyloma przenośnymi zestawami przeciwlotniczymi, że paraliżuje to przemieszczanie się operujących na niskich pułapach maszyn. Niebagatelną rolę odgrywa również mentalność rosyjskich dowódców, nienawykłych do wysyłania śmigłowca po pojedynczych rannych.

Wojna koncentruje się teraz w Donbasie, gdzie obok regularnej armii rosyjskiej walczą milicje ludowych republik, niegdysiejsi posiadacze ukraińskich paszportów. W grupach internetowych na Telegramie oni sami albo członkowie ich rodzin skarżą się, że w przypadku ranienia nie mogą liczyć na przewiezienie do szpitali w Rosji. Zostają im kiepsko wyposażone lecznice w Donieckiej i Ługańskiej Republice Ludowej. W efekcie przeżywa tylko jedna trzecia rannych, a reszcie „Noworosjan" trudno oprzeć się wrażeniu, że Moskwa traktuje ich jak mięso armatnie. Ale nawet solidne rosyjskie papiery nie gwarantują porządnej opieki. Żołnierze walczący na południu kierowani są do szpitali na Krymie, a półwysep jeszcze w czasach ukraińskich nie słynął z dobrej służby zdrowia. Rosyjscy okupanci po 2014 r. tego nie zmienili. Szpitale nie są w stanie leczyć wojskowych na odpowiednim poziomie i jednocześnie świadczyć usług cywilom, zwłaszcza w przypadku nagłych zdarzeń. Moskwa na prośby o pomoc pozostaje obojętna – nie dosyła lekarzy ani sprzętu, skąpi dostaw leków i materiałów opatrunkowych. W efekcie przeżywa pięciu na dziesięciu rannych Rosjan odesłanych na półwysep. Największe szanse mają poszkodowani z centralnego i północnego odcinka frontu, odsyłani do Rosji. Kreml jednak – by nie wywoływać paniki wśród obywateli – ogranicza ów strumień, jak może. Tym sposobem do ojczyzny wraca tyle samo Gruzu 200, jak w rosyjskiej nomenklaturze określa się transport zmarłych (ros. *груз* – ładunek), co Gruzu 300, czyli rannych.

W przypadku Ukraińców relacja zabici-ranni kształtuje się na poziomie 1:4, wśród Rosjan i separatystów to 1:1.

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

FOT. MARCIN OGDOWSKI

eprasa.pl 7eed6e752a

Zuzanna Muszyńska

Fortuna odwraca się od konserwatystów

W wyborach samorządowych Brytyjczycy okazali nieufność wobec władzy, która łamie prawo i kłamie

W majowych wyborach samorządowych na Wyspach do obsadzenia było w sumie ponad 6,8 tys. mandatów. Każda siedziba władz lokalnych w Szkocji, Walii i dzielnicach Londynu była do wzięcia; razem z pozostałymi częściami Anglii głosowano w 200 okręgach. W wielu ostatnie wybory odbyły się w 2017 i 2018 r., kiedy Wielka Brytania należała do Unii Europejskiej, premierem była Theresa May, a Partii Pracy przewodził Jeremy Corbyn. Krajobraz polityczny Wielkiej Brytanii przeszedł od tamtego czasu ogromne przeobrażenia, ale większość kwestii lokalnych pozostaje niezmieniona. Należą do nich terminy opróżniania pojemników na śmieci, stan parków i chodników, dostęp do szpitali i bibliotek.

Tegoroczne wybory to jednocześnie werdykt dla czołowych postaci polityki – lidera konserwatystów, premiera Borisa Johnsona, i lidera Partii Pracy, sir Keira Starmera.

Armagedonu nie było

Komentatorzy przewidywali, że afera nazwana Partygate oraz kryzys wywołany rosnącymi kosztami utrzymania pogrążą partię rządzącą. Spodziewano się utraty przez nią nawet 800 mandatów radnych. Obawiano się również, że niedawne skandale w Westminsterze – zarówno łamanie reguł covidowych przez pracowników Downing Street, jak i afery obyczajowe przypisywane członkom Partii Konserwatywnej – mogą się przyczynić do obniżenia frekwencji wyborczej w elektoracie torysów. Strata rzędu 150 mandatów byłaby niezłym wynikiem, kalkulowano. Zmniejszyłaby presję na Borisa Johnsona i prawdopodobieństwo, że posłowie jego partii nie będą go chcieli jako lidera ugrupowania i, co za tym idzie, premiera.

Utrata prawie 350 mandatów w Anglii, a w całej Wielkiej Brytanii prawie 500, to około jednej czwartej miejsc do obsadzenia w radach. Nie uważa się jednak, że wyborcy „przywalili" partii rządzącej. To jeszcze nie armagedon, ale strat nie należy lekceważyć. Konserwatywni posłowie z okręgów wyborczych w stolicy i na południe od niej mogą zacząć się bać o swoje stołki – takie komentarze dominują po ogłoszeniu wyników. Prognozowany – na zlecenie BBC – wynik wyborów parlamentarnych, gdyby cały kraj zagłosował w dniu wyborów lokalnych, daje 30% Partii Konserwatywnej, czyli sześciopunktowy spadek w stosunku do przewidywań zeszłorocznych. Torysi są teraz słabsi niż kiedykolwiek, odkąd Boris Johnson zdobył większość parlamentarną 80 mandatów w wyborach z 2019 r.

Najbardziej bolesne straty ponieśli w radach uważanych za ich bastiony – w Wandsworth i Westminsterze, gdzie dotychczas polityka niskich podatków lokalnych pomagała zachować kontrolę. W dzielnicy Westminster, siedzibie budynków rządowych, opozycyjna Partia Pracy wygrała pierwszy raz w historii. Wyborcy okazali przy urnach nieufność wobec władzy, która łamie prawo i kłamie. Drugą przejętą przez laburzystów dzielnicę, Wandsworth, konserwatyści kontrolowali od 1978 r., uważana była za modelowy przykład zarządzania lokalnego od epoki thatcheryzmu, kiedy sprywatyzowano tam mieszkalnictwo komunalne. Nie udało się natomiast odebrać torysom Kensington ani Chelsea.

„Wybory lokalne nie są idealnym odzwierciedleniem pragnień całego kraju ani tego, co by się stało, gdyby teraz odbyły się wybory powszechne. Ale są one miarodajne, jeśli chodzi o sytuację dwóch głównych partii, które zabiegają o rządzenie nami wszystkimi", pisze Laura Kuenssberg, komentatorka BBC.

Premier Johnson nie okazał zdenerwowania, nawet kiedy z godziny na godzinę stawało się jasne, że konserwatyści tracą w tych okręgach, gdzie mogli czuć się bezpiecznie. W kampanii wyborczej znaczna część kandydatów z ramienia PK zrezygnowała z umieszczania w ulotkach swojego zdjęcia z Borisem Johnsonem, uznając je za pocałunek śmierci. Zamiast tego podkreślali, jak bardzo lokalna jest Partia Konserwatywna, i usiłowali odciąć się od polityki krajowej. Premiera wysłano na spotkania wyborcze do okręgów, gdzie torysi mają pewną większość, a i tak nie uniknął wpadki. Spytany o komentarz do historii Elsie, 77-letniej emerytki, która całe dnie jeździła autobusami – za darmo – żeby ograniczyć koszty ogrzewania swojego mieszkania, premier nie miał wiele do powiedzenia, poza tym, że to on wprowadził darmowe przejazdy dla emerytów. Przywódcy gminnych rad, którzy stracili zaufanie wyborców, usiłowali łączyć swoje przegrane z fatalnym wizerunkiem premiera Johnsona. Jednak wyraźnych sygnałów, że toryscy buntownicy idą po niego, nie było i nadal nie ma.

„W Szkocji i Walii konserwatyści również są w odwrocie. Ale to za mało, aby spodziewać się eksplozji na Downing Street – ocenia Kuenssberg. – Po 12 latach rządów takie straty w połowie kadencji nie są bezprecedensowe".

Nic o nas bez nas

Spadek poparcia dla konserwatystów nie przełożył się bezpośrednio na awans Partii Pracy. Jej prognozowany wynik w wyborach

eprasa.pl 7eed6e752a

Tegoroczne wybory to werdykt dla czołowych postaci polityki, w tym lidera konserwatystów, premiera Borisa Johnsona.

powszechnych na podstawie wyników z wyborów lokalnych to 35%, o 6 pkt proc. więcej niż w zeszłym roku, ale tyle samo miała PP w 2018 r., kiedy Jeremy Corbyn był jej liderem. Partia Pracy utrzymała dominację w Londynie i zapewniła sobie niewielkie zyski w południowej Anglii, tracąc w północnej na rzecz konserwatystów. Ponad 50 mandatów netto to raczej odzwierciedlenie spadku poparcia dla konserwatystów niż autorski sukces wyborczy laburzystów.

Upadek konserwatystów pomógł natomiast Liberalnym Demokratom, którzy zyskali 200 mandatów netto i prognozowany wynik 19% w krajowych wyborach. Najmniej oczekiwanym sukcesem było zdobycie przez Zielonych ponad 50 mandatów, czyli ponaddwukrotne zwiększenie ich reprezentacji w radach. Partia Zielonych zdobyła średnio 12% poparcia w tych okręgach, w których stanęła do walki.

W Szkocji po raz pierwszy od 2016 r. Partia Konserwatywna zajęła trzecie miejsce za Partią Pracy, podczas gdy proniepodległościowa Szkocka Partia Narodowa (SNP) i Zieloni poczynili postępy. „To na pewno nie pomoże torysom bronić jedności Królestwa", przyświadcza prof. John Curtice. SNP po tylu latach dominacji na scenie politycznej zagrała kolejny świetny akt. Pierwsza minister Szkocji Nicola Sturgeon będzie w dalszym ciągu zabiegać o referendum niepodległościowe, chociaż poparcie dla tej idei od roku utrzymuje się na poziomie poniżej 50%, z wyjątkiem tygodni, kiedy media pisały o Partygate na Downing Street.

Partia Pracy nie posuwa się wystarczająco daleko ani szybko, by mieć pewność, że jest na dobrej drodze do przeprowadzki na Downing Street, podsumowuje Laura Kuenssberg. Mówi się, że lider PP sir Keir Starmer i jego zespół zatrzymali proces rozkładu partii, który rozpoczął się pod rządami Jeremy'ego Corbyna, ale może im nie starczyć pasji, by sięgnąć po zwycięstwo w wyborach powszechnych. W procesie wychodzenia z „długiego Corbyna" (ang. *long Corbyn*, analogicznie do „długiego covidu", *long Covid*) na pewno pomoże zwycięstwo laburzystów w Barnet, gminie w północno-zachodniej części Wielkiego Londynu. Konserwatyści rządzili w niej lub byli największą partią od 1964 r. Mieszka tam duża społeczność żydowska, co pokazuje, że w oczach wyborców Starmer rozwiązał problem antysemityzmu w partii, obciążającego ją za czasów Corbyna.

Polacy głosują

Wielka Brytania dzieli się administracyjnie na Anglię, Szkocję i Walię, a skład Zjednoczonego Królestwa dopełnia Irlandia Północna. Każdy z czterech krajów ma odrębny system samorządu terytorialnego, bez konstytucyjnej gwarancji niezależności. Parlament brytyjski dysponuje prawie nieograniczoną władzą nad administracją lokalną i decyduje, które sprawy przekazać w jej ręce. Mimo to silna i niezależna władza samorządowa ma duże tradycje w społeczeństwie

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 7eed6e752a

brytyjskim, pogłębione przez więzi, które rozwinęły się lokalnie podczas pandemii koronawirusa.

Janusz Karp, szef kuchni w tradycyjnym angielskim pubie, działacz banku żywności przy klubie piłkarskim AFC Wimbledon: „Jestem zakochany w dzielnicy Wimbledon, gdzie mieszkam od pięciu lat. W Anglii jestem od 2009 r. Głosuję, bo imigranci ciężko pracują, płacą podatki i mają prawo decydować, kto będzie reprezentował ich interesy lokalnie. Najważniejsze tematy: zachowanie posterunku policji i zatrzymanie planów rozbudowy kortów tenisowych poprzez wykarczowanie części Wimbledon Park. Głosuję na Liberalnych Demokratów. Liderem LD lokalnie jest Paul Kohler. Do polityki trafił późno i, niestety, w pewnym sensie przez czterech Polaków, którzy w 2014 r. napadli go w domu i ciężko pobili. Przeżył, gdyż policja nadjechała w ciągu dwóch minut z pobliskiego komisariatu. Przeszedł kilka operacji rekonstrukcji twarzoczaszki. Kohler nie żywi urazy do swoich oprawców, jednego z nich odwiedził w więzieniu. Ma żal do probrexitowej formacji UKIP za szczucie na imigrantów. W mojej komisji wyborczej (Wimbledon Town & Dundonald) wygrało ze znaczącą przewagą trzech kandydatów LD, 500 m dalej, w komisji Wimbledon Village, wygrali trzej konserwatyści. Tam mieszka i głosuje bogata, stara Anglia. Moim zdaniem afery w rządzie i w Partii Konserwatywnej miały nie mniejszy wpływ na wyniki wyborów lokalnych niż lawinowy wzrost kosztów życia. Mam nadzieję, że dla torysów nadszedł czas zapłaty za brexit – największe oszustwo polityczne świata. Liczę na historyczną zmianę w polityce”.

Agnieszka Łokaj, Programme Support Officer w jednej z lokalnych gmin, prezeska Lewisham Polish Centre: „Nie wszędzie na świecie ludzie mogą wpływać na decyzje, które ich bezpośrednio dotyczą. Mój głos to moja siła, jeśli chcę coś zmienić. Tego uczę moje dzieci, które zawsze zabieram na głosowanie. Miałam kontakt z osobami, na które oddałam głosy. Nie głosowałam na przedstawicieli jednego ugrupowania; w samorządach powinno się dążyć do dywersyfikacji. Politycy są obecnie odklejeni od rzeczywistości ludzi takich jak ja. Wymuszają decyzje na samorządach, obcinając im finansowanie. To rzutuje na opinię ludności o serwisach lokalnych, niszczy relacje z władzami lokalnymi i chęć uczestnictwa w wyborach. Kandydaci, na których głosowałam, pochodzą z różnych środowisk, także imigracyjnych i mniejszości etnicznych. Uważam, że wszystkie zmiany zaczynają się oddolnie. W sprawach lokalnych ważne jest dla mnie bezpieczeństwo, zasoby mieszkaniowe, zadbane parki i zielone przestrzenie oraz szkolnictwo. Głosowałam w Lewisham, okręg Downham”.

Brytyjski parlament dysponuje prawie nieograniczoną władzą nad administracją lokalną i decyduje, które sprawy przekazać w jej ręce.

Ewa McKee, socjolożka i dziennikarka: „Mieszkam w Glasgow i Warszawie. Głosuję w wyborach lokalnych zarówno w Polsce, jak i w Szkocji. Nic o nas bez nas. Jestem za ideą silnego państwa obywatelskiego, małych ojczyzn, samorządności. W Szkocji głosuję na SNP i Zielonych (przy kandydatach stawia się cyfrę oznaczającą kolejność wyboru). Chciałabym, żeby Szkocja była niepodległa, i dlatego wspieram partie niepodległościowe. Niestety, duże rozdrobnienie w radach i brak zdecydowanej większości powodują, że dominują rozgrywki partyjne zamiast skutecznego zarządzania miastem. Zależy mi na tym, aby w Glasgow lepiej zarządzano inwestycjami i planowaniem przestrzennym. Miasto jest trudne do poruszania się dla osób niepełnosprawnych. Rzeka Clyde, niegdyś jego oś gospodarcza, to niewykorzystany potencjał rekreacyjny i przyrodniczy. Najpilniejszą sprawą jest dla mnie wywożenie śmieci zgodnie z harmonogramem, co niestety nie jest tu oczywiste. Władze lokalne powinny wprowadzić zbiórki odpadów zielonych z ogrodów; obecnie każdy zobowiązany jest usuwać je na własną rękę, czyli jedni wywożą je do kompostowników, drudzy w pobliskie zarośla. Na ulicach i w parkach jest brudno, leżą resztki jedzenia i opakowania po nim. Rozwiązanie problemu śmieciowego byłoby dobrym startem nowej kadencji”.

Zuzanna Muszyńska
z.muszynska@tygodnikprzeglad.pl

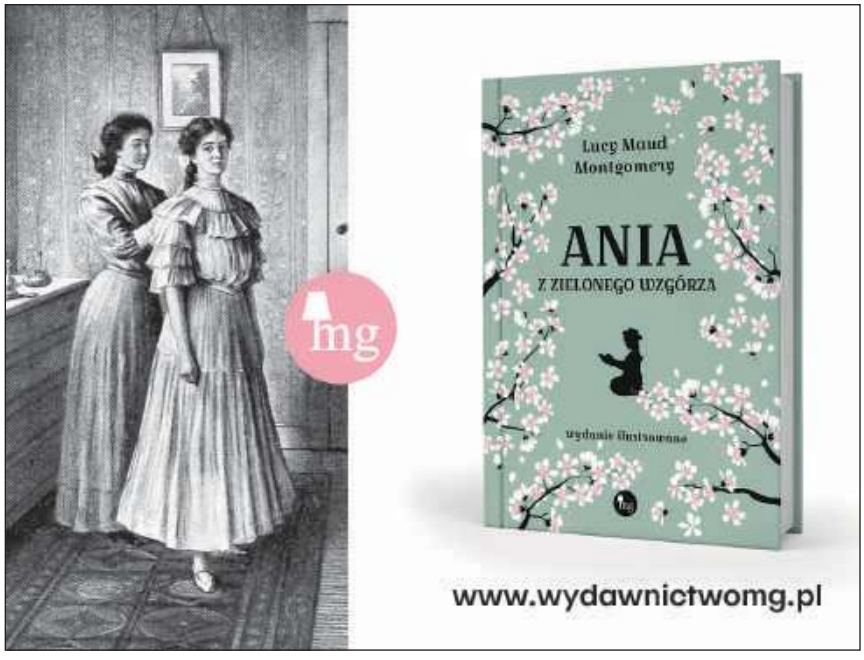

eprasa.pl 7eed6e752a

Szefująca Sinn Féin Mary Lou McDonald (z prawej) nie zamierza iść na kompromis. Nz. z partyjną koleżanką Michele O'Neil, kandydatką na premierkę Irlandii Północnej.

Irlandzka noc jedności

Sinn Féin, partia wyklęta, przejmuje władzę w Irlandii Północnej. A może i na całej wyspie

Mateusz Mazzini

Jak na kraj niespełna pięciomilionowy Irlandia zawsze cechowała się wręcz nadprodukcją geniuszu literackiego. W jakiejkolwiek formie by się on manifestował, zawsze jednak zahaczał o politykę. Czy to w Joyce'owskim strumieniu świadomości, służącym do przedstawiania mieszczańskiego życia Dublina w monumentalnym „Ulissesie", czy też w prostocie noblowskich wierszy Seamusa Heaneya. Ten drugi, choć dorobek zgromadził ogromny i wielowarstwowy, sporą część twórczości poświęcił życiu na wyspie w cieniu The Troubles – rozpoczętego w 1968 r. okresu realnej wojny cywilnej protestantów i katolików na północy kraju. W najbardziej znanym utworze z tego czasu, który Patrick Radden Keefe wykorzystał później w tytule głośnej książki o irlandzkim terroryzmie z tamtych lat, Heaney w ascetycznej niemal formie zawarł wszystko, czym Irlandia wtedy oddychała. Lęk, przemoc, konspiracja, bratobójstwo, milczenie wyrażone zostały w jednym zdaniu: Cokolwiek powiesz, nic nie mów.

Partia wyklęta

Dziś Irlandia – jedna i druga, również ta północna – w niewielkim stopniu przypomina tamte naznaczone śmiercią czasy. Inną twarz ma też irlandzka literatura, teraz popularna przede wszystkim dzięki Sally Rooney, autorce najgłośniejszej książki ostatnich lat, „Normalni ludzie". Choć to powieść o dojrzewaniu w postmodernistycznym świecie, bez głębokich korzeni, gdzie stare podziały klasowe krzyżują się z nowym poczuciem niestabilności, i w niej czuć posmak irlandzkiej polityki. W jednym z pierwszych rozdziałów nastoletni wówczas bohaterowie, awansujący społecznie Connell i pochodząca z warstw uprzywilejowanych Marianne, wymieniają się SMS-ami po ogłoszeniu wyników wyborów do irlandzkiego parlamentu. Zwycięstwo prawicy denerwuje Connella, bo „do parlamentu weszli faszyści", Marianne z kolei wygrywającą głosowanie Fine Gael nazywa „partią Franco".

Choć to scena fikcyjna i dotyczy wyborów w Republice Irlandii, a nie Irlandii Północnej, formalnie będącej częścią Wielkiej Brytanii, dobrze obrazuje polityczny i kulturowy kontekst dzisiejszej polityki po obu stronach granicy na wyspie. 5 maja w wyborach do Zgromadzenia Północnoirlandzkiego po raz pierwszy od podzielenia republiki na dwie części w 1921 r. najwięcej głosów zebrała Sinn Féin, lewicowo-nacjonalistyczna partia mająca bezpośrednie korzenie w ruchu republikańskim. Jeszcze niedawno będąca politycznym ramieniem IRA,

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 7eed6e752a

Irlandzkiej Armii Republikańskiej, przez lata była w irlandzkiej polityce, po obu stronach granicy, partią wyklętą.

Pozostałe ugrupowania nie dawały wiary, że jej liderzy nie utrzymują kontaktów z politycznie motywowanymi zamachowcami. Nawet po podpisaniu w 1998 r. porozumienia wielkopiątkowego, które oficjalnie zakończyło trzy dekady The Troubles, nikt z Sinn Féin nie chciał nawet prowadzić rozmów koalicyjnych. Zwłaszcza że IRA nie umarła, w ostatnich latach powstało jej nowe wcielenie, które już zdążyło się przyznać m.in. do morderstwa dziennikarki śledczej Lyry McKee. Nawet kiedy w 2020 r. wybory parlamentarne w Republice Irlandii skończyły się patem, bo żadna z dominujących sił, ani centroprawicowa Fianna Fáil, ani jeszcze bardziej konserwatywna Fine Gael, nie uzyskała samodzielnej większości, wolały podzielić się władzą między sobą, niż choćby podjąć negocjacje koalicyjne z Sinn Féin.

Na północy sytuacja była niewiele lepsza. Pomimo realnej możliwości sprawowania władzy, zagwarantowanej republikanom w ramach porozumienia wielkopiątkowego, sami nigdy z niej nie skorzystali. Porozumienie zakładało bowiem zaprojektowaną przez wybitnego holenderskiego politologa Arenda Lijpharta zasadę współdzielenia władzy, na mocy której każdy demokratycznie wybrany rząd Irlandii Północnej musi się składać z reprezentantów zarówno unionistów (zwolenników utrzymania kraju wewnątrz Wielkiej Brytanii), jak i republikanów. Ci drudzy, a więc przede wszystkim Sinn Féin, konsekwentnie ten (własny) przywilej ignorowali. Po prostu odrzucali możliwość udziału w jakimkolwiek przedsięwzięciu politycznym, które nie prowadziłoby jednoznacznie do połączenia obu Irlandii.

W praktyce Sinn Féin sama skazywała się na polityczną marginalizację, trwającą łącznie 86 lat. Tyle czasu przedstawiciele ugrupowania startowali w różnorakich wyborach, czasem nawet je wygrywając, po czym nie przyjmowali swoich mandatów. Autoizolacja skończyła się dopiero w 2007 r., kiedy pierwsi członkowie Sinn Féin zgodzili się zasiąść w komisji ds. reformy policji i innych służb mundurowych. Był to przełom, choć tylko częściowy, na szczeblu brytyjskim bojkot trwa w najlepsze. Sinn Féin kontroluje dziś 7 z 18 przypadających na Irlandię Północną miejsc w Izbie Gmin, konsekwentnie odmawiając udziału w jej posiedzeniach. Władzy Westminsteru nad Belfastem nie uznaje, widzi w niej wciąż kolonialnego okupanta.

Zwycięstwo, a co potem?

Tegoroczne wybory do Zgromadzenia Północnoirlandzkiego, mogą jednak wyprowadzić północny skrawek wyspy z tego komfortowego status quo. Po raz pierwszy od 1921 r. Sinn Féin wybory wygrała. Choć przewagą nieznaczną – 27 mandatów wobec 24 dla unionistycznej partii DUP (Democratic Unionist Party) – zwycięstwo nacjonalistów ma znaczenie nie tylko symboliczne. Porozumienie wielkopiątkowe i obowiązująca na północy ordynacja proporcjonalna sprawiają, że właśnie Sinn Féin będzie miała teraz trwający 60 dni przywilej wysunięcia kandydata na szefa rządu Irlandii Północnej. Będzie oczywiście potrzebowała do tego koalicjanta, ale o tym za chwilę. Na razie w obozie dawnych bojowników, po obu stronach granicy, trwa odkorkowywanie butelek z szampanem.

Jeśli w ciągu 60 dni nie uda się sformować rządu, wybory trzeba będzie powtórzyć. Szefująca całości struktur partyjnych (a więc w Republice Irlandii i w Irlandii Północnej) Mary Lou McDonald na kompromis jednak iść nie zamierza. Wprawdzie na czas kampanii wyborczej wyciszyła postulaty zjednoczeniowe, koncentrując się na kwestiach ekonomicznych, lecz natychmiast po niedawnym zwycięstwie do nich wróciła. W wywiadzie dla BBC podkreśliła, że jej zdaniem referendum w sprawie połączenia obu Irlandii możliwe jest w ciągu najbliższych pięciu lat.

Z jednej strony, nie powinno to nikogo dziwić, bo przecież Sinn Féin z idei reunifikacji nigdy nie zrezygnowała, czego dowodem były wyżej opisane bojkoty. Z drugiej – całkiem spora część klasy politycznej, zarówno w Dublinie, jak i w Londynie, miała prawo liczyć, że wraz z wejściem do politycznego mainstreamu nacjonaliści złagodzą swoje postulaty, porzucając te najbardziej radykalne. Niejednokrotnie przecież w historii polityki partie podobne do Sinn Féin przekonywały się boleśnie, że postulaty antysystemowe bardziej przydają się w kampaniach wyborczych niż w samym rządzeniu.

Skąd właściwie wziął się triumf Sinn Féin, przewidywany od miesięcy przez sondażownie i analityków i jednocześnie będący szokiem dla brytyjskiego systemu politycznego? Przede wszystkim to efekt słabości największych rywali. Przez ostatnie 20 lat bezpieczną kontrolę nad północnoirlandzką polityką sprawowali unioniści z DUP. W 2017 r. urośli nawet do roli rozgrywających w Londynie, kiedy po przyśpieszonych wyborach konserwatyści pod wodzą Theresy May nie zebrali większości w Izbie Gmin. Bez ówczesnego poparcia DUP nie byłoby rządu torysów, a w konsekwencji być może nawet ukończenia rozwodu Londynu z Unią Europejską, przynajmniej nie w takim kształcie, w jakim się zmaterializował.

Przez chwilę unioniści rozdawali więc karty na swoim podwórku, ale też za wodą, jak mówi się w Belfaście o reszcie Zjednoczonego Królestwa. Ten moment wielkości szybko przeszedł jednak do historii – skończył się wraz z problemami wynikającymi z brexitu. Bo choć DUP rozstanie z Europą poparła, licząc na zacieśnienie sojuszu z Londynem i utrwalenie unionistycznej

Według władz Sinn Féin referendum w sprawie połączenia obu Irlandii możliwe jest w ciągu najbliższych pięciu lat.

eprasa.pl 7eed6e752a

tożsamości, mocno w tym projekcie się przeliczyła.

Brexit zakończył się dla niej katastrofą. Na papierze wszystko było dobrze przemyślane. Po pierwsze, wyjście z Unii, w myśl naczelnej idei brexitowców, zwiększy suwerenność Wielkiej Brytanii, a przez to Irlandii Północnej, która po wprowadzeniu decentralizacji władzy przez rząd Tony'ego Blaira w latach 90. i tak mogła decydować sama o bardzo wielu sprawach. Po drugie, mniej Europy automatycznie miało oznaczać więcej brytyjskości. Pozbawiona dostępu do rynku na kontynencie Irlandia Północna miała zintensyfikować relacje handlowe z resztą Królestwa, a korzyści miały odnieść obie strony. Po trzecie wreszcie, bliżej do Londynu to dalej do Dublina. Republika Irlandii pozostawała przecież fragmentem Unii Europejskiej, której Irlandia Północna już nie była częścią. Oznaczało to cła, kontrole, być może nawet przywrócenie fizycznej granicy pomiędzy dwiema Irlandiami. Wtedy o reunifikację byłoby nieporównywalnie trudniej, być może Sinn Féin przepadłaby zupełnie jako polityczny rywal, wracając na margines czy nawet do pozademokratycznego podziemia.

Irlandie coraz bliższe

Tyle teorii. Bo praktyka jest niemal dokładnie odwrotna. Szybko się okazało, że gospodarka północy na separacji z Republiką Irlandii straciłaby ogromne pieniądze, więc fizyczna granica nie była w niczyim interesie. DUP zaczęła negocjować wciśnięcie do układu brexitowego tzw. protokołu północnoirlandzkiego, zapewniającego krajowi specjalny status po wyjściu Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej. W największym skrócie, dzięki temu aneksowi do umowy rozwodowej Londynu z Brukselą Irlandia Północna pozostała pod względem handlowym częścią wspólnego rynku unijnego, dzięki czemu dobra przepływające do niej i przez nią np. z Irlandii nie muszą być restrykcyjnie kontrolowane przez służby celne.

Nie znaczy to jednak, że granica nie powstała, bo powstała, tylko kilkaset kilometrów dalej na północ, na morzu. Tak przynajmniej widzą to unioniści, na których spadł ciężar postbrexitowej biurokracji. Przypływające do portu w Belfaście dobra konsumenckie są właśnie tam przetrzymywane, póki nie przejdą przez granicę celną. Już w pierwszych miesiącach po wyjściu Wielkiej Brytanii z Unii spowodowało to ogromne przestoje, korki, protesty kierowców ciężarówek, a w najgorszych przypadkach groźby śmierci wobec pracowników portu. Wróciła też motywowana politycznie przemoc, bo w 2021 r., przy okazji setnej rocznicy irlandzkiej niepodległości, Dublin znów na kilka dni stanął w płomieniach.

Sinn Féin kontroluje dziś 7 z 18 przypadających na Irlandię Północną miejsc w Izbie Gmin, konsekwentnie odmawiając udziału w jej posiedzeniach.

Rozczarowani skutkami brexitu są nie tylko wyborcy DUP, ale nawet spora część polityków partii. Inne partie unionistyczne: Traditional Unionist Voice i Ulster Unionist Party, UUP, umowę z Londynem nazwały katastrofą i „śmiertelnie groźną porażką" DUP, która „może trwale wepchnąć północ w gospodarczą orbitę Dublina". Co oczywiście dla tych środowisk byłoby ideologicznie scenariuszem najgorszym.

Tymczasem Sinn Féin po cichu idzie po swoje. DUP zapowiedziała już, że nie wejdzie do żadnej koalicji, która nie zagwarantuje zmiany zapisów protokołu północnoirlandzkiego. To jednak polityczne pustosłowie, bo przecież treść dokumentu leży w gestii nie Dublina ani Belfastu, tylko Borisa Johnsona i Unii Europejskiej. Chętni do rozmów z nacjonalistami są natomiast (na razie) centryści z partii Alliance, nieopowiadający się ani za dalszym związkiem z Wielką Brytanią, ani za połączeniem z Republiką Irlandii. Mary Lou McDonald chce tego drugiego, najszybciej jak się da. I ma ku temu powody. Ubiegłoroczny sondaż przeprowadzony przez dziennik „Irish Independent" wskazuje, że dwie trzecie mieszkańców Republiki Irlandii chce przyłączenia części północnej do ich kraju. Po drugiej stronie granicy podobną wolę wyraża 35%. Z kolei badanie zlecone przez „Irish Times" w 2020 r. pokazało inny trend – aż 51% Irlandczyków z północy poparłoby ideę referendum zjednoczeniowego w perspektywie pięciu lat. A od tego do kolejnej wygranej droga krótka. Referenda potrafią być zaskakujące, na Wyspach Brytyjskich powinni o tym dobrze wiedzieć.

Czy wygrana Sinn Féin będzie początkiem końca Irlandii Północnej? Trudno o tym przesądzać. Obie Irlandie są jednak sobie coraz bliższe. W „Belfaście", nominowanym do Oscara fantastycznym, na wpół autobiograficznym filmie, Kenneth Branagh podsumowuje to balansowanie pomiędzy Republiką a Królestwem jednym zdaniem. Kiedy główny bohater, kilkuletni Buddy, zwierza się dziadkowi z lęków związanych z przeprowadzką do Liverpoolu, dziadek odpowiada: „Jeśli cię tam nie zrozumieją, to znaczy, że nie chcą cię wysłuchać". Być może więc Irlandczycy z obu stron granicy wreszcie gotowi są słuchać siebie nawzajem. Być może, jak śpiewał Bono w poświęconej The Troubles piosence „Sunday Bloody Sunday", nadchodzi noc, w której wszyscy będą jednością, również Irlandczycy.

Być może Irlandczycy z obu stron granicy wreszcie gotowi są słuchać siebie nawzajem.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7eed6e752a

Łukasz Dąbrowiecki
Korespondencja z Niemiec

Premier Meklemburgii-Pomorza Przedniego Manuela Schwesig jest wielką zwolenniczką gazociągu Nord Stream 2.

Gazociąg trojański

Neoliberał zawinił, aktywistów oskarżyli

Nie jest tajemnicą, że zarówno majątki rosyjskich oligarchów, jak i odnowiony imperializm wielkorosyjski zostały zbudowane dzięki polityce energetycznej. Moskwa od dawna nadawała jej wymiar strategiczny, w pełni zdając sobie sprawę, że w tej dziedzinie ma szansę dzierżyć światowe przywództwo. Śledząc jej wpływy, łatwo zejść na manowce.

Fałszywy trop

Pod koniec marca br. w niemieckim piśmie „Die Welt" ukazał się artykuł Axela Bojanowskiego „Jak Putin rozgrywał aktywistów klimatycznych w Europie", przetłumaczony i wydrukowany potem przez „Gazetę Wyborczą". Teza zawarta w tytule, przekształcona w uogólniony hejt w guście „ekolodzy są opłacani przez Ruskich", rozlała się po polskim internecie i zaczęła być używana do niemerytorycznych ataków zarówno na aktywistów klimatycznych, jak i na przyrodników starej daty, obrońców lasów, a ostatecznie i na samą Komisję Europejską z jej programem „Fit for 55" mającym na celu ograniczenie emisji gazów cieplarnianych przez gospodarki Wspólnoty.

Autor „Die Welt", sceptyczny wobec naukowców nagłaśniających globalne zagrożenie związane z antropogenicznymi zmianami klimatu i niechętny aktywistom klimatycznym, postanowił wykorzystać światowy wstrząs i wściekłość wywołane agresją Rosji, by przylepić łatkę ruskich agentów tym, z którymi się nie zgadza. Na przykład organizacji proklimatycznych aktywistów z Extinction Rebellion. Aby to zrobić, powrócił do sprawy wydobycia gazu łupkowego. Temat ten przed dekadą rozgrzewał także polską opinię publiczną, której część oczyma wyobraźni ujrzała Kuwejt nad Wisłą.

Bojanowski sięgnął m.in. po raport Centrum Studiów Europejskich im. Wilfrieda Martensa „Niedźwiedź w owczej skórze" z 2016 r. Centrum jest polityczną fundacją Europejskiej Partii Ludowej (EPP), w której zrzeszone są PO i PSL. Organizacja zajmuje się „promowaniem wartości chrześcijańsko-demokratycznych i konserwatywnych". Dziennikarz z całego raportu dotyczącego finansowanych przez Rosję państwowych organizacji pozarządowych (GONGOs, *government-organised non-government organisations*), organizacji pozarządowych (NGOs) i think tanków wyciągnął jedno zdanie: „Według jednego z rozmówców wydobycie gazu łupkowego w UE byłoby niekorzystne dla Rosji ze względu na jej finansową zależność od eksportu gazu do UE. Dlatego rosyjski rząd zainwestował 82 mln euro w organizacje pozarządowe, których zadaniem jest przekonanie rządów UE do zaprzestania poszukiwań gazu łupkowego". Rozmówca jest anonimowy, nie wiadomo też, skąd wzięła się kwota 82 mln euro. Dokument Centrum Martensa nie dotyczy europejskich grup ochrony środowiska ani działań ekologicznych. Wręcz przeciwnie, autorzy raportu piszą, że to państwo rosyjskie od dawna odmawia rejestracji niezależnym rosyjskim organizacjom pozarządowym, a rosyjscy działacze na rzecz ochrony środowiska są regularnie nękani.

Inny „dowód", którym podpiera się autor artykułu z „Die Welt", to wypowiedź Andersa Fogha Rasmussena, byłego sekretarza generalnego NATO, który w 2014 r., przemawiając na spotkaniu Chatham House, brytyjskiego think tanku do spraw zagranicznych, powiedział: „Spotkałem sojuszników, którzy mogą potwierdzić, że Rosja, w ramach wyrafinowanych operacji informacyjnych i dezinformacyjnych, aktywnie współpracowała z tzw. organizacjami pozarządowymi – organizacjami ekologicznymi działającymi przeciwko gazowi łupkowemu

eprasa.pl 7eed6e752a

– w celu utrzymania europejskiej zależności od importowanego rosyjskiego gazu. To jest moja interpretacja". Ani Rasmussen, ani autor tekstu nie wyjaśnili, jaką formę miało przybrać rosyjskie zaangażowanie i czy zainteresowane grupy były świadome, że mają do czynienia z agentami Moskwy, jeśli w ogóle miało to miejsce. To interpretacja.

Bojanowski dorzuca równie niewiele wyjaśniającą wypowiedź Hillary Clinton z 2014 r. W przemówieniu na zamkniętym spotkaniu, którego treść ujawnił portal WikiLeaks dwa lata później, ubolewała: „Byliśmy przeciwko fałszywym grupom ochrony środowiska. Ja jestem wielką obrończynią środowiska, ale te były finansowane przez Rosjan, by sprzeciwiać się wszystkiemu. Och, ten rurociąg, to szczelinowanie hydrauliczne, to cokolwiek, co jest problemem, mnóstwo pieniędzy na rozpowszechnianie takich informacji pochodziło z Rosji".

Jeszcze jednym argumentem ma być artykuł w „Foreign Policy", który w bardziej oględny sposób wyrokował: „Ekolodzy próbujący zablokować poszukiwania gazu łupkowego w Europie nieświadomie pomagają Putinowi utrzymać jego wpływ energetyczny na kontynent".

Autor „Die Welt" nie zauważa, że również USA, które ponad 10 lat temu przeprowadzały tzw. rewolucję łupkową, mogło zależeć na tym, by Unia Europejska nie stanowiła dla nich konkurencji. Chęć Kremla uzależnienia Europy od dostaw surowców energetycznych z Rosji oraz konieczność szybkiej redukcji emisji gazów cieplarnianych, do której nawołują naukowcy i aktywiści klimatyczni, też ze sobą nie współgrają.

Całość publikacji, bazującej na niedopowiedzeniach, domysłach i interpretacjach i stawiającej w złym świetle środowiska walczące ze szkodliwym dla klimatu uzależnieniem świata od paliw kopalnych, robi wrażenie materiału promocyjnego dla sektora szczelinowania hydraulicznego. Tymczasem nawet w źródłach, na które sam się powołał, Bojanowski mógł znaleźć informację, że Międzynarodowa Agencja Energetyczna wzywa do zaprzestania inwestycji w ropę, gaz i węgiel, jeśli świat ma osiągnąć zerowe emisje netto do 2050 r. Czy ona też jest pod wpływem moskiewskich agentów?

Gerhard Schröder jako rosyjski lobbysta zarabia niemal 1 mln dol. rocznie.

Oskarżony Schröder

Poważniejszym problemem w tym kontekście wydaje się europejskie zahamowanie rozwoju, a następnie wygaszanie sektora energii jądrowej, która mogła odgrywać rolę niskoemisyjnego wsparcia dla planowanej rozbudowy instalacji solarnych i wiatrowych. Ten model transformacji promują od lat Niemcy. Jego wczesne elementy legislacyjne pojawiły się na początku lat 90., a pierwszą decyzję o odejściu od atomu podjął pierwszy gabinet Gerharda Schrödera po uzyskaniu konsensusu z firmami energetycznymi jeszcze w 2000 r. – zanim Władimir Putin rozsiadł się na dobre w fotelu prezydenta Federacji Rosyjskiej. Kanclerz wszedł w zażyłe stosunki z władcą Kremla, by po zakończeniu urzędowania przejść na jego utrzymanie na posadzie w Gazpromie. Jego zadaniem była realizacja projektu Gazociągu Północnego. Schrödera trudno podejrzewać o jakiekolwiek ambicje klimatyczne. To człowiek epoki neoliberalizmu, dla niego liczy się wyłącznie zysk. Tani rosyjski gaz mógł mu nawet autentycznie wydawać się atrakcyjną alternatywą dla atomu, który w kraju wzbudzał niekończące się protesty. Przypieczętowując zamknięcie elektrowni jądrowych, miał spokój.

To nie była skomplikowana koncepcja. Podłączyć RFN bezpośrednio do tanich rosyjskich surowców kopalnych, utrzymywać dzięki nim konkurencyjność niemieckiej gospodarki opartej na eksporcie dóbr wysokoprzetworzonych (w tym np. produktów inżynieryjnych dla energetyki wiatrowej), nadmiar gazu sprzedać krajom sąsiednim, które za pomocą dyplomacji też skłoni się do rezygnacji z atomu. Jak już wiadomo, ta polityka energetyczna, kontynuowana przez jego następczynię Angelę Merkel, doprowadziła do absolutnej katastrofy.

Po rosyjskiej agresji na Ukrainę Schröder, który zarabia jako rosyjski lobbysta niemal 1 mln dol. rocznie, w wywiadzie dla „New York Timesa" stwierdził, że przyznawanie się do winy nie jest w jego stylu i nie zamierza rezygnować ze stanowisk w rosyjskich spółkach gazowych. Obecnie chyba już wszyscy chcą jego usunięcia z partii, pracownicy jego biura zrezygnowali z pracy, a na początku marca były kanclerz został postawiony w stan oskarżenia. Za zbrodnie przeciwko ludzkości. Wniosek złożyła prokuratura w Hanowerze, a po weryfikacji został on przekazany do prokuratora generalnego w Karlsruhe. Szczegóły nie zostały ujawnione.

Były chadecki kanclerz Austrii Wolfgang Schüssel był zatrudniony na posadzie w rosyjskim koncernie naftowym Łukoil.

Przychylna premier Meklemburgii-Pomorza Przedniego

Gazociąg Północny wynurza się z wód Bałtyku w Lubminie koło Greifswaldu. Miejscowość leży na terenie graniczącego z województwem zachodniopomorskim kraju związkowego Meklemburgia-Pomorze Przednie. Tutejsze władze są przykładem, jak rosyjski lobbing działa za pośrednictwem koneksji byłego kanclerza.

4 lipca 2017 r. jako pierwsza kobieta na stanowisko premiera

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7eed6e752a

Meklemburgii-Pomorza Przedniego została wybrana Manuela Schwesig. Wcześniej była ministrą spraw społecznych i zdrowia w pierwszym gabinecie swojego poprzednika Erwina Selleringa. Jak przypomniał na początku lutego „Frankfurter Allgemeine Zeitung", jej szef był jednym z zaufanych gości na pamiętnych 70. urodzinach Gerharda Schrödera. Rosja właśnie zaatakowała Ukrainę, gdy ekskanclerz zabrał ze sobą Selleringa, ówczesnego premiera Meklemburgii-Pomorza Przedniego, oraz byłego oficera Stasi Matthiasa Warniga, dyrektora zarządzającego Nord Stream, na zabawę do Petersburga. Warnig z Putinem przyjaźnił się jeszcze przed jego prezydenturą. Sellering w 2017 r. został odznaczony rosyjskim „Orderem Przyjaźni". Warnig przewodniczy Partnerstwu Niemiecko-Rosyjskiemu, które jest organizatorem Dni Rosji w Meklemburgii-Pomorzu Przednim. „FAZ" nazywa je corocznym festiwalem przyjaciół Putina.

Nowa premier, Manuela Schwesig, jest wielką zwolenniczką budowy Nord Stream 2. Również podróżowała do Petersburga, z delegacją biznesową była obecna na forum gospodarczym, które Putin próbuje ustanowić jako rosyjski odpowiednik Światowego Forum Ekonomicznego w Davos. U siebie w Schwerinie gościła ambasadora Rosji. Niemieckie media ujawniły, że w 2018 r. pojechała do Berlina ze specjalną wizytą do Gerharda Schrödera, gdy USA ogłosiły kolejny pakiet sankcji wobec Rosji. Zagroziły one kontynuacji budowy drugiej nitki Nord Stream. Spotkanie było poufne. Spółka Nord Stream 2 jest w Meklemburgii-Pomorzu Przednim sponsorem licznych obiektów kulturalnych, festiwali i klubów sportowych, dzięki którym zyskuje wpływy w landzie. Jak przyznał jeszcze w 2014 r. zastępca ambasadora Rosji, w związku z trudnościami w porozumieniu z władzami w Berlinie Moskwa postawiła na rozwój kontaktów na szczeblu landów.

Spółka Nord Stream zatrudniła trzy agencje PR, a także m.in. byłego premiera Szwecji Görana Perssona.

Na początku stycznia 2021 r. parlament Meklemburgii-Pomorza Przedniego podjął decyzję o powołaniu Fundacji Ochrony Klimatu i Środowiska MV, pozostawiając wybór zarządu w gestii urzędującej premier landu. Schwesig w zarządzie obsadziła Erwina Selleringa, a obok niego polityka CDU Wernera Kuhna. Ten ostatni startował w wyborach do europarlamentu w 2019 r. pod hasłem: „O dobre stosunki handlowe z Rosją! Nadchodzi Nord Stream 2!". Jak podał dziennik „Süddeutsche Zeitung", Meklemburgia-Pomorze Przednie wpłaciła na fundację 200 tys. euro, natomiast Nord Stream/Gazprom stukrotnie więcej, 20 mln euro. Wbrew nazwie celem nadrzędnym fundacji miało być umożliwienie dokończenia budowy Nord Stream 2. W wyniku niejasnych operacji finansowych dokonano zakupów w porcie w Rostocku, kupiono też specjalistyczny statek „Blue Ship, chroniąc go w ten sposób przed amerykańskimi sankcjami.

15 listopada 2021 r. Manuela Schwesig została ponownie wybrana przez parlament landowy na premiera i kieruje drugim swoim gabinetem. Cztery dni po inwazji Rosji na Ukrainę ogłosiła rozwiązanie fundacji przykrywki, wciąż nie wiadomo, co się stanie z pieniędzmi, które wyłożył na nią Gazprom. 14 kwietnia 2022 r. parlament landu Meklemburgii-Pomorza Przedniego głosami CDU, FDP i Zielonych powołał komisję śledczą w sprawie związków pomiędzy rządem landu, spółką Nord Stream 2 i Fundacją Ochrony Klimatu i Środowiska.

Rosjanie nie podchodzili dyskryminacyjnie do inwestowania w reprezentację polityczną swoich interesów energetycznych w Europie. Na przykład były chadecki kanclerz Austrii Wolfgang Schüssel był zatrudniony na posadzie w rosyjskim koncernie naftowym Łukoil (zrezygnował po wybuchu wojny).

Sztokholmski dziennik „Dagens Nyheter" opisał na początku marca, jak intensywna kampania PR poprzedziła wydanie przez Szwecję zgody na budowę gazociągu. Spółka Nord Stream zatrudniła trzy agencje PR, a także m.in. byłego premiera Szwecji Görana Perssona. Dzięki nim firma pozyskiwała do współpracy urzędników państwowych oraz przedstawicieli świata biznesu, m.in. Larsa O Grönstedta, byłego prezesa Handelsbanken. Firma wydała również ponad 9 mln euro na różnego rodzaju projekty umożliwiające jej budowę pierwszej nitki gazociągu z portu na Gotlandii.

Siedzibą spółki Nord Stream 2 należącej w całości do Gazpromu była zaś Szwajcaria. Czy skala i ranga osób rekrutowanych dla sprawy budowy gazociągu zaskakuje? Gdzie indziej nazywano by to pewnie korupcją, w tej części Europy jest to lobbing. Wskazywanie palcem aktywistów klimatycznych jako rzekomo odpowiedzialnych za europejskie uzależnienie od rosyjskich paliw kopalnych najłagodniej można ocenić jako odwracanie uwagi od prawdziwych sprawców uzależnienia.

Łukasz Dąbrowiecki

Nowy numer tygodnika „NIE":
Agnieszka Wołk-Łaniewska broni papieża Franciszka przed nienawiścią polskich katolików.

eprasa.pl 7eed6e752a

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Nasze domowe lęki

Na dzień do Lublina; piękna nowa trasa szybkiego ruchu, trzy lata temu mordowaliśmy się, jadąc nią, gdy była w budowie. Wystawa malarstwa Tamary Łempickiej w lubelskim zamku, zorganizowana przez Muzeum Narodowe w Lublinie. Bardzo pięknie zrobiona i zaskakująco bogata. Dużo oglądających. Malarstwo jest równie mi bliskie jak literatura, a może nawet teraz wolę oglądać obrazy; wolałbym malować, gdybym potrafił, niż czytać i pisać. Pisaniem bywam już bardzo zmęczony, chociaż ono jest dla mnie jak oddychanie. Coraz więc ciężej mi się oddycha, ale może to taki okres. Dzieci kaprysiły, potrafią zepsuć każdą chwilę, która chciała być dobra.

•

Jestem w administracji, by wyrobić sobie nowy dowód osobisty. Trzykrotnie wypełniam formularz, bo ciągle jakieś błędy i trzęsie mi się ręka, nie ze starości, ze strachu, tak reaguję na urząd, kafkowski przed nim lęk, tak też reagował mój ojciec, ileż to lęków dziedziczymy. Na nowym dowodzie będą wdrukowane moje odciski palców, czy to jest postęp? W naszych urzędach jest teraz pół na pół, młodzi są na ogół bardzo mili, ze starszymi różnie to bywa, ale jest zmiana na lepsze.

•

Czytam Osho: „Nie czuć zazdrości może tylko ktoś, kto zaakceptował siebie całkowicie, jest z siebie zadowolony i w ogóle nie myśli o porównywaniu się z kimkolwiek. Zazdrość powstaje z powodu porównywania". Świetna myśl. Od dawna fascynuje mnie zjawisko zazdrości. Też dlatego, że chociaż zazdrość i zawiść są tak wszechobecne, to ich wpływ na nasze życie prywatne i na publiczne jest niedoceniany. Zazdrość i zawiść to coś, czego najbardziej się wstydzimy. Ujawniamy agresję, lęk, niepokój, słabość, nawet organy płciowe, ale bronimy się nogami, rękami i głową, by nie przyznać się do zazdrości. Zawiść, czyli zazdrość w ostrej postaci, jest jeszcze bardziej ukrywana. Wiele zachowań własnych czy cudzych, których nie rozumiemy, pochodzi właśnie z ukrytej zawiści. Od lat próbuję napisać wiersz o zawiści, nic z tego, a tyle napisałem wierszy o czułości.

•

Kolega z Kanady, teraz w Polsce, pisze mi o swojej sędziwej cioci: „Patrzę na moją ciocię, kłębi się w niej niepokój prawie stu lat bytności na tej planecie, akurat w tym nader specyficznym miejscu zwanym Polską. Nerwulec połączony ze strachulcem – piętno położenia i doświadczeń historycznych. Pozwalamy im wsączać w nas truciznę przeszłości, którą my z kolei wsączamy innym pokoleniom. Stąd ta nieustanna martyrologia, ten stosunek życzeniowy do świata, historia powszechna jako usprawiedliwianie historii osobistej, głównie swych porażek i niedociągnięć, to przekonanie, że jako cierpiętnikom i mesjaszom nam się należy – uznanie, dodatkowa wyrozumiałość, opieka, a przede wszystkim dostęp do wygodnego życia. Wszystko na zasadzie rekompensaty". Coś w tym jest. Ale wstępują w życie nowe generacje wolne od tych polskich chorób.

•

Papież Franciszek jako jeden z możliwych powodów rosyjskiej napaści na Ukrainę i postawy prezydenta Rosji wskazał „szczekanie pod drzwiami Rosji przez NATO" (ktoś napisał złośliwie w memie: „Szczekanie Jezusa sprowokowało Piłata"). Jako że papież kolejny raz mówi podobne głupstwa, podpadając nawet tym, którzy go do niedawna wielbili, a jest człowiekiem inteligentnym i na pewno dobrym, to znak, że jest oddzielony murem od opinii publicznej i nic do niego nie dociera. Dlatego nie uczy się na błędach. Tłumaczenie go Ewangelią brzmi słabo. Jest tyleż argumentów za wybaczaniem, co nazywania zła złem. Wszystko to bardzo niefortunne dla Kościoła, w połączeniu z aferami pedofilskimi powstaje mieszanka wybuchowa, która narusza jego mury. I przyśpiesza laicyzację powszechną.

•

Kolejna osoba, której gustom ufam, widziała krakowskie „Dziady" i jest wstrząśnięta tym, jakie są okropne. A w prasie liberalnej nie ma bodaj krytyki tej sztuki. Stała się bowiem owa inscenizacja wydarzeniem politycznym, atakowanym przez żywioł narodowy i Barbarę Nowak. Tak dzieje się podwójna krzywda kulturze.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Stowarzyszenie Księgarzy Polskich
Zarząd Okręgu w Warszawie

zaprasza

do Klubu Księgarza
przy Rynku Starego Miasta 22/24

na wieczór promocyjny książki

Tomasza Jastruna „Zakręceni"

Wydawnictwo CZARNA OWCA

Środa, 18 maja, godz.18

Spotkanie z autorem poprowadzi Artur Wolski

Działalność Klubu Księgarza wspiera Fundusz Promocji Twórczości przy Stowarzyszeniu Autorów ZAiKS

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7eed6e752a

Jakub Katulski

(Nie)realna inflacja

Rosnące ceny i niezadowolenie z obecności uchodźców wpłyną na przyszłoroczne decyzje wyborcze Turków

Inflacja to słowo, które niesie dzisiaj potężny ładunek strachu. W dobie rosnących cen podstawowych towarów i usług niewielu może beztrosko dysponować zawartością portfela i ze spokojem patrzeć w przyszłość. Te problemy, mniej lub bardziej, dotyczą znacznej części świata, która właśnie wychodzi z kryzysu pandemicznego. Jednym z najjaskrawszych przykładów galopującej inflacji jest Turcja, która pobiła swój niechlubny rekord sprzed dwóch dekad, osiągając w kwietniu br. wskaźnik inflacji 69,97%, przynajmniej według rządowych danych.

Sam wskaźnik jest narzędziem dość abstrakcyjnym, dlatego lepiej się posłużyć przykładem pieczywa, w Turcji często spożywanego do każdego posiłku. Już w grudniu ub.r. informowano, że piekarnie podnoszą ceny, sprzedając bochenek nawet za 4 liry, kiedy minimalna płaca wynosiła 2826 lir. Nie wydaje się to dużą sumą, ale gdy zestawić to z kosztami wynajmu mieszkania, sytuacja przestaje być kolorowa, bo np. w Stambule właściciele nierzadko wystawiali stosunkowo niewielkie i nieodnowione mieszkania nawet za 4,5 tys. lir. Wówczas przedstawiciele głównego opozycyjnego ugrupowania, Republikańskiej Partii Ludowej (CHP), domagali się interwencji rządu na rynku mieszkaniowym.

To jednak doniesienia z minionego roku. Teraz jest jeszcze gorzej. W kwietniu bank centralny opublikował raport z sytuacji na rynku mieszkaniowym, z którego wynika przede wszystkim, że w 2022 r. przeciętny koszt nieruchomości w Stambule osiągnął 1,6 mln lir, gdy w roku ubiegłym było to 750 tys. Wśród przyczyn tej sytuacji wymienia się nierównowagę między popytem a podażą, inflację i rosnące koszty budowy, do których przyczyniła się rosyjska agresja na Ukrainę.

Według informacji portalu Middle East Eye tona żelaza budowlanego kosztuje nawet 15 tys. lir, podczas gdy w kwietniu ub.r. 6,1 tys. Mimo że wraz z początkiem 2022 r. płacę minimalną podniesiono o 50%, do 4253 lir, niewiele zarabiający pracownik musiałby przez ponad 31 lat przeznaczać całą swoją pensję, by pozwolić sobie na przeciętną nieruchomość w największym mieście kraju. I to przy założeniu, że ceny się nie podniosą, a inflacja stanie w miejscu. A nawet w najmniej rozwiniętych częściach kraju, np. w zdominowanych przez Kurdów miastach Diyarbakır i Şanlıurfa na południowym wschodzie, ceny mieszkań wzrosły o 111% w stosunku do zeszłego roku.

Rosnące ceny wywołują też niezadowolenie z obecności w kraju licznych obcokrajowców. Według tureckich przepisów obywatelstwo może uzyskać osoba, która dokonuje znaczących inwestycji, takich jak zdeponowanie równowartości przynajmniej 500 tys. dol. w obcych walutach lub lirach w tureckich bankach albo nabycie nieruchomości wartej przynajmniej 250 tys. dol. Według portalu Sözcü w ostatnich dziewięciu latach, od kiedy wprowadzono te przepisy, znacząco wzrosła liczba domów sprzedawanych obcokrajowcom. W ciągu niecałej dekady sprzedano aż 293 tys. nieruchomości o łącznej wartości 41,3 mld dol. W tureckich mediach społecznościowych pojawiają się nawoływania, by ten proceder ukrócić.

Jednak nie tylko inwestorzy są narażeni na gniew Turków. Sytuacja odbija się również na żyjących tu ponad 4 mln uchodźców, głównie z Syrii. Ich obecność także wpływa na rynek mieszkaniowy, gdyż część z nich decyduje się na wynajem, zwłaszcza jeśli podejmują pracę w miastach. Tureccy politycy nawołują więc do odesłania uchodźców do Syrii. Obiecuje to choćby lider CHP Kemal Kılıçdaroğlu, mówiący, że jeśli jego ugrupowanie zwycięży w przyszłorocznych wyborach, to w ciągu dwóch lat Syryjczycy wrócą do ojczyzny. Negatywnie o uchodźcach wypowiada się też Ümit Özdağ, lider Partii Zwycięstwa, który w listopadzie ub.r. ogłosił, że ma zamiar zebrać 10 mln podpisów pod petycją o odesłaniu do ojczyzn Syryjczyków i Afgańczyków. Te zapędy studzi obecny prezydent Recep Tayyip Erdoğan, według którego „nie zostaną oni nigdy wygnani", a Turcja „nie wyda ich w ręce morderców", odnosząc się w ten sposób do reżimu Baszara al-Asada, który przetrwał krwawą syryjską wojnę domową i kontroluje dzisiaj ok. 70% terytorium kraju.

Podczas gdy politycy i zwykli obywatele szukają winnych dramatycznej sytuacji w kraju, oczy wielu zwracają się właśnie w kierunku Erdoğana. Według badań ośrodka MetroPOLL, w kwietniu aż 60% ankietowanych właśnie jego i Partię Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP) uznaje za głównych sprawców problemu. Ale tureckie władze widzą sprawę inaczej. – Pod koniec roku rząd eksponował narrację, zgodnie z którą turecka gospodarka nie może wyjść z kryzysu z powodu ataku obcych mocarstw – zauważa Aleksandra Maria Spancerska z Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. – Obecnie coraz częściej twierdzi, że do wzrostu inflacji przyczynia się rosyjska agresja na Ukrainę, wzrost cen surowców,

W kwietniu inflacja w Turcji sięgnęła niemal 70%.

eprasa.pl 7eed6e752a

Turecka waluta odnotowała rekordowy spadek w stosunku do dolara.

ale też chciwość i oportunizm producentów. Jednocześnie decydenci tłumaczą, że problem inflacji w Turcji jest tymczasowy i nie dotyczy jedynie ich kraju, ale również innych państw rozwiniętych. Wskazują tutaj przede wszystkim Stany Zjednoczone.

Trudno jednak porównywać turecką inflację ze wskaźnikiem odnotowywanym w Waszyngtonie. Pod koniec marca stopa inflacji w Stanach Zjednoczonych wyniosła bowiem 8,5%. Różnica staje się wręcz groteskowa, jeśli wziąć pod uwagę, że według niezależnego think tanku ENAGrup rzeczywista inflacja w Turcji to aż 156,86%. Dzisiaj tego typu dane można jeszcze przeczytać, ale według portalu Bloomberg w kwietniu AKP podjęła kroki w kierunku wprowadzenia nowej legislacji, która groziłaby ekonomistom nawet trzema latami pozbawienia wolności za publikowanie nieoficjalnych danych bez uzyskania zgody głównej agencji statystycznej kraju. Turecki Instytut Statystyczny wniósł nawet skargę do sądu przeciwko ENAGrup, oskarżając badaczy o „celowe oczernianie" instytutu i „wprowadzanie w błąd opinii publicznej".

Zdaniem Spancerskiej takie działania rządu, mające zwrócić uwagę obywateli przede wszystkim na oficjalne dane, są kontrproduktywne i sprawiły, że wzrosło zaufanie opinii publicznej do niezależnych instytucji, a spadło do rządu. Zauważa ona jednak, że Erdoğan podejmuje decyzje mające przeciwdziałać samej inflacji, obok podniesienia płacy minimalnej. – Obniżono podatek VAT na podstawowe produkty spożywcze z 8% do 1%, a na towary takie jak detergenty, mydło, papier toaletowy, chusteczki czy pieluchy dziecięce z 18% do 8%. Jedną z nowszych propozycji jest zaoferowanie obywatelom 0,99% miesięcznego oprocentowania kredytów hipotecznych dla osób kupujących po raz pierwszy w życiu dom do wartości 2 mln lir – wylicza. – Sytuacja skłoniła też rząd do poprawy relacji z państwami Zatoki Perskiej, gdyż Erdoğanowi bardzo zależy na pozyskaniu inwestycji bezpośrednio z państw arabskich, co pomogłoby mu w utorowaniu drogi do zwycięstwa w przyszłorocznych wyborach generalnych.

Może to nie być łatwe, bo według badań MetroPOLL aż 59% Turków nie wierzy, by prezydent był w stanie naprawić sytuację gospodarczą kraju. – Jednocześnie rozpowszechnione jest przekonanie, że opozycja w dalszym ciągu nie jest zdolna do zarządzania gospodarką i jej naprawy. Ale to niezadowolenie społeczne w połączeniu z frustracją wynikającą z obecności w Turcji uchodźców może znaleźć odzwierciedlenie w spadku poparcia dla obozu rządowego – mówi Spancerska. – Już w lutym mogliśmy obserwować protesty przeciwko podwyżkom cen energii elektrycznej, sprzedawcy wywieszali w witrynach sklepowych swoje rachunki za prąd, w mediach społecznościowych popularność zdobywał hasztag #Geçinemiyoruz, czyli nie możemy związać końca z końcem".

Lider CHP Kemal Kılıçdaroğlu w akcie nieposłuszeństwa obywatelskiego oświadczył nawet, że nie zapłaci rachunków za prąd, dopóki Erdoğan nie wycofa się z podwyżek cen, które podpisał 31 grudnia. Ostatecznie w kwietniu odcięto mu dostawy elektryczności i w ramach solidarności z obywatelami, którzy nie mogą uregulować rachunków, postanowił on spędzić tydzień w ciemności. Nie wiadomo, czy pomogła mu lampka oliwna, którą otrzymał od Devleta Bahçeliego, lidera sprzymierzonej z AKP nacjonalistycznej Partii Narodowego Działania. Bahçeli postanowił mu wręczyć taki prezent już w lutym, z życzeniami „oświecenia serca".

Te utarczki między politykami mogą się wydawać absurdalne, ale w dobie kampanii wyborczej kreują rzeczywistość Turków. Świadczą też o tym, że politycy doskonale wiedzą, że właśnie rosnące niemal codziennie ceny podyktują, kto w przyszłym roku będzie rządził w Ankarze. ■

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 7eed6e752a

Niebezpieczeństwa wiktorii nad Rosją

Pojawia się bardzo niebezpieczna iluzja, że słabo walczący w Ukrainie rosyjski żołnierz będzie tak samo nieudolnie bił się o własną ojczyznę

Piotr Kimla

Zanim przystąpię do analizy obecnej sytuacji międzynarodowej, do analizy polityki w skali makro, chcę poczynić zasadnicze zastrzeżenie. Uważam rosyjską inwazję na Ukrainę za nielegalną z punktu widzenia prawa międzynarodowego, niemoralną, a przy tym stojącą w sprzeczności z roztropnością polityczną. Robię to zastrzeżenie, bo w dalszych rozważaniach zmuszony jestem zasadniczo pomijać moralne aspekty wojny, śmierć i zniszczenie, które ona niesie. Pomijać fakt, odnotowany przez największego historyka starożytności, Tukidydesa, że „wojna jest nauczycielką perwersji". Ładunek emocjonalny zaburza jasność myślenia, które musi pozostać trzeźwe, jeśli ma mieć moc objaśniającą. Niektórym czytelnikom może to się wydać niestosowne. Nic na to nie poradzę, że – jak to ujął John Mearsheimer – „polityka międzynarodowa to paskudny biznes".

•

Rosja przegrała wojnę z Ukrainą. Ściślej, przegrała ją ze Stanami Zjednoczonymi oraz ich sojusznikami z NATO walczącymi rękami Ukraińców. Taki jest stan rzeczy niezależnie od tego, jak zmagania wojenne ułożą się na wschodzie i południu Ukrainy. Patrząc z globalnej perspektywy politycznej, w której zasadniczą rolę odgrywa antagonizm amerykańsko-chiński, porażka władcy Kremla jest porażająca. Postanowił on uczynić z Rosji regionalnego hegemona oraz kluczowego i równorzędnego sojusznika Chin w rozprawie z USA, lecz doprowadził do zwasalizowania Rosji wobec Chin. Nie jestem pewien, czy zachodnia opinia publiczna dostatecznie jasno dostrzega następujący związek przyczynowo-skutkowy: odwrócenie się od rosyjskich surowców energetycznych przez Europę, co jest w zasadzie przesądzone, zmusza Moskwę do skierowania tychże surowców do Chin. Skutek będzie taki, że Państwo Środka, stale dotychczas cierpiące na niedobór węglowodorów, będzie w znaczącym stopniu dyktowało ceny tych surowców na świecie. Ponadto nie ulega wątpliwości, że partnerstwo chińsko-rosyjskie funkcjonować będzie pod dyktando Pekinu. Rosja nie będzie miała wiele do powiedzenia. Pokazuje to skalę porażki prezydenta Rosji w tej wojnie. Zamiast Rosji jako wspomnianego wyżej regionalnego hegemona, a taki status przysługiwałby jej, gdyby podporządkowała sobie Ukrainę, uzyskał Rosję jako wasala Chin. Nie zastosował się do wciąż obowiązującej, podstawowej zasady bezpieczeństwa we współczesnym świecie, która brzmi: nie drażnić Ameryki. Szczególnie gdy nie jest się na to gotowym. Nawet Chiny ciągle czekają, zbroją się i przyczajone rosną w siłę, zdając sobie sprawę, że jest dla nich za wcześnie na przystąpienie do generalnej rozprawy ze Stanami Zjednoczonymi.

Po raz pierwszy w historii do muru może zostać przyparte państwo z arsenałem nuklearnym.

Nie miejsce teraz i nie czas na rozważanie, dlaczego Putin zrobił tak nierozważny krok. Powiem tylko w dwóch słowach, że jedynym przychodzącym mi do głowy wyjaśnieniem jego działań, co nie znaczy usprawiedliwieniem, jest to, że w jego perspektywie nie miał innego wyjścia. Czas działał przeciwko niemu. Nie godząc się na ścisły sojusz wojskowy i gospodarczy Ukrainy z Zachodem, nie mógł dalej spokojnie przypatrywać się zbrojeniu i trenowaniu ukraińskiej armii przez USA. Zgromadził 150 tys. żołnierzy na granicy z Ukrainą. Należy przy tym podkreślić, że zawiodły kroki dyplomatyczne, podejmowane w celu zapobieżenia wojnie. Prezydent Zełenski konsultował się przed rosyjską inwazją z partnerami zachodnimi w sprawie przyjęcia Ukrainy do NATO w ciągu najbliższych pięciu lat. Otrzymał odpowiedź odmowną. Wydaje się, że naturalną reakcją w sytuacji zgromadzenia 150-tysięcznej rosyjskiej armii na granicy byłoby ogłoszenie przez prezydenta Ukrainy dążenia jego państwa do osiągnięcia statusu neutralności. Na przeszkodzie stanęła mu opozycja wewnętrzna. Z projektem neutralności Ukrainy mógł wystąpić tylko Zachód, ściślej Stany Zjednoczone, ale nie były tym zainteresowane. Ponownie chcę, by jasno zabrzmiało: nie usprawiedliwiam inwazji Rosji na Ukrainę, ale gwoli ścisłości trzeba sobie uświadomić, że Zachód i sami Ukraińcy mieli dyplomatyczne szanse zapobieżenia tej wojnie. Ekspert z Quincy Institute for Responsible Statecraft, Anatol Lieven, miał odwagę powiedzieć o tym w wywiadzie udzielonym Jonowi Wienerowi. Zachód i Ukraińcy z szans tych nie skorzystali. Wydaje się, że nie skorzystali po części dlatego, że wybuch wojny rosyjsko-ukraińskiej i jej trwanie jest elementem zmagań o utrzymanie amerykańskiej supremacji w świecie. Zachowanie jej będzie pewniejsze, jeśli siły Moskwy (sojusznika Pekinu) zostaną wyraźnie nadwątlone. Jednocześnie

eprasa.pl 7eed6e752a

trudno odwracać wzrok od prawdy, że walka o utrzymanie supremacji USA w świecie odbywa się kosztem życia ukraińskich dzieci, kobiet oraz, co oczywiste, ukraińskich żołnierzy. Trudno się dopatrzyć w tym działaniu wzniosłości moralnej. Bardzo to przygnębiające, ale jest to zarazem silny bodziec do petryfikowania, a nie zakończenia działań wojennych.

Jeśli na chwilę zmienimy perspektywę i spojrzymy na wojnę w Ukrainie oczami przeciętnego obywatela Zachodu, zrozumiały będzie jego stan emocjonalny, oczekiwanie, że teraz, gdy armia rosyjska nie okazała się pod względem militarnym taka straszna, należałoby Rosję ostatecznie powalić wojskowo (a przy okazji ekonomicznie), rozczłonkować itp. W głowach tych obywateli Zachodu, którzy nie poświęcają polityce zbyt wiele czasu, pojawia się bardzo niebezpieczna iluzja, że słabo walczący w Ukrainie rosyjski żołnierz będzie tak samo nieudolnie bił się o własną ojczyznę. Niebezpieczna także z tego powodu, że po raz pierwszy w historii do muru może zostać przyparte państwo z arsenałem nuklearnym. Tymczasem doświadczenie historyczne nie pozwala ignorować faktu, że każde państwo przegrywające, państwo w opresji, ma skłonność do eskalowania środków używanych do prowadzenia wojny. Przykładowo podczas I wojny światowej niemożność przełamania frontu zachodniego przez którąkolwiek ze stron spowodowała, że Niemcy wypowiedziały nieograniczoną wojnę morską przy użyciu łodzi podwodnych (co doprowadziło do zaangażowania się w konflikt USA po stronie ententy i do ostatecznej klęski Niemiec), Brytyjczycy zaś wywołali arabskie powstanie przeciw Turcji (sojusznikowi Niemiec). Obie strony zaczęły stosować gazy bojowe i bombardować obiekty cywilne. Niemożność odniesienia zwycięstwa przez Stany Zjednoczone w wojnie wietnamskiej doprowadziła do podjęcia decyzji o masowych bombardowaniach Wietnamu Północnego (znanych jako operacja „Rolling Thunder") i użyciu przez Amerykanów broni chemicznej oraz do amerykańskiej inwazji na Kambodżę w 1970 r. Dla wszystkich pilnych obserwatorów jest jasne, że plan prezydenta Joego Bidena ograniczenia wojny w Ukrainie do samej Ukrainy wyraża deklaracja, że amerykańscy żołnierze nie będą bezpośrednio zaangażowani w walkę z Rosjanami. Jest to kontynuacja niepisanej reguły obowiązującej w trakcie zimnej wojny, która wykluczała możliwość bezpośrednich starć zbrojnych pomiędzy armią amerykańską a radziecką. Paradoksalnie jednak nieobecność amerykańskich żołnierzy na ukraińskiej ziemi ułatwia Kremlowi podjęcie decyzji o użyciu taktycznej broni jądrowej w Ukrainie. Nie twierdzę, że ta broń zostanie użyta, ale prawdopodobieństwo jej użycia wzrasta wraz z takim pogorszeniem się sytuacji militarno-ekonomicznej Rosji, które uzna ona za zagrożenie dla swojego istnienia. Rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow nie robił z tego żadnej tajemnicy.

Państwo przegrywające, w opresji, ma skłonność do eskalowania środków używanych do prowadzenia wojny.

Sytuacja jest zatem niebezpieczna, bo wraz z ograniczeniem celów wojennych przez Moskwę pod wpływem ukraińskiego oporu (rezygnacja z zajęcia Kijowa i skupienie się na wschodnim i południowym odcinku frontu) rosną aspiracje Ukraińców wspierane przez Zachód. Amerykański sekretarz obrony Lloyd Austin powiada, że „pragnie widzieć Rosję osłabioną do tego stopnia, że nie będzie w stanie podejmować działań takich, jak inwazja na Ukrainę", spikerka Izby Reprezentantów Nancy Pelosi twierdzi, że Ameryka będzie wspierać Ukrainę „aż do zwycięstwa", minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii Liz Truss uważa, że NATO musi podwoić wysiłki, i deklaruje: „Będziemy działać nadal i będziemy działać mocniej, aby wypchnąć Rosję z całej Ukrainy". Nie można zatem się dziwić, że sami Ukraińcy, wyposażani w nowoczesną, zachodnią broń oraz wspomagani danymi wywiadowczymi umożliwiającymi im m.in. likwidację rosyjskich generałów, mówią o odzyskaniu terytoriów utraconych w 2014 r. Niestety, próby zadania ostatecznej klęski Kremlowi mogą przyśpieszać dojrzewanie decyzji o użyciu przez niego ostatecznego środka, jakim jest taktyczna broń nuklearna. Bez względu na to, jak bardzo chcielibyśmy widzieć Rosję pokonaną i ukaraną, są granice, do jakich można wywierać presję na posiadającego broń jądrową przeciwnika. Ponadto nie można zapominać, że Chiny, dotychczas powściągliwie popierające Rosję w konflikcie z Ukrainą, mogą zmienić nastawienie, nie chcąc dopuścić do całkowitej klęski swojego sojusznika. Stałyby się bowiem osamotnione w zmaganiach z USA.

Przegrywające w Wietnamie Stany Zjednoczone podjęły decyzję o masowych bombardowaniach Wietnamu Północnego i użyciu broni chemicznej.

Jest rzeczą jasną, że włączenie się Chin do konfliktu oznaczałoby wojnę światową.

Zmagania wojenne w Ukrainie trzeba inteligentnie zakończyć. Pojawia się pytanie, i to w sposób natarczywy, czy zachodnim przywódcom wystarczy tej inteligencji i czy istnieje autentyczna wola polityczna zakończenia wojny, przede wszystkim po stronie amerykańskiej. Od tego zależy bezpieczeństwo naszego regionu i świata.

Prof. UJ dr hab. Piotr Kimla jest pracownikiem Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jagiellońskiego

eprasa.pl 7eed6e752a

Andrzej Szahaj

Kryzys lewicy

Różnice między starą a nową odmianą lewicy są tak duże, że stawiają pod znakiem zapytania spójność ruchu jako takiego

Ogólnoświatowy kryzys partii lewicowych jest faktem. Aby zrozumieć jego przyczyny, odwołajmy się do podziału na starą i nową lewicę. Ta pierwsza koncentrowała się na prawach pracowniczych i sprawach socjalnych, ponieważ jej klientelą była klasa robotnicza epoki nowoczesności. Okres jej świetności przypadał na lata międzywojenne i kilka dekad po II wojnie światowej, a jej emanacją polityczną była socjaldemokracja, która rządziła z pożytkiem dla całych społeczeństw, przyczyniając się do rozwoju państwa socjalnego.

Źródłem nowej lewicy był ruch kontrkultury w USA z lat 60. XX w., a głównym przedmiotem jej troski stały się sprawy rasy i płci. Klasa robotnicza wykazywała wobec tych działań rezerwę, co wiązało się z jej konserwatyzmem obyczajowym i różnicami generacyjnymi. Przywiązana do tradycyjnych form aktywności politycznej, takich jak strajk, z nieufnością odnosiła się do działań nowej lewicy, polegających m.in. na okupowaniu sal uniwersyteckich, oraz do używania środków ze sfery obyczajowej (rewolucja seksualna) jako narzędzi zmian społecznych.

Przedstawiciele starej lewicy mieli skłonność, niebezpodstawną, do traktowania zwolenników nowej lewicy jak rozkapryszonych dzieciaków z bogatych domów, które bawią się w rewolucję. Z kolei „młodzi" postrzegali „starych" jako stronników dawnego systemu opresji obyczajowej. Próby sojuszu starej i nowej lewicy podejmowane w latach 60. XX w. były nieudane albo krótkotrwałe. I od tego momentu niewiele się zmieniło. Stara i nowa lewica funkcjonują obok siebie, przyglądając się sobie nieufnie.

Istniejąca między tymi odłamami względna równowaga sił została ostatnimi czasy zachwiana. Wraz z pojawieniem się społeczeństwa postindustrialnego i narodzinami gospodarki usług, a następnie dematerializacją pracy – zastąpieniem dominacji trudu fizycznego dominacją pracy intelektualnej i pracy afektywnej, czyli wykorzystującej emocje – szeregi klasy robotniczej zaczęły gwałtownie się kurczyć. Wraz z tym zmalał udział pracowników najemnych w związkach zawodowych – bastionie starej lewicy.

Dodatkowym ciosem był sukces jednego z głównych projektów neoliberalizmu, czyli globalizacji. Przeniesienie resztek przemysłu z Zachodu na Wschód pozbawiło klasę robotniczą racji bytu, jej miejsca zajęła zaś klasa kreatywna, typowa dla społeczeństwa ponowoczesnego. Pojawiła się też osobna klasa prekariatu, ludzi niepewnych swojej przyszłości zawodowej, zatrudnionych na umowach śmieciowych albo pracujących od zlecenia do zlecenia.

Klasa kreatywna uzyskała tak wysoką pozycję ekonomiczną, że w sposób niejako automatyczny stała się filarem neoliberalnego turbokapitalizmu informacyjnego (zwanego również kognitywnym), którego symbolem stała się Dolina Krzemowa. Z kolei prekariat jako klasa rozproszona (m.in. z powodu braku instytucji skupiającej pracowników w jednym miejscu, jaką wcześniej była fabryka) i dlatego mająca istotne trudności ze zorganizowaniem się, także z powodu wyznawanej ideologii skrajnego indywidualizmu („nie mam etatu, zabezpieczeń socjalnych, ale jestem wolny"), pozostaje graczem politycznie nieistotnym. To spowodowało, że zniknął de facto tradycyjny podmiot starej lewicy, tym bardziej że ludzie stojący najniżej w hierarchii społecznej z powodu wykonywania słabo płatnych zawodów, istotny element pejzażu klasowego społeczeństwa ponowoczesnego, pozostają niezorganizowani i pozbawieni politycznego głosu.

W ten sposób dekompozycja tradycyjnej sceny klasowej pociągnęła za sobą zmierzch znaczenia starej lewicy. Przyczyniło się to równocześnie do niezwykłego sukcesu w sferze publicznej nowej lewicy, która zaczęła być postrzegana jako lewica per se. Wywodząc się głównie ze sfer ekonomicznie i społecznie uprzywilejowanych (wielkie miasta, uczelnie, wolne zawody), nie miała żadnego interesu w tym, aby podważać neoliberalny konsens, wszak była jego beneficjentem. Przestała być wrażliwa na problemy ekonomiczne czy społeczne typowe dla klienteli starej lewicy i przez nią podnoszone (prawa pracownicze, wyzysk), koncentrując się nieomal wyłącznie na kwestiach obyczajowych, sytuacji kobiet oraz tożsamości grup mniejszościowych (przede wszystkim związanych z orientacją seksualną). Akceptując kapitalizm ponowoczesny, zajęła się walką z niesprawiedliwością w dystrybucji społecznego i kulturowego uznania, a nie niesprawiedliwością społeczną pojmowaną tradycyjnie. Pozwoliło to władcom Doliny Krzemowej, wielbicielom technokratycznego libertarianizmu, stawiającym

Stara lewica musiałaby bardziej docenić znaczenie kwestii obyczajowych. Nowa – uznać, że nie da się wyjąć emancypacji kobiet czy mniejszości z kontekstu turbokapitalizmu.

eprasa.pl 7eed6e752a

postulat zastąpienia państwa rządami technokratów z korporacji internetowych, przyjąć pozycję awangardy walki o prawa mniejszości seksualnych, a czasem nawet kobiet, bez podważania zasadności systemu jako takiego, a nauczycielom akademickim i studentom – obsesyjnie koncentrować się na sprawach rasy i płci, przy całkowitym ignorowaniu innych problemów społecznych.

Tak oto de facto uprzywilejowana ekonomicznie część społeczeństw zachodnich stała się aktywna w sferze nowolewicowych ideałów i postulatów, pozostając impregnowana na tradycyjne postulaty starolewicowe. Z kolei tej części społeczeństw zachodnich (w tym polskiego), którą zdecydowanie bardziej interesowałyby kwestie poruszane przez starą lewicę – wszak mimo zmierzchu wielkoprzemysłowej klasy robotniczej pozostaje duży segment społeczeństwa, klasa pracowników najemnych, mający ten sam interes klasowy, bez względu na charakter wykonywanej pracy – brakowało sił i zasobów ekonomicznych oraz kulturowych, aby o swoje prawa walczyć. Zmieniła się ona w milczącą większość, która niewiele rozumiała ze sporów o płeć i prawa mniejszości seksualnych. Porzucona przez lewicę zaczęła stopniowo poszukiwać politycznej artykulacji po prawej stronie sceny politycznej – poparła Trumpa w USA, Marine Le Pen we Francji czy PiS w Polsce. W ten sposób triumf nowej lewicy w sferze akademickiej i kulturowej utorował drogę do zwycięstwa prawicy w sferze politycznej. Przy czym ów triumf obarczony był grzechem przekonania, że skoro jest się po słusznej stronie w sprawach praw mniejszości seksualnych czy kobiet, to jest się po słusznej stronie w ogóle. Na przykład w odniesieniu do feminizmu solidarność płciowa miała zastąpić solidarność klasową. Ruch feministyczny, również w Polsce, skupił przede wszystkim osoby ekonomicznie uprzywilejowane, w części wyraźnie sympatyzujące z neoliberalnym turbokapitalizmem, a nawet stanowiące jego filar personalny i polityczny. Generalnie dzieje feminizmu to kapitalny przykład tego, jak w ramach szerokiego obozu lewicowo-liberalnego jego część wyrywa sprawy tożsamości i uznania z kontekstu ekonomicznego i klasowego, lokując je wyłącznie w sferze obyczajowej, postulując zmianę nawyków czy postaw indywidualnych, bez podważania podstaw systemu jako takiego. Podobnie dzieje się z walką mniejszości seksualnych o szacunek – słuszne domaganie się uznania często idzie w parze z akceptacją ekonomicznego status quo.

Naszkicowany obraz sytuacji pokazuje, że używanie pojęcia lewica jest często kontrowersyjne, bo różnice między jej starą a nową odmianą są tak ogromne, że stawiają pod znakiem zapytania spójność ruchu jako takiego. Rodzi to oczywiście pytanie, czy tak musi być. Można sobie wyobrazić lewicę integralną, w obrębie której postulaty ze sfery obyczajowej (tożsamościowej) traktuje się jako równie ważne jak postulaty ze sfery ekonomicznej. Integralność owa jest jednak trudna do osiągnięcia, bo wymagałaby zmian w postawach obu stron lewicowego spektrum.

Stara lewica musiałaby bardziej docenić znaczenie kwestii obyczajowych, co skądinąd nie byłoby takie trudne; w jej najlepszych wydaniach już tak było, nawet gdy opór wobec nowinek obyczajowych był znaczny. Dobrym przykładem jest tu postawa PPS wobec równouprawnienia kobiet w okresie międzywojennym. Nowa lewica musiałaby z kolei uznać, że nie da się wyjąć spraw emancypacji kobiet czy grup mniejszościowych (seksualnych, etnicznych i innych) z kontekstu ponowoczesnego kapitalizmu. Ta przemiana byłaby znacznie trudniejsza, podałaby bowiem w wątpliwość podstawy względnej prosperity ekonomicznej członków nowej lewicy, ich żywiołowo indywidualistyczne przeświadczenia, które wykluczają używanie takich pojęć jak klasa społeczna, i wymagałaby od nich bardziej krytycznego spojrzenia na neoliberalny turbokapitalizm, nawet jeśli im samym żyje się w nim dobrze.

Mam wrażenie, że budowa lewicy integralnej to zadanie na lata. W tej sytuacji jedynie zdecydowane wzmocnienie narracji typowej dla starej lewicy mogłoby wyrwać lewicę z wielkomiejskiego getta i przekonać do niej te części społeczeństwa, które dziś (na ogół błędnie) odnajdują realizację swoich interesów ekonomicznych raczej w działaniach partii prawicowych niż lewicowych.

Czy musiałoby temu towarzyszyć względne wyciszenie narracji typowej dla nowej lewicy, to sprawa dyskusyjna. Z pewnością potrzebna byłaby zmiana akcentów. Na przykład pogodzenie się z tym, że spora część potencjalnych zwolenników lewicy socjalnej w Polsce to ludzie religijni i w związku z tym ataki na wiarę są niemądre, przynajmniej z punktu widzenia interesów politycznych. Należałoby raczej szukać takich wątków ideowych w obrębie religii, które są zgodne z duchem lewicowości, co skądinąd nie jest trudne (w Polsce udowadnia to środowisko skoncentrowane wokół magazynu „Kontakt"). Piszę o zmianie akcentów, a nie o porzuceniu na ogół słusznych postulatów nowej lewicy. Jeśli polska lewica ma wyjść poza szczątkowe poparcie społeczne, nie może dłużej tkwić w przekonaniu, że skoro racja moralna jest po jej stronie, to prędzej czy później zrozumieją to wszyscy jej potencjalni wyborcy. Musi powrócić do socjalnych korzeni i zdecydowanie skuteczniej szukać poparcia tych, którzy być może nie pasują do wielkomiejskich wyobrażeń postępowości, ale mogą ją poprzeć jako siłę, która stara się realizować ich interesy ekonomiczne. ■

Tylko wzmocnienie postulatów starej lewicy może wyrwać ruch z wielkomiejskiego getta i przekonać do niego te części społeczeństwa, które realizację swoich interesów ekonomicznych widzą w działaniach prawicy.

eprasa.pl 7eed6e752a

Rozmawia Jan Tracz

W muzyce Kory czuć jej siłę

Ważne, aby ostatni utwór dobrze się zazębiał z tym pierwszym

NATALIA PRZYBYSZ
– wokalistka i autorka tekstów

Tak jak słyszymy w utworze „Zew", kiedyś wierzyła pani, „że porusza niebem". A dziś? Co się zmieniło?

– To piosenka, którą pisałam w trakcie pandemii. Miała być swego rodzaju przypomnieniem, że przed covidem mieliśmy inny świat, większą swobodę, lepszy kontakt ze sobą. Pandemia oderwała nas nieco od samych siebie. Wlała w nas hektolitry strachu, doprowadziła do pewnego paraliżu. Ta kompozycja miała zwrócić nas ku sobie; przypomnieć o bliskości, o dotyku.

Czy Natalia Przybysz z albumu „Prąd" odważyłaby się na nagranie płyty z interpretacjami utworów Kory? Czy jest to projekt, który wymaga większej świadomości muzycznej, doświadczenia?

– Trudno stwierdzić, ale raczej tak! Nie zapominajmy, że przed płytą „Prąd" był album „Kozmic Blues: Tribute to Janis Joplin". A jednak rzucenie się w wir z piosenkami Janis Joplin wtedy, było o wiele większym wyzwaniem. Nie jestem pewna, czy wówczas byłabym otwarta na pracę z tekstami Kory, ale mogłabym nagrać taki album. Na pewno zrobiłabym to mniej dojrzale. A przy okazji wydaje mi się, że pomysł na nagranie płyty z utworami Joplin, przy moim tamtym doświadczeniu, był znacznie bardziej lekkomyślny.

W materiałach załączonych do pani najnowszego albumu napisano, że spotkała się pani z Kamilem Sipowiczem, partnerem Kory, a efektem jest właśnie płyta „Zaczynam się od miłości". Co się wtedy wydarzyło?

– Z Kamilem spotkałam się, aby pokazać mu moje wykonanie „Krakowskiego Spleenu" na potrzeby mojej poprzedniej płyty „Jak malować ogień". Zgodził się, abyśmy wykorzystali ten utwór, a przy okazji zaproponował, abym napisała melodie do tekstów Kory, które nigdy nie zostały nagrane. Spotkaliśmy się pewnego razu na kolacji i mój syn nieustannie pytał: „Kamil, a chciałbyś mieć tutaj portal czasoprzestrzenny?". Byliśmy w domu Kory i Kamila na Bielanach i ja też czułam coś mistycznego. Dużo czasu upłynęło, zanim zaczęłam pracę nad projektem, który przekształcił się w mój najnowszy krążek.

Pani spotkanie z Korą, tak jak spotkania w teledysku „Jest miłość", było przelotne. Zwykłe przywitanie, nic więcej. Żałuje pani, że to się potoczyło jedynie w ten sposób?

– Bardzo bym chciała móc pokazać jej całą płytę, usłyszeć, co ma do powiedzenia, dowiedzieć się co nieco o jej dynamice bycia, o tym, jak pracowała, jak funkcjonowała. Poznałam ją po jednym z koncertów, ale to był uścisk dłoni, nic więcej. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że nasze drogi w jakiś sposób się połączą. Poznałam ją przelotnie, jakby to była kobieta, której powiedziałam na ulicy „dzień dobry". I nic więcej!

Powiedziała pani: „Poezja Kory z precyzją akupunktury dotykała często rdzenia mojej emocjonalnej konstrukcji". Dlaczego tak bardzo wrażliwość Kory synchronizowała się z tą, którą ma Natalia Przybysz?

– Zapewne nigdy się nie dowiem dlaczego, ale wiem, że nieustannie czuję jej muzykę, i te teksty w jakiś sposób rezonują z moją wrażliwością. Kora miała niesamowitą zdolność ukierunkowania przepływu energii z żalu, tęsknoty czy smutku w stronę pięknego, jasnego słońca. Nieraz z trudnych sytuacji wychodziła o wiele silniejsza i jest to wyczuwalne w jej tekstach. W muzyce Kory czuć jej siłę. Uczucie miłości było arcyważne w jej patrzeniu na rzeczywistość. Często zanurzała się w emocjach, które z miłością były właśnie powiązane. W pewien abstrakcyjny sposób oddziaływała na słuchaczy i tym samym trafiła w moją muzyczną uczuciowość.

Piosenki pochodzą z tomu „Miłość zaczyna się od miłości", w którym

FOT. WOJCIECH OLSZANKA/EAST NEWS

eprasa.pl 7eed6e752a

znajdziemy teksty Kory niewykonane dotychczas na żywo lub nienagrane („Mama" jest wyjątkiem). Jak wyglądała selekcja tych utworów?

– Gdyby to były wiersze, byłoby jeszcze trudniej, bo one nie są przeznaczone do śpiewania. Natomiast tu otrzymaliśmy teksty bardzo wdzięczne do wykonywania. W końcu Kora zajmowała się muzyką, często badała słowa pod kątem ich muzykalności czy dynamiki, rytmu. Słowa, które znajdziemy w tym tomie, są często plastyczne, co ułatwiło mi dobór, a następnie samo wyśpiewywanie.

W czasach, w których wszystko zdaje się powierzchowne, pewna delikatność wobec samego siebie jest wręcz wskazana.

Natomiast najwięcej czasu spędziłam na szukaniu zdań i fragmentów, z którymi się utożsamiam albo które chwytały mnie za serce, gardło czy wręcz jeszcze inne części ciała. Zajmowałam się tym w bardzo burzliwym czasie dla Polaków, dlatego zastanawiałam się, jakie wersy będą potrzebne zarówno mnie, jak i moim słuchaczom. Jest też bardzo wiele pięknych zdań, których nie wykorzystałam. Do dziś pamiętam jedno: „Całe życie śpiewam jedną piosenkę". Ciągle we mnie siedzi i żałuję, że tego nie zaśpiewałam.

Z jakiego okresu życia Kory są te piosenki?

– Z tego, co wiem, były pisane na przestrzeni lat. Czuć to w tekstach i w ich zróżnicowaniu.

A co tak naprawdę oznacza ta tytułowa metafora? Co według autorki znaczy, że „zaczyna się od miłości"?

– To jeden z wariantów samego tytułu tomu, o którym rozmawiamy. I ten wariant najbardziej mnie poruszył. Kiedy zaczęłam mówić go sobie na głos, zrozumiałam, że coś we mnie (wewnętrznie) się dzieje. A przecież przez to wejście do samego siebie potrafimy najwięcej zdziałać. W czasach, w których wszystko zdaje się bardzo powierzchowne, pewna delikatność wobec samego siebie jest wręcz wskazana. Kiedy zaglądamy w głąb własnego ja, możemy wykrzesać z siebie większe dobro.

Dlaczego?

– Ponieważ zdajemy sobie wtedy sprawę, że wszyscy zaczynamy się od miłości. Zawsze o nią chodzi: albo kiedy odczuwamy tęsknotę, albo kiedy jesteśmy szczęśliwi i czujemy się przez kogoś kochani. Te uczucia są pochodnymi miłości, nie wolno nam o tym zapomnieć!

Skąd decyzja o uwzględnieniu dwóch swoich kompozycji wśród tekstów Kory?

– Zależało mi, aby to wciąż była moja własna płyta. Poprzednie albumy składają się głównie z moich autorskich piosenek, dlatego chciałam kontynuować ten schemat przy okazji „Zaczynam się od miłości". Chodziło o zachowanie pewnego poczucia ciągłości. Dlatego pracowałam nad tym, aby ten krążek był „współtworzony" przez Korę, aby nasze twórczości korespondowały ze sobą. Nie chciałam, aby to był tzw. tribute album, w którym składam całkowity hołd jej muzyce. To moja płyta, mojego zespołu, która czerpie z tego, co zostawiła po sobie Kora. Energetycznie, przekazowo i muzycznie to wciąż opowieść, którą rozrysowuję ja sama.

Kora zajmowała się muzyką, często badała słowa pod kątem ich muzykalności czy dynamiki, rytmu.

Samo ułożenie utworów buduje pewien klimat. Melancholia przeradza się w inne emocje, aby następnie wrócić do tego uczucia smutku.

– Bardzo lubię układać piosenki na swoich płytach. Zawsze jest dla mnie ważne, aby ostatni utwór dobrze zazębiał się z tym pierwszym. Wiele osób słucha płyt w kółko, dzięki czemu taki album zachowuje przemyślaną ciągłość. Słuchacza trzeba utworami zaintrygować, to bardzo ważna kwestia w kompozycji całego albumu.

A jak jest z inspiracjami? Choćby początek „Mamy" przypomina mi muzykę Michaela Kiwanuki, przeplatają się też dźwięki Tame Impala.

– Inspiracji zapewne jest bardzo wiele. Ktoś niedawno powiedział mi, że ta płyta kojarzy mu się z twórczością Portishead. Może coś w tym jest! Nagrywaliśmy tę płytę wspólnie z zespołem i każdy z nas ma swój gust. W takich przypadkach pewne muzyczne podobieństwa są nieuniknione. Kiedy pracujemy razem, wytwarzamy ten rdzeń, na który przelewamy własne pomysły i inspiracje. To pewnego rodzaju loteria. Jednak jesteśmy na tyle dorośli, że nie mamy jakichś wielkich muzycznych zachłyśnięć. Wydaje mi się, że w zespole Sistars było znacznie więcej poważnych zapożyczeń. To eklektyczna płyta, w której każdy dał coś od siebie. Co więcej, nikt nikomu niczego nie narzucał; jeśli już, to rozmawialiśmy ze sobą albo dawaliśmy łagodne mikrosugestie.

Album ma subtelną, czarno-białą okładkę. Widzimy na niej tylko panią, nikogo więcej. Czy to pewien okrzyk: „Oto jestem ja, nikogo nie udaję"?

– Autorką tego zdjęcia (i teledysków) jest Silvia Pogoda, która zawsze rozumie to, co chciałabym wizualnie osiągnąć. Zależało mi, aby ta okładka była bardziej literacka, książkowa. Aby zapraszała do rozmowy, do rozpoczęcia pewnej relacji ze mną. Na swój sposób okładka tego albumu wygląda, jakby została zrobiona na potrzeby mojej autobiografii (śmiech).

Jakie są pani plany na przyszłość? Pewnie w zanadrzu ma pani kolejne utwory, które niebawem się ukażą.

– Na pewno będziemy chcieli zrobić piosenki, w których jest dużo więcej czasu i przestrzeni, które będą znacznie bardziej „transowe". Bardzo mnie zawsze denerwowały takie małe baseny, w których płyniesz do murku i musisz od razu zawracać. Chciałabym płynąć znacznie dłużej. I zależy mi, aby mój zespół i słuchacze płynęli razem ze mną. ■

eprasa.pl 7eed6e752a

NA EKRANACH

Doktor Strange w multiwersum obłędu

reż. Sam Raimi, prod. USA, już w kinach

Jeśli już dawno pogubiliście się w marvelowskich postaciach i nie bardzo kojarzycie, kto z Avengers, a kto z wrogich legionów, nie musicie się przejmować. „Doktor Strange w multiwersum obłędu" oferuje przystępną opowieść, którą gładko przyswoicie bez znajomości wszystkich części superbohaterskiej sagi. Oczywiście zapaleni miłośnicy komiksowych adaptacji też zostają odpowiednio dopieszczeni i będą mieli mnóstwo frajdy z odnajdywania kolejnych nawiązań nieczytelnych dla zwykłych śmiertelników, ale to pod tych drugich napisano scenariusz. A jest on całkiem poprawny, osnuty wokół pojedynku Wandy, kobiety, która dla własnego szczęścia z dwójką szkrabów u boku gotowa jest unicestwić wszechświat (a nawet kilka), z tytułowym bohaterem o ciele Benedicta Cumberbatcha, próbującym ocalić nastolatkę zdolną podróżować pomiędzy alternatywnymi rzeczywistościami. Wiecie, czego się spodziewać, i dokładnie to dostaniecie. Jeśli lubicie popisowe efekty specjalne i stawki większe niż życie, biegnijcie po bilet. Jeśli nie, to lepiej nie ryzykujcie obłędu.

Artur Zaborski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Olga Mildyn
Podłość

W.A.B., Warszawa 2022

Rozpędzona osobówka zjeżdża na przeciwny pas i uderza w tira. Ginie ojciec z trójką dzieci. Policjanci, którzy mieli powiadomić matkę, odkrywają, że została zamordowana. O tym, że trzeba się przyjrzeć, jak śledztwo jest prowadzone, tajemniczy ktoś uprzejmie donosi dziennikarce, rozpoczynając z nią grę. Ciąg śmierci okazuje się śladem ciągu szwindli, a i czytelnik nagle stwierdzi, że dał się podprowadzić. Bo „Podłość", którą debiutuje dziennikarka TVN 24 i „Dużego Formatu", jest bezkompromisowym portretem polskiej codzienności, ale też sprytnie zbudowaną historią. I na pierwszym, i na jej dalszych planach, nawet w migawkach, Olga Mildyn umieszcza postacie świetnie wyrysowane, czy będzie to doktor nauk społecznych, który wykładowcą został nie z chęci dzielenia się wiedzą, ale by posmakować dominacji, czy małomiasteczkowa sprzedawczyni i chłopaczki dręczyciele.

Aleksandra Pańko

KURTYNA W GÓRĘ

Nastia, czyli uczta okrucieństwa

„Nastia" według Sorokina, projekt teatralny grupy artystów białoruskich, ukraińskich i polskich zaprezentowany w Teatrze Powszechnym najpierw jako „szkice", potem *work in progress*, wreszcie jako premiera, uświadamia, czym w teatrze bywa kontekst. Pierwsze pokazy – tuż przed rosyjską agresją na Ukrainę – wybrzmiewały inaczej. Parę miesięcy temu wydawały się męczącym koszmarem, rojeniem w stylu tego autora, który przyzwyczaił swoich czytelników do tego, że Rosję przedstawia w najczarniejszych barwach i zaprawia swoje fabuły nienawiścią do postimperialnych tęsknot rosyjskich elit.

Wyglądało to na autorskie dziwactwo, ale teraz już nie. Obraz rosyjskiego dworku, niemal sielanki, gdzie dzieci uczą się francuskiego i manier, sprawia raczej wrażenie proroctwa. Oto dorośli rozprawiają o przyszłości świata i filozofii, w rozmowach króluje wątek nietzscheański, zmącony groteskową ucztą, w której najważniejszym smakowanym daniem jest upieczona 16-letnia dziewica, specjalnie hodowana na tę okazję, co więcej, córka gospodarza. Dziś to przestaje być czystym horrorem ku uciesze publiczności.

To diagnoza przemocowego systemu i zainfekowanych nim ludzi, tchnąca prawdziwą grozą. I choć wygląda na to, że czarny humor miał w tej antysielance i dystopii zabijać, to jednak śmiech więźnie w gardle. Powstał więc spektakl piekielnie aktualny i niepokojący, z dramatycznym pytaniem, jak długo ciągnąć się będzie za Rosją ta smuga przemocy i nienawiści. Czy kiedykolwiek rozrzedzi się na tyle, że świat będzie mógł odetchnąć?

Tomasz Miłkowski

„Nastia" według Władimira Sorokina, reżyseria Jura Dzivakou, Teatr Powszechny w Warszawie, Scena Mała, premiera 7 kwietnia 2022

FOT. MARIANNA KULESZA, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 7eed6e752a

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

Tryb przypuszczający

A gdyby tak połowa mieszkańców miasta żyła nocą, a połowa w dzień? O połowę mniej samochodów jeździłoby po ulicach, kierowcy nie mieliby kłopotów z parkowaniem. Połowa urzędów byłaby otwarta w dzień, a połowa w nocy. Siedzielibyśmy w ulubionych knajpach, nie psiocząc na turystów. Wybieralibyśmy przyjazne miejsca przy szybach, a hałas byłby o połowę mniejszy. I moglibyśmy dłużej siedzieć, a nie starać się zdążyć przed korkiem albo umawiać po korku. Nocne spektakle wyglądałyby jak plany filmowe, na które znienacka zaczęliby wchodzić przechodnie, wygłaszając wymyślone przez siebie kwestie.

Taksówkarze na postojach rozmawialiby przy świecach o nowych, ekologicznych paliwach. A rowerzyści sami produkowaliby światło: jasność rowerzysty zależałaby od prędkości obrotów koła (prędkości jazdy rowerem). I każdy pojazd dwukołowy miałby specjalną prądnicę, podobnie jak każdy pies, którego bieg napędzałby światło obroży. Ludzie cierpiący na bezsenność mogliby zapadać się w sobie, oglądając nocne seanse filmowe. Ci, którzy lubią jeść w nocy, nie czuliby się winni, nie przekradaliby się przez korytarze mieszkań z kiełbasą w kieszeni. Mogliby wspólnie jeść na piknikach przy pozwalających zachować intymność ogrodowych lampach, wymieniać się przepisami i częstować nalewkami. Cytrynówka byłaby w takich okolicznościach szczególnie fotogeniczna.

W takich miastach wszyscy byliby cisi, żeby ani w dzień, ani w nocy nie budzić współmieszkańców. Lepiej by nam się żyło w cichym, do połowy wyludnionym mieście. W knajpach zamiast przygnębiającej „muzyki tanecznej" z głośników dobiegałyby szumy i szepty, które nie płoszyłyby zwierząt w letnich ogródkach. Ściany domów byłyby dodatkowo wyciszone mchem. A posłowie przegłosowaliby ustawę o zamianie samolotów na balony. Większość maszyn wymieniono by na rośliny, ponieważ odkryto by ich niesamowite właściwości. Roślinami zajmowaliby się ludzie, którzy mieliby dzięki nim więcej czasu (bo rośliny wiele rzeczy potrafią zrobić same).

W wolnym czasie ludzie robiliby dla siebie różne rzeczy. Bo życie w nocy wprawiałoby ich w odświętny nastrój, w jaki wprawiają ich noce muzeów, spanie pod gwiazdami czy sylwestrowe szlajanki. Odtąd mieliby ochotę na psoty, pokazy, gotowanie w ciemności, słuchanie audiobooków pod kocami na dachach bloków, randki na łonie natury i naśladowanie głosów ptaków. Powstałyby nowe, pożyteczne zawody, które opierałyby się na kontakcie z bliźnim, np. nocni oprowadzacze. Byliby jakby przybranymi braćmi, towarzyszącymi tym, którzy niezbyt pewnie czują się po zmroku. W kolejnych cyklach ludzie zamienialiby się rolami i w ten sposób każdy w jakimś momencie byłby oprowadzaczem. To w prosty sposób rozwinęłoby empatię.

> A gdyby tak połowa mieszkańców miasta żyła nocą, a połowa w dzień?

Byłby to koniec terroru dnia, z jego wmówioną potrzebą zarabiania-wydawania, z nakazami pucowania powierzchni, chodzenia z podniesioną głową, opresją ekspozycji, oceną stylu, ubioru, włosów, wagi, cery, butów, zębów, dłoni, łokci, kolan, tyłka. Koniec triumfu ludzi bez okularów, ludzi bogatych, ludzi pięknych. Czas na wyrównanie szans dnia i nocy.

I siedzimy w ulubionych knajpach, nie psioczymy na turystów. Wybieramy przyjazne miejsca przy szybach, a hałas jest o połowę mniejszy. Odtąd mamy ochotę na psoty, pokazy, gotowanie w ciemności, słuchanie audiobooków pod kocami na dachach bloków, randki na łonie natury i naśladowanie głosów ptaków. Jemy razem, na piknikach, przy pozwalających zachować intymność ogrodowych lampach, wymieniamy się przepisami i częstujemy nalewkami. A cytrynówka jest w tych okolicznościach szczególnie fotogeniczna.

Przegląd
Dołącz do naszej społeczności
Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Twitterze, Instagramie, YouTubie i LinkedIn

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7eed6e752a

Bez podziału na oprawców i ofiary

Jest w ludziach skłonność do osądzania innych od razu, myślimy, że mamy jasny ogląd tego, co się wydarzyło

Rozmawia Artur Zaborski

W 1943 r. węgierscy żołnierze zostali wysłani przez nazistów do ZSRR, gdzie mieli się zająć tłumieniem oporu partyzantów. Co pana skłoniło do skupienia się na tamtym momencie historii pańskiej ojczyzny?

– Mój dziadek był jednym z tych żołnierzy. Trafił na terytorium dzisiejszej Ukrainy. Opowiadał mi wiele historii z tego okresu, kiedy byłem dzieckiem, napisał też pamiętnik. Chciałem jednak opowiedzieć nie o nim, ale o sobie. Wykorzystałem ten temat jako metaforę, by powiedzieć coś o teraźniejszości poprzez historię. Kluczową sprawą było pokazanie ekstremalnej sytuacji bez oceniania ludzi, którzy jej doświadczają, bez podziału na oprawców i ofiary.

Tamten okres historii jest zbadany i poznany. Chyba jesteśmy w stanie dziś powiedzieć, kto był wtedy katem, a kto ofiarą.

– Jest w ludziach skłonność do osądzania innych od razu, myślimy, że mamy jasny ogląd tego, co się wydarzyło. Chciałem zakwestionować tego rodzaju przekonania. To, że możemy spojrzeć w przeszłość i wskazać, co zrobiliśmy źle, nie znaczy, że rozumiemy, co faktycznie się wydarzyło, i że dziś w takiej samej sytuacji zareagowalibyśmy właściwie. Moi bohaterowie żyją w aktualnym momencie, doświadczają tego, co się dzieje, nie wiedzą, dokąd ich to zaprowadzi. Nie mają świadomości, że są po niewłaściwej stronie historii, która ich wkrótce rozliczy. Dlatego nie mogłem podzielić postaci na oprawców i ofiary, bo jedni i drudzy kierują się instynktami. Oczywiście wybrałem postać, która według mnie jest dobrym człowiekiem, ale na pewno nie bohaterem. Ma jeden cel – powrót do domu, do rodziny. Zakładam, że większość żołnierzy ma ten sam cel, przynajmniej mój dziadek taki miał.

DÉNES NAGY
– węgierski reżyser filmu „W świetle dnia”

Dziadek nie odnalazł się na wojnie? Nie dał się porwać romantycznym wizjom, które roztaczano, by zmotywować do zaangażowania w walkę?

– Absolutnie nie. Chciał tylko jak najszybciej przejść przez te trudne czasy, bo nie znosił przemocy. Pragnął wrócić do życia sprzed wojny. Wtedy jeszcze nie wiedział, że to niemożliwe, że po wojnie już nic nie będzie takie samo. Wierzył, że będzie jak kiedyś. I to myślenie sprawiło, że przegapił moment, w którym powinien zareagować na to, co się dzieje. Ja też myślę, że jestem dobrym człowiekiem, ale jednocześnie jestem słaby i nie zakładam, że zachowałbym się inaczej niż dziadek.

Dlaczego pan tak myśli?

– Bo często chowam się za tym, co robię. Mówię: „Moim zadaniem było zrobić film, a nie reagować na to, co dzieje się dookoła mnie na co dzień”. Ludzie, którzy tak robią, przegapiają moment na właściwą reakcję. Celowo nie pokazuję w filmie żadnego momentu, w którym bohaterowie podejmują jakieś decyzje, bo często w życiu takich momentów nie ma. Idziemy za tym, co robimy, nie podważając tego, i nagle okazuje się, że już jesteśmy po złej stronie, chociaż wcale tak nie postanowiliśmy. Często nawet nie wiemy, jak dotarliśmy do tego punktu.

Jak dziadek opowiadał o tamtym czasie?

– Jak o filmie przygodowym. To, co mówił, nigdy nie wydawało mi się specjalnie straszne. Pokazywał mi zdjęcia, które nie wyglądały na zdjęcia z wojny. Zacząłem nawet interesować się fotografią wojenną, która zazwyczaj wygląda podobnie: jakby uwieczniano szkolną wycieczkę. Przejrzałem wiele światowych archiwów. Na zdjęciach są uśmiechnięci żołnierze, przytuleni do siebie, na tle czołgów. Ludzie nie chwytali za aparat, gdy działo się coś naprawdę strasznego, tylko gdy dopisywał im humor. Nie zobaczy pan horroru wojny. Myślę, że ludzie celowo unikali fotografowania okropności, żeby o nich nie pamiętać. Również dziadek usuwał z głowy złe wspomnienia. Nigdy nie mógł mi odpowiedzieć na pytania o najbardziej dramatyczne momenty służby.

Tamten czas jest niewygodny politycznie. Może dziadek celowo wolał o nim nie mówić?

eprasa.pl 7eed6e752a

– Rzeczywiście to szczególny czas węgierskiej historii. Wkrótce przecież Sowieci, nasi wrogowie, w czasie jednej i tej samej wojny stali się naszymi towarzyszami broni, podobnie jak Polacy. Gdy nastał pokój i tak nie można było do tamtych wydarzeń wracać, bo komuniści cenzurowali temat okrucieństw, których Węgrzy dopuścili się wobec Rosjan, i odwrotnie. To było tabu. Stało się to możliwe dopiero po 1990 r. W efekcie duża część tej historii została zapomniana i już nigdy nie będzie opowiedziana.

Przerabiacie tę historię teraz?

– Nie, temat nie jest częścią publicznej dyskusji na Węgrzech. Jest istotny dla historyków, ale Węgrom nadal trudno o tamtych wydarzeniach rozmawiać, wzbudzają wiele emocji. II wojna światowa otoczona jest mistycyzmem. Nie zadaje się pytań o to, co Węgrzy robili tysiące kilometrów od Budapesztu, tylko kim są węgierscy bohaterowie, dobrzy żołnierze. A na tych, którzy próbują mówić o antybohaterach, natychmiast się napada.

Polak i Węgier to w tym przypadku rzeczywiście dwa bratanki. W Polsce też jest zakaz podważania bohaterstwa i męczeństwa naszych żołnierzy.

– Nie powinno tak być. Na wojnie ludzie zabijają się nawzajem. Nie da się w tym przypadku operować etykietkami dobry-zły, heros-antybohater. To wszystko jest o wiele bardziej złożone. W węgierskiej szkole wszyscy dużo wiedzą o jednym wydarzeniu II wojny światowej: kiedy armia rosyjska zniszczyła armię węgierską pod Woroneżem. W ciągu kilku dni zginęło 100 tys. ludzi, a więc armia węgierska w zasadzie upadła. Pamiętamy o tym, bo to narodowa tragedia, ale że staliśmy po stronie Niemców, jakoś nie chcemy pamiętać.

Naziści wysyłali do ZSRR nie tylko żołnierzy węgierskich.

– Armie złożone były z Włochów, Rumunów, Węgrów i Słowaków. Żołnierze musieli kontrolować ogromne obszary, a ich zadaniem było zachować pokój i walczyć z partyzantami, którzy próbowali bombardować linie kolejowe, magazyny czy inne strategiczne punkty, żeby wywołać chaos i panikę na tyłach armii. Walka była jednak nierówna, bo ci żołnierze nie znali terenu i nie rozumieli języka, a partyzanci mogli szybko się poruszać i współpracować z miejscowymi. Partyzanci werbowani byli głównie z ludności cywilnej, więc armie mściły się na cywilach. Były na to brutalne sposoby: palenie wiosek lub zabicie miejscowych. Czasami wybierali łagodniejszą formę – wywozili ludność setki kilometrów. Armia węgierska spaliła setki wsi i to jest fakt bardzo dobrze przez historyków udokumentowany. Braliśmy udział w wojnie, która oparta była na zabijaniu cywilów.

Współpracował pan z historykami?

– Korzystałem z pomocy kilku historyków, którzy opublikowali książki na ten temat w ostatnich dziesięciu latach. Zachowało się poza tym wiele niezwykle interesujących pamiętników z czasów wojny, miałem okazję przeczytać je w węgierskim archiwum wojskowym.

Pański dziadek też taki pisał?

– Nie, napisał wspomnienia 50 lat po wojnie. Zawartość pokrywa się z tym, co opowiadał mi podczas niedzielnych obiadów. Czytanie pamiętników różni się od czytania wspomnień, ponieważ te drugie zawierają refleksje. W pamiętnikach są napisane bardzo proste rzeczy: „Zjadłem dzisiaj 15 jajek" albo „Kogoś w nocy powieszono". To są również brutalne sceny, przeplatane rutynowymi scenami bez komentarza. Ograniczają się do suchych faktów, pozbawionych emocji. O wiele ciekawiej jest czytać czyjeś wspomnienia, bo autorzy próbują w nich zrozumieć, co się wydarzyło w ich życiu.

Czy realizacja „W świetle dnia" pomogła panu lepiej zrozumieć dziadka?

– Nie wiem, czy dziadek dopuścił się jakiegoś okrucieństwa. Prawdopodobnie nie, ale zawsze próbowałem sobie wyobrazić, że to zrobił. Zadawałem sobie pytanie, jak to wpływa na mnie. Po wojnie był nauczycielem w małej wiosce, stereotypowym belfrem starej daty, bardzo go szanowano. Dla mnie także był autorytetem. Próbowałem sobie wyobrazić jego twarz – nauczyciela, który dopuszcza się okrucieństwa. Dzięki temu filmowi mogłem to sobie zwizualizować i zmierzyć się z własnymi emocjami. W ważnej dla mnie scenie obiadu dwóch żołnierzy węgierskich wchodzi do rosyjskiego domu. Zjadają żywność bardzo biednej rodziny, ale jeden z nich pyta dowódcę: „Mam ich wysłać na mróz?", a dowódca odpowiada: „Mogą zostać w środku". Dla tych żołnierzy było normalne, że zabierają jedzenie ubogim, ale jednocześnie reagują ludzkim odruchem, pozwalając im zostać w ciepłym domu. Oni nie widzieli swojej brutalności, tylko ten odruch człowieczeństwa. To ciekawe, jak definicje pewnych rzeczy się przesuwają w ekstremalnych sytuacjach. ■

Fotografia wojenna zazwyczaj wygląda podobnie: jakby uwieczniano szkolną wycieczkę.

W świetle dnia

FOT. SHUTTERSTOCK, AURORA FILMS

eprasa.pl 7eed6e752a

Zęby ze Stajni, bumerang i reszta

Stosunek do neandertalczyka zmienił się z pogardy w podziw

Agnieszka Krzemińska

O stosunkowo późnym zasiedleniu dzisiejszych ziem polskich zadecydował klimat. W paleolicie dolnym, środkowym i górnym (do ok. 14 700 lat temu) zajmował je kilkukrotnie nasuwający się od północy i cofający się lądolód, stąd obecność hominidów rejestrowana jest głównie na południu, bo nawet jeśli zawędrowali w głąb dzisiejszej Polski, to ślady tych wizyt są ukryte głęboko pod ziemią. Mimo to na nasze ziemie docierał być może *Homo erectus*, a na pewno *Homo heidelbergensis*, którzy – wbrew wyobrażeniom – nie zawsze mieszkali tylko w jaskiniach. Co prawda pomieszkiwali w jaskini Na Biśniku na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej czy w miejscu dzisiejszej kopalni kaolinu w Rusku koło Strzegomia, ale w Trzebnicy swoje obozowisko założyli nad przepływającą tam wówczas rzeką. Choć datowania owych trzech najstarszych stanowisk są oparte na mało precyzyjnych analizach geologicznych i nie mamy szczątków tych dwóch gatunków hominidów, jest pewne, że bywały one, przynajmniej incydentalnie, na południu Polski już jakieś 500 tys. lat temu. Jak na razie najstarsze zachowane kości hominidów są dużo młodsze i należą do neandertalczyka.

Jako zwierzęta najbardziej egocentryczne i przekonane o własnej wartości, lubimy zachwalać osiągnięcia, które pozwoliły nam zdobyć świat i podporządkować sobie naturę. Dlatego tak chętnie słyszymy, że coś jest starsze, niż nam się wydawało, albo że byliśmy zmyślniejsi, niż zakłada liniowa wizja rozwoju cywilizacyjnego. Dotyczy to głównie *Homo sapiens sapiens*, ale nauka ma od pewnego czasu innego ulubieńca, neandertalczyka nazywanego „pierwszym Europejczykiem", jednocześnie jednego z ostatnich hominidów, którzy przez jakiś czas współegzystowali z człowiekiem anatomicznie współczesnym.

Od momentu znalezienia jego szczątków w XIX w. „neandertalczycy spowodowali eksplozję coraz szerszych debat o tym, co to znaczy być człowiekiem", pisze brytyjska archeolożka Rebecca Wragg Sykes w książce „Krewniacy. Życie, miłość, śmierć i sztuka neandertalczyków", a stosunek do neandertalczyka zmienił się z pogardy w podziw. Nasza empatia gwałtownie wzrosła, gdy badania genetyczne wykazały, że mamy w sobie domieszkę neandertalskich genów, co oznacza, że człowiek neandertalski miał seksualne kontakty z człowiekiem współczesnym. Nie dziwi nas więc, że neandertalczyk dbał o kaleki i dzieci, czyścił zęby, znał technologię wytwarzania dziegciu i krzesania ognia, tworzył sztukę i miał jakieś życie duchowe. Ponieważ nie chcemy być jedynymi winnymi wyginięcia

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7eed6e752a

naszego kuzyna, szukamy gorliwie innych powodów tłumaczących jego zniknięcie. W Polsce po jego pobycie zostały tylko narzędzia z kamieni, więc nasz udział w tej wielkiej międzynarodowej dyskusji przez dłuższy czas ograniczał się jedynie do potwierdzenia, że neandertalczyk potrafił wykonać świetne narzędzia nawet z gorszego surowca.

Dopiero w 2008 r. ziściły się marzenia o neandertalskich kościach. Do ich odkrycia nie doszłoby, gdyby nie wandale, którzy dwa lata wcześniej rozkopali jaskinię Stajnia na Wyżynie Częstochowskiej. Ponieważ w wykopach archeolodzy znaleźli paleolityczne zabytki, doktor Michał Urbanowski rozpoczął tam badania ratownicze. Szybko się okazało, że jaskinię użytkowali neandertalscy myśliwi, którzy pozostawili po sobie narzędzia i kości zwierząt. Noże tylcowe, służące do cięcia skór i obrabiania kości, były wykonane starannie, a swego rodzaju składzik brył krzemiennych, w tym wstępnie obrobionych, świadczył o myśleniu strategicznym. Nie wiadomo, czy mieszkańcy Stajni żywili się mięsem zwierząt zabitych przez inne drapieżniki, czy też sami na nie polowali, ale w jaskini znaleziono kości niedźwiedzi, reniferów, nosorożców i mamutów.

Zdecydowanie największą radość i sensację wywołało jednak odkrycie trzech neandertalskich zębów. Analizy laboratoryjne trzonowców ze Stajni pozwoliły ustalić, że należały do dwóch dorosłych osobników i dziecka. Antropolodzy na jednym z nich zauważyli rysy powstałe podczas dłubania w uzębieniu wykałaczką z ości ryby lub kości ptaka. Z kolei u drugiego mężczyzny dopatrzono się taurodontyzmu. (Taurodontyzm to powiększenie komory trzonowców, zwanej też „byczą", dzięki której zęby stają się odporniejsze na duże przeciążenia, pojawiające się w trakcie żucia twardego pożywienia, jak skóry czy surowe mięso). Badania DNA i znacznie cieńsze niż u człowieka szkliwo potwierdziły, że to zęby neandertalczyków.

Wstępnie stwierdzono, że zęby mogą mieć od 49 do 52 tys. lat, ale gdy w 2020 r. w Instytucie Antropologii Ewolucyjnej Maxa Plancka w Lipsku udało się uzyskać mitochondrialne DNA z zęba jednego z dorosłych osobników, ich wiek cofnięto do 71-82 tys. lat. Autorów artykułu w „Scientific Reports" zaskoczyło, że materiał genetyczny ze Stajni wykazuje większe podobieństwo do genomu neandertalczyków z jaskini Mezmajskaja 1 na Kaukazie niż do mieszkańców z Europy Zachodniej i Środkowej, co świadczy o migracjach na duże odległości, zapewne związanych z ochłodzeniem klimatu ok. 100 tys. lat temu. Przypuszczalnie jeszcze więcej o wędrówkach i pokrewieństwie neandertalczyków będzie można powiedzieć, gdy uda się uzyskać mtDNA z dwóch pozostałych zębów.

Znalezisko z jaskini Stajnia to pierwsze potwierdzone badaniami genetycznymi, ale nie jedyne kości naszego kuzyna. W 2007 r., podczas badań w Jaskini Ciemnej koło Ojcowa, odsłonięta została cała sekwencja warstw neandertalskich. W najmłodszej z nich, datowanej na 40 tys. lat, znajdował się mocno uszkodzony ząb, a w najstarszej, datowanej na blisko 115 tys. lat – dwa paliczki z dłoni dziecka. Badający je paleontolodzy stwierdzili, że kostki były dziwnie wygładzone i porowate – mógł to być wynik przejścia przez system trawienny jakiegoś drapieżnego ptaka. Zarówno w wypadku zęba, jak i paliczków z Ciemnej wyekstrahowanie kopalnego DNA nie wchodzi w rachubę, więc nie ma stuprocentowej pewności, że są ludzkie (nie można wykluczyć, iż należały do niedźwiedzia jaskiniowego), ale prof. Paweł Valde-Nowak, krakowski archeolog i badacz Jaskini Ciemnej, wierzy, że znalazł najstarszego neandertalczyka. Według niego czynnikiem stymulującym neandertalskie osadnictwo były występujące u nas nadające się do łupania surowce.

– Niestety, przechodzące przez Sudety i Karpaty małe grupy neandertalczyków zostawały na krótko, co wynikało z tego, że strefa peryglacjalna nie była tak przyjazna do życia jak Hiszpania, Francja czy Bałkany. Nie można jednak wykluczyć, że ta efemeryczna obecność pierwszych ludzi to również kwestia stanu zaawansowania badań. Odkrycia w Stajni czy w Ciemnej to początek – zapewnia profesor.

Przechodzące przez Sudety i Karpaty małe grupy neandertalczyków zostawały na naszych ziemiach na krótko.

Odkąd wiemy, że mamy w sobie geny neandertalskie, doszło do wyraźnej zmiany wizerunku pierwszego Europejczyka, który nagle przestał być prymitywnym małpoludem z obrazów Buriana. Choć nadal ma rysy grubsze od naszych i jest masywniej zbudowany – na co wskazują kości – to jego ciało już nie zawsze pokrywa szczecina, ma znacznie jaśniejszą karnację, niebieskie oczy i rude włosy. Te ostatnie cechy to nie tylko wynik badań neandertalskiego DNA, lecz także dziedzictwo, jakie pozostało w naszym genomie. Dlatego, mimo że rekonstrukcja twarzy neandertalskich mieszkańców jaskini Stajnia na podstawie ich zębów jest niemożliwa, możemy roboczo założyć, że byli bladzi, błękitnoocy i rudzi.

Sensację wywołało odkrycie trzech neandertalskich zębów w jaskini Stajnia. Należały do dwóch dorosłych osobników i dziecka.

Dla archeologów zajmujących się paleolitem nadal najważniejszym sposobem datowania i wyodrębniania następujących po sobie kultur archeologicznych jest typologia kamiennych narzędzi. W Polsce wczesnego neandertalczyka łączy się z kulturą mikocką (nazwaną tak od stanowiska La Micoque w Dordogne we Francji), tego późniejszego

eprasa.pl 7eed6e752a

zaś z funkcjonującą od 45 do 35 tys. lat temu kulturą szelecką (nazwaną od jaskini Szeleta na Węgrzech). Dwie kolejne kultury – trwająca od 40 do 30 tys. lat temu kultura oryniacka (od miejscowości Aurignac we Francji) oraz następująca po niej kultura grawecka (od jaskini La Gravette w Dordogne) – są już związane z człowiekiem współczesnym, który ok. 40 tys. lat temu dokonał rewolucji technologicznej i zaczął wytwarzać bardziej wyrafinowane narzędzia. Przy ich użyciu 27 tys. lat temu polował na naszych ziemiach na mamuty, o czym świadczy znalezione przy kopcu Kościuszki w Krakowie żebro tego zwierzęcia, a w nim 7-milimetrowy fragment krzemiennego grotu włóczni, będący dowodem zbrodni niczym dymiący pistolet. Podczas gdy w innych częściach Europy i na Bliskim Wschodzie istnieją ślady neandertalskiej kultury duchowej (np. pochówki czy sztuka), na terenach ziem polskich możemy je łączyć dopiero z człowiekiem współczesnym. Należą do nich: pochówek dziecka z naszyjnikiem z zębów zwierzęcych w Jaskini Borsuka sprzed 27,5 tys. lat, zawieszki z ciosów mamuta i zębów z Jaskini Mamutowej oraz depozyt z Jaskini Obłazowej z najstarszym bumerangiem świata.

•

Choć pierwszym lokatorem Jaskini Obłazowej koło Białki Tatrzańskiej był neandertalczyk, sensacyjne odkrycie, o którym usłyszał cały świat, dotyczyło człowieka współczesnego zamieszkującego tę jaskinię kilka tysięcy lat później. Wszystko zaczęło się od tego, że w latach 80. XX w. Paweł Valde-Nowak, wówczas jeszcze doktor, postanowił sprawdzić, kiedy został zasiedlony rejon Karpat, ponieważ ówcześni naukowcy zakładali, że z powodu braku krzemienia ludzie przybyli tam znacznie później niż na przykład na tereny Dolnego Śląska czy Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej.

Tymczasem okazało się, że w schyłkowym paleolicie w rejonie Karpat działało wiele pracowni kamieniarskich, tyle że zamiast krzemienia wykorzystywano w nich pozyskiwany w Pieninach doskonale nadający się do łupania czerwono-zielony radiolaryt.

W 1985 r. badacz trafił do Jaskini Obłazowej, w której funkcjonalne radiolarytowe narzędzia łupał już neandertalczyk. Dzięki wykorzystaniu sit do przesiewania wydobytej z wykopów ziemi udało się pozyskać mnóstwo drobnych zabytków, które inaczej zostałyby przeoczone. Wśród nich znalazły się fragmenty kości zwierząt, przewiercone muszle ślimaka z rodzaju *Conus* (które 30 tys. lat temu służyły jako ozdoby, amulety albo gwizdki szamańskie) czy maleńki paciorek z kości mamuta. Ale zdecydowanie najbardziej zaskakującym odkryciem był bumerang.

W warstwie datowanej na 31 tys. lat i kulturę grawecką znaleziono krąg intencjonalnie przyniesionych do jaskini głazów i płyty piaskowca do rozcierania barwników. Wśród znajdujących się tam narzędzi z krzemienia, radiolarytu i kryształu górskiego oraz muszli i kłów lisa polarnego, pochodzących zapewne z amuletu, leżał precyzyjnie obrobiony bumerang z ciosu mamuta. Miał długość 78 cm i z jednej strony był płaski, z drugiej zaś – wypukły. Po publikacji odkrycia w magazynie „Nature" znawcy nie mieli wątpliwości, że to bumerang; przeprowadzili nawet eksperymenty z jego repliką, które dowiodły, że jest dobrze wyważony i doskonale nadaje się do miotania, lecąc szybciej niż zwykły wygięty patyk. Prof. Valde-Nowak jest pewien, że musiał to być ważny przedmiot ceremonialny dla mieszkańców Jaskini Obłazowej, skoro trafił do tajemniczego depozytu posypanego czerwoną ochrą.

– Aż prosi się, by powiązać go z obrzędami szamańskimi albo pochówkiem, bo przy bumerangu znaleźliśmy dwa paliczki palców dorosłych osobników: ostatni, czyli dystalny, lewego kciuka oraz małego palca – mówi profesor.

Paliczki te wpisują się w dyskusję, która toczy się wśród naukowców na temat występujących na całym świecie, a w Europie wykonywanych już przez neandertalczyka, odbić dłoni znajdowanych na ścianach jaskiń. Powstawały one na dwa sposoby: albo maczano dłonie w ochrze lub sadzy i odbijano je na skalnej ścianie jak stemple, albo po przyłożeniu ich do ściany obryzgiwano nabranym do ust barwnikiem, uzyskując ich negatywy.

Dlaczego w jaskiniach we Francji i w Hiszpanii wiele z tych dłoni pozbawionych jest jednego lub więcej palców – nie wiadomo. Niektórzy badacze w dłoniach pozbawionych palców w różnych sekwencjach upatrywali systemu zapisywania liczb, inni – rodzaju języka migowego, jakim posługują się na przykład nurkowie czy komandosi. Według jednych palce tylko zaginano do środka, inni zaś twierdzą, że dłonie były autentycznie okaleczone na skutek odmrożeń, choroby Raynauda lub celowych amputacji. Tę ostatnią wersję zdaje się potwierdzać etnografia, ponieważ w przeszłości co najmniej 121 społeczności pierwotnych praktykowało przymusowe (za karę) lub dobrowolne amputacje palców, zarówno za życia, jak i po śmierci. Ucięte paliczki służyły jako trofea, wota, talizmany, ofiary lub przedmioty kultu. Okaleczenia często dotyczyły kobiet i dzieci, co stanowiło ofiarę z krwi, znak żałoby, rytuał przejścia albo dowód społecznego statusu.

Rekonstrukcja twarzy neandertalczyków z jaskini na podstawie zębów jest niemożliwa, ale możemy założyć, że byli bladzi, błękitnoocy i rudzi.

Fragmenty książki Agnieszki Krzemińskiej *Grody, garnki i uczeni. O archeologicznych tajemnicach ziem polskich,* Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022

eprasa.pl 7eed6e752a

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Chcesz w dziób?

Od kilku dni budzi mnie o piątej rano natrętny koleżka, stukając w szybę. Przez chwilę było to zabawne, zanim nie okazało się monotonne, denerwujące, aż wreszcie sięgnęło wymiaru tortury. Nic go nie odstrasza, nic nie zniechęca, jest tępy i zajadły jak ruski czołgista (wojna uprawomocnia wysyp niedyplomatycznych sucharów). I czegóż ty chcesz ode mnie, po co tak uporczywie się wpraszasz, zobaczmy: otworzyłem okno na oścież, to odpuścił, schował się, skubany. Zawiało trochę, ktoś tam wiertary odpalił, przymknąłem w końcu, żeby popisać w spokoju, a ten znowu, od razu łupie. Pan zięba. Przyszło mi do głowy, że to jakiś wyjątkowo nieudolny samobójca – ptaki nierzadko śmiertelnie się zderzają z czystymi oknami; no, wziąłby większy rozpęd, zamiast mi dziobać tę szybę. Doczytałem: nie chodzi mu o to, żeby się dostać do środka, to nie ułan, co szuka pokalanej panienki, nie chce też sobie zrobić krzywdy – on walczy. Na śmierć i życie toczy bój z własnym odbiciem. I potrafi tak przez całą wiosnę, lato, od świtu do zmierzchu…

Wywiesiłem potargane torebki foliowe, żeby, szeleszcząc na wietrze, odstraszyły gamonia, ale gdzie tam – raczej odstraszą sąsiadów; gdybym zobaczył kolorowe folie powiewające z okien, też bym uznał to za symptom czyjegoś obłędu. Po prawdzie, daleko do szału nie mam, cierpię na przeziębienie. Pojadę po czarne nalepki w kształcie drapieżników, ale nie mam przekonania, czy to coś zmieni – nienawiść do innych samców jest u zięb tak silna, że może pokonać instynkt samozachowawczy. Spoglądam na ten ptasi szał z rezygnacją, choć nie ozięble: o ziębie mniemam odtąd jak najgorzej. Atak na szybę powtarza się w seriach, ptaszek wali dziobem w okno, po czym przysiada na balkonie, z każdą szarżą podsrywając sobie dla kurażu na balustradę.

Ludowy stoicyzm: „Tak to już natura wymyśliła, nic nie zrobisz” wyjątkowo mnie drażni, bo to jakbym słyszał, że skoro natura obdarzyła samców testosteronem, muszą sobie czasem upuścić jego nadmiar, mordując i gwałcąc. Lecz jeśli natura nawet ptasiemu móżdżkowi zdołała wymyślić sposób sublimacji morderczego popędu, może i w człowieku da się znaleźć coś na uśpienie Tanatosa. Otóż pan zięba, gdy nie walczy, to śpiewa. Potrafi wykonać swoją dwutaktową arię do 2 tys. razy dziennie. Gdzież mu do wirtuoza kosa, który finezyjnie cytuje inne gatunki, gdzież do drozda, który z jazzową werwą przełamuje frazę – zięba jest minimalistą, jego zaśpiew polega na powtarzaniu w nieskończoność refrenu, tu nie ma miejsca ani czasu na zwrotki, należy wygłosić swoje bojowe oświadczenie i oznaczyć nim teren. Nie nazwałbym tej piosnki urokliwą, już wolę sroczy skrzek lub wronie krakanie, bardziej się zlewa z tłem, ani mnie grzeje, ani ziębi, ziębi śpiew niestety wyróżnia się i nawierca w mózgu otwór, przez który wsączają się do mnie demony wojny.

Chciałbym tego ptaka unicestwić, ale wiem, że po nim przyjdą inne, natura nie znosi próżni, terytorium raz objęte we władanie nie może leżeć odłogiem – samczy instynkt nakazuje je oflagować na nowo. Mój balkon jest miejscem frontowym, punktem strategicznym – jedyne wyjście to poczekać, aż szyby się zakurzą, zaplamią, zmatowieją, nigdy więcej nie pozwolę ich umyć. Stracę co prawda widok z okna, ale zyskam ten na przyszłość.

> Morderca w mundurze łudzi się, że wojna jest tylko czasowym zawieszeniem praw, po ogłoszeniu rozejmu wszystko wróci do normy.

Nie potrafię uciec od poczucia, że ta tragikomiczna ptasia batalia spadła mi, czy raczej na mnie, z nieba jako potwornie smutna metafora. Wojna nie ma w sobie krzty rozumu – to karnawał zbrodniczego instynktu, zabójcze zapętlenie, działa jak pompa ssąco-tłocząca, raz zalana krwią, nie ustanie, dopóki będzie miała co pompować. Szukać empatii i litości u najeźdźczych sołdatów to jak negocjować z ziębą o spokój. Odczłowieczenie dokonuje się w dwójnasób – napastnik musi w swoim przekonaniu zezwierzęcić ofiarę, nim ją zabije, lecz także wyzbyć się ludzkich uczuć na czas zbrodni. Morderca w mundurze łudzi się, że wojna jest tylko czasowym zawieszeniem praw, po ogłoszeniu rozejmu wszystko wróci do normy, znowu można będzie żyć normalnie, po ludzku. Wszystko mu się odwraca – myśli, że podczas wojny tylko żarliwie wykonuje rolę zbrodniarza, podczas gdy tak naprawdę to w czasie pokoju wciąż jedynie udawał człowieka. I bardzo się tym zmęczył.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7eed6e752a

Błękitna krew, która ratuje życie

Skrzypłocze istniały na naszym globie na długo przed dinozaurami i wyglądają mniej więcej tak samo od 400 mln lat

Anne Sverdrup-Thygeson

Pewnie nawet o tym nie wiesz, ale jeśli kiedykolwiek dostałeś zastrzyk, możesz podziękować morskiemu stworzeniu o błękitnej krwi i wyglądzie średniej wielkości patelni za to, że zawartość strzykawki była czysta i pozbawiona niebezpiecznych toksyn bakteryjnych. Ukłoń się skrzypłoczom, odległym morskim krewniakom pająków. W ciągu ostatnich 25 lat uratowały wiele ludzkich istnień, ponieważ ich krew pozwala wykryć bakterie znajdujące się tam, gdzie ich nie chcemy.

Skrzypłocze lub mieczogony, jak się je inaczej nazywa, istniały na naszym globie na długo przed dinozaurami i wyglądają mniej więcej tak samo od 400 mln lat. Żyją w morzu, jednak w okresie godowym tysiącami wyczołgują się jednocześnie na plażę. Z czterech żyjących dzisiaj gatunków jeden występuje wzdłuż wschodniego wybrzeża USA, a pozostałe trzy w Azji. Dorosły skrzypłocz ma ciało pokryte wybrzuszonym pancerzem, a z tyłu wystaje mu ostry, wąski, opancerzony ogon – stąd „mieczogon". Nie służy on do obrony, ale raczej działa jak ster pomagający zwierzęciu utrzymać kurs, gdy płynie lub idzie. Ogon wykorzystywany jest również do obracania ciała na lądzie, jeśli zwierzątko znajdzie się nagle na grzbiecie.

Skrzypłocze oddychają przy użyciu skrzeli mających kształt dużych klap przypominających kartki książki, a tlen rozprowadzany jest po ich ciele z krwią zawierającą miedź. To właśnie związki miedzi nadają krwi tych stworzeń charakterystyczny jasnoniebieski kolor. Na wierzchniej stronie ich ciała znajduje się 10 elegancko ułożonych oczu, a na brzusznej – 10 nóg. Przepychają one zwierzę przez błocko w namorzynowych lasach i na płyciznach, pomagają też we wpychaniu pożywienia – drobnych robaków i mięczaków – do otworu gębowego.

Co wręcz nieprawdopodobne, istnieją liczące wiele milionów lat charakterystyczne odciski odnóży skrzypłoczy, znakomicie zachowane w skale w Chinach. Mieczogony należały do tych gatunków, które przeżyły „wielkie wymieranie", trzecie masowe wymieranie, które miało miejsce 252 mln lat temu i odebrało życie 96% wszystkich morskich gatunków. Jego przyczyną był potężny wybuch wulkanu na Syberii, który wywołał drastyczne zmiany temperatury, pH i zawartości tlenu w morzu. Skrzypłocze jednak to przetrwały. Badacze mogą dosłownie pójść ich śladem i patrzeć, jak zwierzęta te dzielnie przepełzły przez tę wielką śmierć.

Przenieśmy się teraz kilkaset milionów lat w przód, do naszych czasów. Wyobraź sobie laboratorium, w którym ludzie w białych fartuchach, z siatkami na głowach i maseczkami na twarzach uwijają się wzdłuż długich stołów. Nad stołami w równych rządkach przymocowane są skrzypłocze. Umieszczone na stojakach zwierzęta są tak ułożone, aby łatwiej było dotrzeć do tkanki otaczającej serce zwierzęcia. W nią wbita jest cienka igła z rurką, której drugi koniec znajduje się niżej, przy otworze szklanej butelki, powoli wypełniającej się błękitnym płynem – cudowną krwią skrzypłocza. (...) Jest to skrzypłoczowy bank krwi, w którym my, ludzie, odgrywamy rolę krwiopijcy.

Wyjątkowe właściwości skrzypłoczowej krwi odkryto w latach 50., a zawdzięczamy to dwóm ciekawskim amerykańskim badaczom, którzy zainteresowali się nieoczekiwanymi obserwacjami. Jeden z nich badał krwiobieg tych zwierząt i zwrócił uwagę, że ich krew czasami zamienia się w galaretowatą masę. Skontaktował

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7eed6e752a

się z innym uczonym, który pracował nad toksynami bakteryjnymi i ich wpływem na krew i krwawienia.

Ostatecznie naukowcy ci stwierdzili, że kiedy błękitna krew mieczogonów znajdzie się w pobliżu bakterii, natychmiast tężeje. Nawet drobniuteńka dawka endotoksyn, często spotykanej trucizny pochodzącej zarówno od żywych, jak i od martwych bakterii, która może u ludzi powodować gorączkę, a w najgorszym przypadku śmierć, wystarczyła, by krew skrzypłocza zmieniła się w żel.

Jako że takie toksyny nie są niszczone podczas sterylizacji, możliwość ich wykrywania ma olbrzymie znaczenie. Tu krew skrzypłoczy okazała się niezrównana. Mając nieco błękitnego płynu pobranego od tej żywej skamieniałości, można było teraz sprawdzać, czy leki i sprzęt medyczny są wolne od bakterii. W 1977 r. metoda ta została zatwierdzona przez amerykańskie władze zdrowotne i przyjęta do wykorzystywania na całym świecie. Dziś jest to olbrzymi biznes – litr gotowej do użytku krwi skrzypłocza wart jest mniej więcej 15 tys. dol. (…)

Co roku do „banków" w celu spuszczania krwi przywozi się pół miliona amerykańskich osobników oraz nieznaną liczbę azjatyckich. W Stanach Zjednoczonych jest to regulowane przez prawo. Ustala się limity, można spuszczać tylko jedną trzecią objętości krwi, a zwierzę musi powrócić tam, gdzie zostało schwytane, w ciągu 72 godzin. Niezależne badania wykazują, że śmiertelność mieczogonów mimo to wynosi mniej więcej 15%, a poza tym takie traktowanie może mieć też inne negatywne skutki. Znaczna liczba amerykańskich skrzypłoczy jest chwytana również w charakterze przynęty. Amerykański skrzypłocz znajduje się na światowej liście gatunków zagrożonych jako gatunek narażony na wyginięcie (VU).

W Azji połowy skrzypłoczy nie są regulowane, ich los jest więc prawdopodobnie jeszcze gorszy. Zwierzęta te po upuszczeniu krwi rzadko są uwalnianie do morza, zamiast tego często się je zjada. Dodatkowo plaże, na których się je zbiera, są coraz bardziej zabudowywane domami i hotelami. Wszystkie azjatyckie gatunki wpisano na światową czerwoną listę, w tym jeden jako mocno zagrożony wyginięciem (EN); w przypadku pozostałych dwóch zbyt mało wiemy, by zakwalifikować je do właściwej kategorii (DD).

Spadek liczebności skrzypłoczy ma również ogromny wpływ na inne gatunki współtworzące ekosystemy wybrzeży. Podczas randek tych zwierząt na plażach składane są miliony żółtozielonych jaj o rozmiarach kaparów. W Ameryce Północnej taki „skrzypłoczowy kawior" daje potężny zastrzyk energii wielu gatunkom wędrownych ptaków zmierzających z Ameryki Południowej do Arktyki.

To prastare zwierzę jest na krawędzi wyginięcia.

Jeśli jesteś biegusem rdzawym, który na wiosenną wyprawę wyruszył z Ziemi Ognistej w Argentynie, po przybyciu do Delaware niewątpliwie dręczy cię głód. Jednak w ostatnich latach populacja tego podgatunku biegusa *(Calidris canutus rufa)* ogromnie się zmniejszyła, do mniej niż ćwierci poziomu z roku 1980. Jedną z przyczyn jest mniejsza ilość pożywienia w miejscach, gdzie ptaki te urządzają sobie międzylądowanie, takich jak plaże skrzypłoczy w Delaware; inne powody to zabudowywanie terenów, większy ruch drogowy, podnoszenie poziomu mórz i zmiany klimatu.

Zapotrzebowanie na krew skrzypłoczy sprawiło, że to prastare zwierzę jest na krawędzi wyginięcia, podobnie jak odkrycie artemizyny w bylicy, taksolu w cisie pacyficznym czy eksendyny w ślinie helodermy – a także waniliowego smaku z wanilii płaskolistnej – sprawiło, że zapotrzebowanie na te rośliny i zwierzęta gwałtownie wzrosło. Dzisiaj nie musimy już pozyskiwać tych substancji z samej rośliny lub zwierzęcia, możemy wytwarzać je w laboratorium. Nie tylko poprzez procesy chemiczne, ale również dzięki biotechnologii.

Ludzkość od tysięcy lat zajmowała się prostą „kuchenną technologią", tak jak wtedy, kiedy nauczyliśmy się wykorzystywać drożdże do fermentacji zboża w celu otrzymania alkoholu albo bakterie kwasu mlekowego do zakwaszania mleka, by otrzymać jogurt albo kefir. Jednak prawdziwy przełom nastąpił w latach 70. XX w. Wtedy nauczyliśmy się wycinać i wklejać geny przy użyciu metod nazywanych klonowaniem DNA czy inżynierią genetyczną. W taki sposób jesteśmy w stanie przenosić obce DNA do danej komórki i „przeprogramowywać" na przykład bakterie lub drożdże tak, by produkowały konkretną proteinę. W ostatnich latach nowe metody, zwłaszcza technologia CRISPR, sprawiły, że edycja genów stała się bardziej użyteczna, prostsza i tańsza. Rewolucja biotechnologiczna oferuje nowe rozwiązania w medycynie i ochronie zdrowia (a także w produkcji żywności, wymiarze sprawiedliwości itd.). Jednocześnie pojawia się wiele nowych wyzwań, zarówno profesjonalnych, jak i etycznych – z jakim ryzykiem wiążą się te działania i gdzie leżą granice?

Z punktu widzenia skrzypłocza to, że potrafimy dzisiaj wytworzyć enzym reagujący na obecność toksyn bakteryjnych, korzystając z kultur komórkowych w laboratorium, a nie pobierając krew zwierzęcia, jest zmianą niewątpliwie pozytywną. Wprowadzenie tej nowej metody testowej zajęło sporo czasu, ale od kiedy pod koniec 2019 r. została zatwierdzona na poziomie europejskim (z możliwością stosowania od roku 2021), pojawiła się nadzieja, że istnienie takiej alternatywy sprawi, że nie będzie już potrzeby zbierania i wykrwawiania skrzypłoczy. Miejmy nadzieję, że zdążyliśmy i że te fascynujące zwierzęta będą mogły żyć jeszcze parę milionów lat.

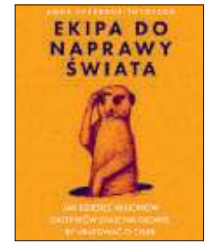

Anne Sverdrup-Thygeson, *Ekipa do naprawy świata. Jak dziesięć milionów gatunków staje na głowie, by uratować ci tyłek*, tłum. Witold Biliński, Znak, Kraków 2022

eprasa.pl 7eed6e752a

ARCHITEKTURY nie można wyłączyć

Miasta potrzebują zieleni, aby nas chronić nie tylko przed upałami, ale i suszą. Nie traktujemy przestrzeni jako dobra wspólnego

MARCIN SZCZELINA
– krytyk i kurator architektury, założyciel pisma „Architecture Snob". Laureat nagrody Property Design 2017 za działalność na rzecz polskiej architektury. Od 2014 r. ekspert europejskiej Nagrody Miesa van der Rohe.

Rozmawia Katarzyna Niedurny

Rozmawiamy o architekturze współczesnej, więc ustalmy, gdzie ta współczesność się zaczyna.

– Architektura modernistyczna, okresu PRL, to architektura, w której większość z nas żyła albo żyje, a my już się zastanawiamy, jak ją zachować i jak jej bronić, ustanawiając nad nią opiekę kuratorską i wpisując do rejestru zabytków. Teraz zaczynamy zadawać sobie takie same pytania w stosunku do architektury postmodernistycznej początku XXI w. Ostatnia dyskusja wokół centrum handlowego Solpol we Wrocławiu pokazała, jak trudne mogą to być rozmowy. Miłośnicy budynku, walczący o jego zachowanie, również jako symbolu czasów, w których powstał, przegrali z niewidzącymi w nim żadnej wartości. Ale to nie znaczy, że te czasy nie zostaną docenione. Tak jak musieliśmy wyburzyć pawilon Emilia w Warszawie, żeby zauważyć architekturę PRL. Czy podobne dyskusje oznaczają, że to, co się działo na początku lat 2000, to już historia i wymyka się współczesności? Trudno odpowiedzieć.

Spróbujmy.

– Myślę, że prawdziwym przełomem, i tu bym na własny użytek lokował cezurę współczesności, było wejście Polski do Unii Europejskiej. Oznaczało to początek dużych dotacji na budynki publiczne. Nagle okazało się, że każde większe miasto w Polsce ma nową filharmonię, teatr, a przynajmniej dom kultury. Te budynki powstawały w otwartych konkursach i stawały się ikonami architektury wpisującymi się w krajobraz miasta. Zaczęto o nich mówić, jak np. o Filharmonii w Szczecinie – ludzie dyskutowali, czy to jest fajny budynek, czy go lubią, czy nie. To dobrze, chociaż jako osoba zawodowo zajmująca się architekturą staram się patrzeć na budynek szerzej i zastanawiać, jak funkcjonuje, czy jest dobrze zaprojektowany, z jakich materiałów, czy dopełnia tkankę miasta bądź wsi, w której powstał. Sama estetyka jest sprawą indywidualną.

Czy istnieje współcześnie coś takiego jak architektura polska, czy trzeba mówić o niej i myśleć w europejskiej skali?

– W tym momencie dziejowym cały świat ma problem z tożsamością. Dlatego ważne jest pytanie, czy istnieje coś takiego jak architektura polska, architektura narodowa. W Polsce pytanie o architekturę narodową jest dotkliwe – zważywszy na naszą burzliwą historię i permanentne przerywanie ciągłości rozwoju. To historia walki o tożsamość, chronienie się przed wpływami zaborców, kolejnych okupantów, narzucanych zewnętrznie stylów. Przez lata Polska w architekturze kojarzyła się przede

eprasa.pl 7eed6e752a

wszystkim źle – z pseudodworkami na przedmieściach, z chaosem przestrzennym. Na szczęście to się zmienia i mamy świetnych architektów, którzy piszą wspaniałą historię architektury.

Od lat 80. Fundacja im. Miesa van der Rohe przyznaje nagrodę dla najlepszych budynków w Europie.

– Polska uczestniczy w tym konkursie od lat 90. i świetnie sobie radzi. To pokazuje jej przynależność do architektury europejskiej. Ciekawe jest prześledzenie tego, co do tej nagrody zgłaszaliśmy. Wyraźnie widoczny jest moment pojawienia się wielkich budynków kulturalnych, potem zaczęły być widoczne wille jednorodzinne – znak, że społeczeństwo zaczęło się bogacić i coraz więcej osób stać na domy za miliony. Teraz to się zmienia, w dobie kryzysu klimatycznego zaczynamy zadawać sobie pytania, tak jak jury konkursu, czy warto dla trzyosobowej rodziny budować dom o powierzchni 1000 m kw. i go ogrzewać. Na przykładzie tej nagrody można powiedzieć, że nie ma czegoś takiego jak styl polski czy francuski, są po prostu dobre przykłady architektury współczesnej. Bardziej widoczne są cechy architektury wynikające z lokalnej tradycji, takiej jak styl zakopiański, lub klimatu. Jestem obecnie na Teneryfie i widzę, że tu budownictwo jest inne, bo domy są z występującej tu skały wulkanicznej, a ich kształt dostosowany jest do wysokich temperatur.

Czym się cechują obiekty architektoniczne powstające w Polsce? Co jest modne?

– W Polsce modne jest zazwyczaj to, co się pojawia w magazynach z Zachodu. Ale nie tylko moda się liczy. Architektura jest też zawsze związana z polityką i ekonomią. Po krachu na giełdach w 2008 r. skończyła się era bardzo znanych architektów, budujących ogromne wieżowce i muzea; tzw. stararchitekci ze swoimi olbrzymimi budowlami powoli byli wypierani z dyskusji o współczesnej architekturze. Mamy mniej pieniędzy – to pierwszy czynnik, który wpływa na architekturę. Drugim jest kryzys klimatyczny. Dodatkowo w Polsce kształtuje ją kryzys mieszkaniowy. Jest nas coraz więcej, a przyjeżdżają obecnie uchodźcy z Ukrainy. W samej Warszawie przebywa ich ponad 300 tys. Musimy im zapewnić godne warunki mieszkania. W tym celu adaptowanych jest wiele nieużywanych przez lata budynków. Ciekawe jest myślenie o tych obiektach – to krótkotrwała architektura, która przetrwa kilka, maksymalnie kilkanaście lat.

Zauważamy też inne grupy społeczne, zaczynamy myśleć na poważnie o wykluczonych, np. o osobach w kryzysie bezdomności. Kilka lat temu wszystkie nagrody w architekturze zdobył Dom dla Bezdomnych w Jankowicach projektu XYstudio. Takie realizacje udowadniają, że bezdomni nie muszą być kwaterowani w blaszanych hangarach, tylko można robić dla nich architekturę na najwyższym poziomie, na jaką zasługuje każdy z nas. To najważniejsze trendy.

Co z używanymi materiałami?

– Ich dobór jest bardzo istotny. Zadajemy sobie pytanie, czy ten materiał jest ekologiczny. Inwestorzy również wiedzą, że potrzeby użytkowników się zmieniły. Coraz bardziej istotna jest certyfikacja budynków i sprawdzanie, czy zbudowane zostały z ekologicznych materiałów, jaki jest łańcuch dostaw tych materiałów, jaki ślad węglowy budynku, zarówno podczas jego powstawania, jak i użytkowania. To już nie jest architektura, która tylko wygląda – stała się ona dużo bardziej racjonalna. Jeśli chodzi o materiały, to innym pytaniem jest, jak budynek wpływa na ludzi. 90% naszego czasu spędzamy we wnętrzach. Dopiero od niedawna zaczynamy się zastanawiać, czy miejsce, w którym mieszkamy lub pracujemy, jest dla nas zdrowe.

To znaczy?

– Wszystkie meble, farby i materiały wydzielają związki lotne, którymi oddychamy i które wpływają na nasze zdrowie, a to przekłada się na choroby, takie jak astma czy alergia. Poza tym mówimy, że żyjemy w epoce antropocenu, ale w rozważaniach musimy iść dalej – uczyć się od przyrody i porzucić myślenie antropocentryczne na rzecz biocentrycznej edukacji, która uczy nas czerpania wiedzy z samej natury. Człowiek jest częścią natury i powinien żyć z nią w symbiozie. Zastanawiamy się nad tym, w jaki sposób płyną rzeki, jak funkcjonują zwierzęta wokół nas. Był taki popularny trend, że gdy się budowało wieżowiec czy obiekt komercyjny, to inwestor się chwalił, że jest eko, bo ma na dachu ule. Ale nie brał pod uwagę tego, że takie adaptowanie pszczół do miasta na siłę jest bardzo złe, bo centra miast nie są dla nich naturalnym miejscem, więc żeby mogły przetrwać, trzeba wprowadzać i rozmnażać agresywne gatunki, które nadmiernie się rozrastają i powodują zmniejszenie populacji łagodniejszych owadów. To jeden z wielu przykładów naszej niewiedzy.

Typowym przykładem ekologicznej bezmyślności jest w Polsce betonoza i ograniczanie zieleni miejskiej.

– Wylane betonem rynki i place powodują, że miasto się ogrzewa. Ten trend wynikał z pragmatycznych względów – to ekonomicznie najłatwiejsze rozwiązanie. Kiedy burmistrz robi konkurs na plac z zielenią, musi też o nią dbać. Na to potrzebne są pieniądze. Lepiej zalać wszystko betonem i mieć spokój. Tylko że przez takie działania stworzyliśmy piekarniki – miasta, w których nie ma cienia. W konsekwencji możemy zobaczyć coraz wyższe statystyki umieralności latem, szczególnie wśród osób starszych, bardziej wrażliwych na wysokie temperatury. A przecież nasze miasta potrzebują więcej zieleni, aby nas chronić nie tylko przed upałami, ale i przed

Rola architekta się zmienia. Oprócz tego, że projektuje on budynki, ma coraz większą świadomość dostosowywania projektów do wyzwań współczesności.

eprasa.pl 7eed6e752a

suszą. Nie traktujemy przestrzeni jako dobra wspólnego.

Czy dla firm ekologia nie jest jedynie parawanem, greenwashingiem, a ekowieżowce nie zasłaniają po prostu szkód wyrządzanych przez korporacje?

– Oczywiście, że są to narzędzia PR-owe, fajnie mieć modny certyfikat, ale nie krytykuję tego rodzaju działań. Niezależnie od motywacji prowadzi nas to do pogłębienia świadomości i większego przywiązania do ekologii. Jeszcze kilka lat temu, gdy spytano architekta, czy jego budynek jest ekologiczny, odpowiadał, że oczywiście, bo ma trawę na dachu. Nie na tym polega ekologia. Teraz rola architekta bardzo się zmienia i oprócz tego, że projektuje on budynki, ma coraz większą świadomość dostosowywania projektów do wyzwań współczesności, a jedno z najważniejszych to kryzys klimatyczny. Nie jesteśmy w stanie powstrzymać degradacji planety, ale możemy ten proces spowolnić. Zmiana roli architekta polega również na tym, że staje się on mediatorem między różnymi grupami. Świetnie o tym mówi architekt Szymon Wojciechowski, że budownictwo i wynikające z tego kształtowanie przestrzeni jest grą między różnymi graczami: inwestorem, użytkownikiem, władzą (w tym konserwatorem), społeczeństwem i architektem. To niesprawiedliwa wieloosobowa gra o sumie zmiennej, o wypłacie w różnych jednostkach użyteczności, o nieskończonym czasie rozgrywki z elementami metagry, a więc gry kształtującej reguły gier w przyszłości. Architekt jest jednym z jej uczestników, ważnym wprawdzie, ale nie wszechwładnym demiurgiem. Zadaniem architekta jest łączenie różnych grup i sprawne poruszanie się między nimi. O tym, czy inwestycja jest udana, decyduje to, jak wiele grup udało się zadowolić.

Co w architekturze zmieniła pandemia?

Filharmonia w Szczecinie na pierwszy rzut oka wyróżnia się od wszystkiego, co stoi wokół, a jednocześnie dopełnia zastany krajobraz.

– Zwiększyła świadomość tego, gdzie i jak mieszkamy. Na dłuższy czas każdy musiał zamknąć się w domu, a średnia przestrzeń w dużych miastach dla czteroosobowej rodziny wynosi 50 m kw. Rodzice chcą pracować, dzieci się uczyć, fajnie byłoby mieć balkon, przestrzeń dla każdego. Widzimy, że elementy naszego mieszkania i braki, z którymi dotychczas żyliśmy, stają się nieznośne. Chcemy mieć lepszą przestrzeń do życia. Mieszkania zostały lepiej dostosowane do naszych potrzeb, ludzie zamieniają mieszkania w mieście na domy na wsi, co ułatwia praca zdalna. Zwracamy większą uwagę na przedmioty, którymi się otaczamy, żeby były jak najmniej szkodliwe dla zdrowia i dla planety. Boimy się także powtórki z rozrywki – kto wie, co przyniosą kolejne lata. To było również spowolnienie dla całego świata, nie tylko architektury. Wszyscy myśleli, że to będzie lekcja dla nas, ale niestety staramy się „nadrobić" stracony czas i wracamy do tego, co było. Produkcja podskoczyła, czyli wracamy do punktu wyjścia i wygrywa biznes.

Co z krytyką architektury? Czy jest ona obecnie ważna?

– Zastanawiam się, czy jest jeszcze taki zawód jak krytyk architektury. Jeden z angielskich krytyków literatury powiedział, że każdy pisarz chciałby przeczytać recenzję swojej książki, ale tylko taką, w której jest napisane, że to najwybitniejsza książka na świecie. Tak samo jest z architektami. Każdy chce usłyszeć, że zaprojektował najlepszy budynek na świecie. Dodatkowo logiką pism o architekturze i dizajnie rządzi liczba wyświetleń, lajków, kliknięć. Trudno w takim otoczeniu uprawiać rzetelną krytykę. Jednocześnie z architekturą jest trochę inaczej niż z pozostałymi dziedzinami sztuki. Jak pisał włoski architekt Renzo Piano, gdy czytamy jakąś niefajną książkę, to możemy ją odłożyć, jak słuchamy złej muzyki – możemy ją wyłączyć, a widoku zza okna nie da

Architekci ciągle nie funkcjonują w debacie publicznej, choć każdy z nas codziennie funkcjonuje w architekturze.

FOT. BARTEK BARCZYK, DOMENA PUBLICZNA/WIKIPEDIA

eprasa.pl 7eed6e752a

się wymazać. Architektury nie wyłączysz jak muzyki. Ona wpływa na to, jak funkcjonujemy w miastach, w domach. Każdy z nas jest w stanie wymienić 10 aktorów czy 10 muzyków. A 10 architektów? Z tym będzie trudniej, bo architekci ciągle nie funkcjonują w debacie publicznej, choć każdy z nas codziennie funkcjonuje w architekturze. Żeby to zmienić, potrzebna jest rzetelna praca krytyka, ale też mediów, które będą widzieć wartość w rozmowie o architekturze.

Stwórzmy listę twoich ulubionych współczesnych budynków. Jaką architekturę warto w Polsce oglądać?

– Na pewno będzie to Filharmonia w Szczecinie. Aczkolwiek to budynek zrobiony przez hiszpańskich architektów. Miasto o trudnej tożsamości i przeszłości dostało obiekt na pierwszy rzut oka odróżniający się od wszystkiego, co stoi wokół, który jednocześnie dopełnia zastany krajobraz. To był ważny impuls dla rozwoju Szczecina. Drugi – Muzeum Katyńskie w Warszawie. Ten obiekt wyróżnia się na tle innych obiektów muzealnych opowiadających historię Polski. Tu zwiedzający decyduje, jak daleko chce wejść w historię Katynia. Jest tam kilka świetnych rozwiązań wywołujących emocje i nawiązujących do opowiadanej historii. Trzeci – wspomniany już Dom dla Bezdomnych XYstudio, który przywraca godność grupie wykluczonych. Mam też ulubione budynki komercyjne – oba w Warszawie.

Mamy mniej pieniędzy – to pierwszy czynnik, który wpływa na architekturę. Drugim jest kryzys klimatyczny.

Pierwszy to Elektrownia Powiśle, obiekt, który powstawał kilkadziesiąt lat – w czasie jego budowy trzykrotnie zmienił się konserwator zabytków. Architektom udało się połączyć szacunek dla historii elektrowni oraz jej współczesną interpretację. Drugim jest jeden z najbardziej aroganckich budynków w stolicy, czyli Vitkac – mekka luksusowych marek, bardzo kontrowersyjny. Ale jaką ten budynek ma fantastyczną jakość! Podoba mi się, jak wpisuje się w kwartał, w którym został zbudowany.

Coś jeszcze poza Warszawą?

– Jest obiekt najbardziej charakterystyczny dla nowych trendów – projekt Marleny Wolnik, czyli Centrum Aktywności Lokalnej w Rybniku. Rybnik ma 27 dzielnic, każda jest inna, ze swoimi problemami i nie lubią się specjalnie. Wiele dzielnic nie ma swoich centrów, miejsc spotkań. Na ten brak odpowiada CAL, które stało się impulsem do integracji mieszkańców, miejscem spotkań, placem zabaw dla dzieci. Ludzie zaczęli wokół niego się gromadzić. Podobne budynki będą powstawać w innych dzielnicach miasta. Pokazuje to, jak obiekt za nieco ponad milion złotych może się stać jednym z najważniejszych projektów w kraju.

Katarzyna Niedurny

eprasa.pl 7eed6e752a

Jedzenie, które wzmacnia

Jak poprawić stan naszej flory jelitowej

Karolina i Maciej Szaciłło

Jak poprawić stan naszej flory jelitowej? Wzbogać swoją dietę w kiszonki i produkty naturalnie fermentowane, jak kefiry, maślanki, miso, tempeh, chleb na naturalnym zakwasie (bez dodatku drożdży). Spożywaj więcej błonnika, zarówno rozpuszczalnego, jak i nierozpuszczalnego. Mnóstwo błonnika zawierają warzywa, owoce, nasiona, orzechy i rośliny strączkowe. Popraw trawienie, a tym samym wchłanianie składników odżywczych. Dbaj o odpowiednią ilość snu i uregulowanie tzw. rytmu dobowego, czyli m.in. stałe godziny jedzenia posiłków. Kontakt z ziemią, czyli „naturalne uziemienie" i ubrudzenie – nie od dziś wiadomo, że dzieci, które spędzają mnóstwo czasu na świeżym powietrzu, w ogrodzie i w lesie, mają mocniejszy układ odpornościowy. Zawdzięczają go m.in. kontaktowi z ziemią. Pomaga on naszemu układowi odpornościowemu „nauczyć się" mikroorganizmów znajdujących się w środowisku naturalnym. Przebywanie na świeżym powietrzu lub przynajmniej wietrzenie pomieszczeń oraz niekorzystanie z klimatyzacji – okazuje się, że otwarcie okien i umożliwienie przepływu powietrza może poprawić różnorodność oraz prozdrowotne korzyści mikrobów w naszym domu.

Negatywnie na stan naszej flory jelitowej wpływa również przejadanie się, dieta bogata w produkty prozapalne oraz środki przeczyszczające. Kiedy myślę o florze jelitowej, od razu przychodzą mi do głowy kiszonki i błonnik. Jak powinniśmy ją wspierać? Właściwe nawyki żywieniowe oraz dieta bogata w naturalne składniki to najlepsze sposoby wspierania mikroflory jelit, a dzięki temu odporności organizmu. Dlatego w diecie należy je uwzględnić. Przedstawiam rozbudowaną listę produktów, które zaliczam do kategorii jedzenia wzmacniającego odporność:

- **Błonnik pokarmowy** (ulubione pożywienie dobrych bakterii, szybko ulega fermentacji). Zwłaszcza inulina oraz oligosacharydy, które zaliczane są do prebiotyków, wykazują korzystny wpływ na florę bakteryjną. Błonnik znajduje się w warzywach, owocach, produktach zbożowych, orzechach i roślinach strączkowych.

Czysta piętnastka to warzywa i owoce, które praktycznie nie wchłaniają pestycydów, np. **kukurydza, cebula, bakłażan, szparagi, brokuł, kapusta, kalafior, grzyby.**

- **Tłuszcze** o działaniu przeciwzapalnym, takie jak oliwa z oliwek stosowana na ciepło i olej rzepakowy (dietetyka dopuszcza stosowanie go do krótkiego podsmażania), olej lniany i olej konopny stosowane na zimno, np. do sałatek.
- **Owoce i warzywa** o niskim indeksie glikemicznym, zwłaszcza owoce leśne.
- **Orzechy,** zwłaszcza włoskie bogate w kwasy omega-3, w ilości 30 g (garść) dziennie, np. jako przekąska lub dodatek do owsianki.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7eed6e752a

• **Chude mięso i jajka** dające uczucie sytości, podawane zawsze z zielonymi warzywami dla lepszego ich trawienia.

• **Nasiona chia i nasiona konopne** (wysoka zawartość białka, błonnika i kwasów omega-3) dodawane np. do owsianki lub jogurtu, ale koniecznie w postaci świeżo mielonej, abyśmy mogli skorzystać ze wszystkich cennych składników odżywczych!

• **Cynamon** (działanie przeciwzapalne, antybakteryjne) dodawany do owsianki, koktajlu, jogurtu, a nawet lekkiej kawy czy deserów.

• **Owoce jagodowe** (bogate w przeciwutleniacze, zawierają najmniej cukru spośród wszystkich owoców, wybiórczo hamują rozwój agresywnych patogenów, takich jak salmonella, gronkowiec i listeria); szczególnie borówki, których skórki mają działanie prebiotyczne, maliny z dużą zawartością błonnika i kwasu elagowego.

• **Jabłka** (duże ilości błonnika oraz przeciwutleniaczy: flawonoidów, karotenoidów, polifenoli, kwercetyny, katechin i kwasu chlorogenowego oraz witaminy C).

• **Kiwi** (dwie sztuki dziennie znacząco poprawiają pracę jelit).

• **Imbir** (działanie przeciwzapalne, pomaga we wzdęciach i odbijaniu oraz niestrawności i bólach brzucha) dodawany do potraw na ciepło lub na zimno oraz wody.

• **Awokado** (działanie przeciwzapalne) podawane jako pasta, dodatek do sałatki lub w koktajlu. Wybierajmy to ze sprawiedliwego handlu.

• **Komosa ryżowa** (duża zawartość błonnika, niski indeks glikemiczny, jest to zboże bezglutenowe) jako dodatek zbożowy do obiadu, do sałatek również na zimno.

• **Pieprz kajeński** (źródło przeciwzapalnej kapsaicyny, zmniejszenie intensywności bólu oraz występowania wzdęć).

• **Białko serwatkowe** nie zawiera kazeiny i laktozy, daje duże uczucie sytości, bogate w przeciwzapalne glikomakropeptydy i betaglukany, które usprawniają działanie bariery jelitowej. Białko serwatkowe można również sfermentować i wtedy staje się probiotykiem. Z białkiem można przygotować koktajl na bazie owoców jagodowych.

• **Warzywa i rośliny strączkowe** bogate w prebiotyki i o działaniu przeciwzapalnym: soczewica, ciecierzyca, fasola, wiśnie, owoce jagodowe, twarde, lekko zielone banany, warzywa krzyżowe (brokuły, kapusta pak choi, brukselka, musztardowiec, jarmuż). Szczególnie szparagi, topinambur i cykoria bogate w inulinę.

• **Najlepsza inulina** (długołańcuchowa, VLCI) występuje w karczochach, dlatego warzywo to ma szczególnie pozytywny wpływ na florę jelitową. W miarę możliwości połowę warzyw spożywanych w ciągu dnia powinny stanowić warzywa w postaci surowej.

• **Gorzka czekolada** (zawiera więcej polifenoli, flawonoidów i przeciwutleniaczy niż wiele innych produktów zaliczanych do superżywności, ma działanie prebiotyczne) spożywana w ilości dwóch kostek trzy-cztery razy w tygodniu.

• **Siemię lniane**, skarbnica błonnika i kwasów omega-3.

• **Pełne ziarna zbóż** bez glutenu zwłaszcza owies, ale nie w dużych ilościach (owies i jego otręby są szczególnie bogate w białko i błonnik pokarmowy), np. w postaci owsianki.

• **Migdały ze skórkami** (działanie prebiotyczne) jako przekąska lub dodatek do owsianki.

• **Umiarkowane spożycie mięsa** dobrej jakości (ekologiczne) oraz tłustych ryb morskich bogatych w kwasy omega-3 (śledź, makrela, dziki, niehodowlany łosoś, tuńczyk, halibut). Szczególnie warto wprowadzić do diety łososia atlantyckiego z dzikiej hodowli, który jest źródłem bioaktywnych peptydów.

• **Okazjonalne spożywanie wytrawnego wina czerwonego** (duża zawartość polifenoli) najlepiej do posiłku.

• **Kiszonki**: kapusta kiszona, ogórki kiszone, kiszone pomidory, kiszone rzodkiewki, kimchi, natto, pasta miso oraz tempeh z fermentowanej soi (bogate w probiotyki, błonnik pokarmowy i fitozwiązki o działaniu przeciwzapalnym). Kiszonki warto przygotowywać samemu, ponieważ w sklepach występują kwaszone produkty, czyli potraktowane octem,

Owoce jagodowe zawierają najmniej cukru spośród wszystkich owoców, wybiórczo hamują rozwój agresywnych patogenów, jak salmonella i gronkowiec.

eprasa.pl 7eed6e752a

cukrem i wodą oraz podgrzane do wysokiej temperatury.

• **Fermentowane produkty nabiałowe**: jogurt, kefir, maślanka (produkt musi zawierać co najmniej 1 milion jednostek tworzących kolonię na gram), ale nie więcej niż dwie szklanki dziennie.

Kiszonki warto robić samemu, w sklepach występują kwaszone produkty: potraktowane octem, cukrem i wodą oraz podgrzane do wysokiej temperatury.

• **Kurkuma** (zawiera kurkuminę, która redukuje stany zapalne w jelitach, poprawia funkcjonowanie bariery jelitowej oraz zmniejsza przenikanie szkodliwych produktów ubocznych wytwarzanych przez bakterie z jelit do krwiobiegu – endotoksemię) do potraw zarówno na ciepło, jak i na zimno w ilości łyżeczki dziennie.

• **Ocet winny** (ma działanie probiotyczne) do sosu do sałatek.

• **Algi morskie** (bogate w przeciwzapalne kwasy omega-3) wakame, kombu, nori namoczone lub sproszkowane i dodawane do potraw w ilości 5 g dziennie.

• **Unikanie sody oczyszczonej** (może alkalizować kwas żołądkowy, co zmniejsza zdolność trawienia).

• **Witamina D3** pobudza wchłanianie wapnia i fosforu, zapobiega także nadciśnieniu, chorobom serca, alergiom, anemii i cukrzycy, a przy tym wzmacnia nasz układ odpornościowy. Dzięki tej witaminie organizm potrafi walczyć z wirusami i bakteriami. Wytwarzana w skórze pod wpływem promieni słonecznych, ale zawiera ją również mleko i jego przetwory, produkty wzbogacane, jaja, a w okresie jesienno-zimowym suplementacja. (…)

•

Mamy świadomość, że w Polsce ekologiczna żywność nadal jest zbyt droga i nie jest ogólnie dostępna (szczególnie w mniejszych miejscowościach). Kupując warzywa i owoce, kierujemy się więc zdrowym rozsądkiem. Czy słyszałeś o tzw. czystej piętnastce i parszywej dwunastce? Ta pierwsza to warzywa i owoce, które praktycznie nie wchłaniają pestycydów.

Do czystej piętnastki należą: awokado, kukurydza, ananas, cebula, papaja, zielony groszek, bakłażan, szparagi, brokuł, kapusta, kiwi, kalafior, grzyby, melon miodowy, melon kantalupa.

Z kolei parszywa dwunastka to: warzywa i owoce, które warto kupować z upraw ekologicznych lub ze sprawdzonego źródła (własny ogródek, zaprzyjaźniony rolnik itp.). Dlaczego? Gromadzą one w sobie największą ilość toksycznych związków. Na tej parszywej liście znajdują się: truskawki, szpinak, jarmuż, nektarynki, jabłka, wiśnie, winogrona, brzoskwinie, gruszki, papryka, seler naciowy, pomidory. (…)

•

Napoje mocy

Woda – czyli nasz pierwszy i absolutnie najważniejszy „napój mocy". (…) Odpowiednie nawodnienie jest kluczowe dla kondycji naszego organizmu, również jego odporności. Tutaj jednak informacja, która być może części osób wyda się zaskakująca… Optymalna dla zdrowia nie będzie zimna woda (co gorsza, z lodówki) i z plastikowej butelki! Przez cały rok możesz natomiast ze sobą nosić termos z ciepłą (nie wrzącą, aby nie stracić zbyt dużo witaminy C) wodą i kilkoma plasterkami imbiru (oraz niewielką ilością soku z dojrzałej cytryny, jeśli nie masz alergii na cytrusy oraz problemów żołądkowych, gdyż cytryna może podrażniać układ pokarmowy). Imbir według najstarszej nauki o zdrowiu jest niezrównany we wspomaganiu procesu usuwania toksyn. Ma również silne właściwości przeciwzapalne. Wspiera nasze trawienie, ale również odporność. (…) Ciepła woda z cytryną wypita na czczo pobudza jelita, oczyszcza organizm i pomaga nam się wypróżnić. Cytryna jest również produktem alkalizującym. Wodę możesz małymi łyczkami popijać przez cały dzień. Przede wszystkim, jak podkreśla ajurweda, od wody powinieneś zaczynać każdy dzień. Według najstarszej nauki o zdrowiu to właśnie czas po przebudzeniu jest najlepszy na nawodnienie organizmu. (…)

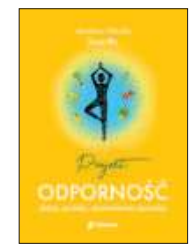

Fragmenty książki Karoliny i Macieja Szaciłłów *Projekt odporność. Dieta, porady, sprawdzone sposoby*, Wydawnictwo Słowne, Warszawa 2021

Kasia prosi o życie dla córeczki

Poznaj dwa serca bijące ten sam rytm. Klacz matkę i jej małą córeczkę Kluskę. Dwa serca, czekające na śmierć…

Kasia to klacz, która wcale nie ma wyjątkowej historii. Choć nieco inną, niż konie pracujące w ośrodku nad morzem. Od zawsze była niepokorna. To właśnie dlatego dzisiaj o niej czytasz. Miała służyć swemu panu, pracując w sezonie z dziećmi. Na nic jednak wymuszanie posłuszeństwa i bat. Kasia nie dała się pokochać dzieciom. Stawiała się i zrywała, ilekroć gospodarz przyprowadzał kolejnych turystów. Szybko więc znalazło się dla niej nowe zajęcie. I tak, przez te wszystkie lata Kasia rodziła źrebaki. Ograbiona z wolności, każdą garstkę jedzenia i odrobinę opieki musiała opłacić swoimi dziećmi. Tak minęła jej większość życia. Ale nadchodzący sezon zmusił właściciela do zmian. Za moment nadejdzie lato, turyści licznie zjadą się nad morze, w poszukiwaniu wakacyjnych atrakcji. Czas rozwinąć interes, wprowadzić kosztowne udogodnienia. Więc postanowiono. Kasia wraz z córką zostaną sprzedane. Przecież i tak do niczego się nie nadają, brak im posłuszeństwa i obycia z ludźmi. Po Mamę i jej dziecko przyjechał handlarz. On jeden nie wybrzydzał, nie marudził, wziął obie, bo razem było tanio.

Jeszcze niedawno, mała Kluseczka była dla Kasi wybawieniem. Tylko dlatego gospodarz wciąż trzymał ją u siebie. Teraz, ona będzie musiała poprowadzić córkę na rzeź. Mama i maluch czekają na swój koniec, a nam brakuje słów, by opisać przerażenie w ich oczach. Kluseczka panicznie boi się ludzi. Nie zna słońca, nikt nie pokazał jej rozgwieżdżonego nieba, nie poczuła nigdy wiatru w swej grzywie i nigdy ma nie dowiedzieć się, jak soczysta może być trawa. Wtulona w swoją mamę, bacznie śledzi każdy ruch dookoła. A Kasia? Głośno prosi, by nie podchodzić. By nie ruszać jej ostatniego dziecka. By dać im żyć…

Kasia i Kluseczka nie mają wiele czasu. Pomoc musi nadejść dla nich szybko. Handlarz zgodził się poczekać do 20 maja. Tyle mamy na zebranie 8600 zł. Później na nic będzie rozpaczliwe wołanie Kasi i strach w oczach małej Kluseczki. One wpadły już w sidła śmiercionośnej pułapki. Tylko razem możemy je stamtąd wydostać. Dlatego po raz kolejny prosimy Was o pomoc. Ocalmy razem mamę i dziecko.

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonaj darowizny z tytułem KASIA na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Możesz też pomóc wysyłając SMS o treści KASIA na numer 7412 (koszt SMS 4,92 zł z VAT), 7910 (koszt SMS 11,07 zł z VAT) lub 91950 (koszt SMS 23,37 zł z VAT) i kupić tapetę.

ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze
Regulamin: https://centaurus.org.pl/rklm

eprasa.pl 7eed6e752a

Wypychanie Przydacza

Ottawa i Rzym to placówki „krajoznawcze". Praga i Pekin z kolei to inna liga. Szczególnie Pekin, który ma i powinien mieć rangę placówki dwustronnej, pod względem skali trudności i wagi zadań porównywalnej z Moskwą. Do tych czterech stolic był i nadal jest przymierzany wiceminister Marcin Przydacz.

Skąd ten nawał propozycji? W MSZ Przydacz odpowiada za stosunki dwustronne z USA i politykę bezpieczeństwa. Nie ma obecnie „cięższej zbroi" przy Szucha. Jest człowiekiem prezydenta, z jego kancelarii awansował do MSZ. Politycznie jest jednym z ludzi z kręgu Klubu Jagiellońskiego, którzy zajmują ważne stanowiska w dyplomacji, choć on sam w MSZ nie pracował wcześniej nawet przez minutę. Takie czasy… A o co chodzi „wypychaczom Przydacza" i dlaczego, nawet jeśli odniosą sukces, niewiele wskórają? Po prostu mniej zdolni, ale bardziej ambitni koledzy wiceministrowie chętnie by się Przydacza pozbyli i podzielili jego wpływami oraz naturalnymi kontaktami z USA.

Tajemnicą poliszynela jest, że resortowi wiceministrowie, niewiele mając do powiedzenia w sprawie dyplomacji, są aktywni w inny sposób. Opowiadają o tym na Szucha (i nie tylko tam) – vel Sęk pisze donosy na Zbigniewa Raua na Nowogrodzką, jeszcze aktywniejszy w pisaniu na Raua i Przydacza, ale do premiera, jest Paweł Jabłoński. Do Amerykanów chcieliby donosić wszyscy, ale oni wiedzą, kogo czytać.

Otóż Amerykanie nie chcą osłabienia pozycji prezydenta w MSZ i ogólnie na polskiej scenie politycznej. Zwłaszcza że na razie ich nie zawodzi. Gdyby więc Przydacz dał się nawet wypchnąć z centrali, Amerykanie do niekorzystnej dla nich zmiany warty w MSZ nie dopuszczą. Tym bardziej że nie potrzebują w kontaktach z PiS i rządem żadnych pośredników. Bo z jednej strony mają Dudę, a z drugiej – MON i Mariusza Błaszczaka.

A MSZ? Przy Szucha panuje opinia, że sytuacja kadrowa na wysokich szczeblach jest tu w miarę stabilna. Świadczyć ma o tym ostatnia wizyta prezesa u Raua. Wzmocniła ona ministra i była skuteczną odpowiedzią na knucia vel Sęka i Jabłońskiego. Ta wizyta ma też związek z kompetencjami ministra spraw zagranicznych. Są one zasadnicze, jeśli chodzi o procedurę mianowania ambasadorów. To w jego gestii jest proponowanie kandydatów, na których później muszą się zgodzić premier i prezydent. Cóż, wybory będą najpóźniej za kilkanaście miesięcy. Może więc chodzi o ewakuację części działaczy na placówki? A bez decyzji Raua sprawa nie ruszy… Tymczasem do obsadzenia są kluczowe ambasady: Berlin, Kijów, Pekin, New Delhi. Są również inne, te bardziej „krajoznawcze" placówki w przyjemnych miejscach.

W naszych rozważaniach o wiceministrach w MSZ nie poświęciliśmy dotychczas ani słowa czwartemu, czyli Pawłowi Wawrzykowi. Bo też na Szucha, w obu kancelariach i w parlamencie uważa się go za figurę niewiele znaczącą. Sprawy ONZ „zabrał" mu prezydent, mianując ambasadora ze swojej kancelarii, OBWE zajmuje się minister Rau jako jej przewodniczący. Nie ufa mu ani Nowogrodzka, ani kancelaria premiera, o Kancelarii Prezydenta nie wspominamy. I wciąż wszyscy pamiętają, jak podczas wywiadu na żywo próbował, niezdarnie, usunąć swoje gacie z fotela.

Ech, kto by brał na poważnie gaciowego?

Attaché

Indie są jednym z krajów dotkniętych kryzysem wodnym. Ahmadabad – po wodę pitną mieszkańcy slamsów przychodzą do świątyni.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 7eed6e752a

JOLKA

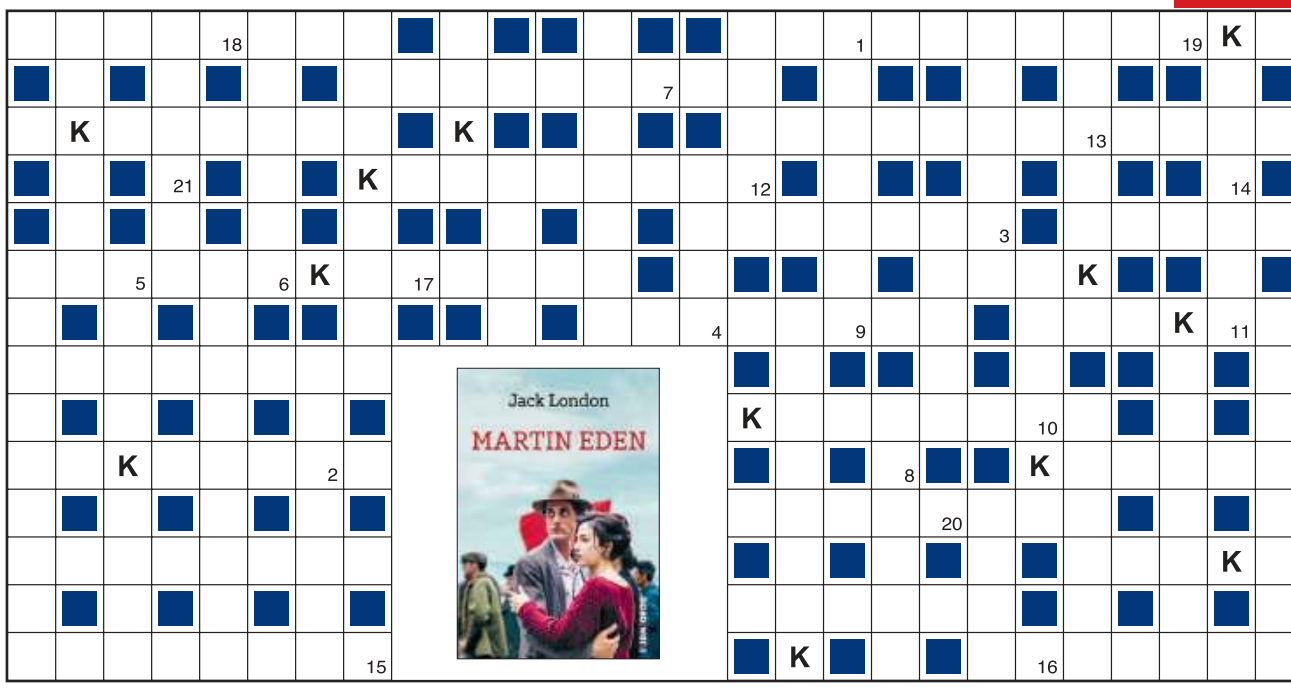

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 21 utworzą końcowe hasło.

- ma klawisze, guziki i miech
- imię króla Hiszpanii z dynastii sabaudzkiej
- wyraz z przestawionych liter lub sylab
- …wodna obejmuje kurki, zawory, przyłącza
- nad tą rzeką Piza
- Bazakbal z „Pożegnania jesieni”
- brak miejsca lub umysłowa
- oponent republikanina w USA
- co ogonem nakrył, to zginęło
- akcydens – ...ulotny
- szara rządzi zakulisowo
- od jej cesarza rastafarianizm
- „…nikomachejska” Arystotelesa
- smak piołunu albo porażki
- duży łyk wody lub powietrza
- terapeutka wprowadzająca w trans
- nieprzetłumaczalny dosłownie
- niejedna wbijana w akupunkturze
- forma rozliczeń bezgotówkowych
- i bycie, i podmiot bycia
- 1000 m
- funkcja trygonometryczna o symbolu ctg
- żona Sokratesa
- Diana była ...Walii
- miejsce pracy kowala
- katolicy świeccy
- zabrała głos
- żyłka liścia
- upiększenie, dekoracja
- hektary obsadzone truskawkami, bawełną
- polskie wydało Kopernika
- wątróbki, płucka, ozory itd.
- składane np. za współpracę
- antenat, praszczur
- tytuł lokalnych władców w Indiach
- specjał, rzadkość
- odmiana śliwy o dużych, kulistych owocach
- stary, walący się budynek
- miasto-państwo w Azji Południowo-Wschodniej
- taryfiarz
- opały, kabała
- miejsce mąk Syzyfa i Tantala
- reklamowa w skrzynce na listy
- uczynienie niewrażliwym na coś
- dawniej wyżywienie
- retencyjny – sztuczne jezioro zaporowe
- darów lub pieniędzy dla potrzebujących

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1065”. Do rozlosowania książki „Martin Eden” ufundowane przez Wydawnictwo Siedmioróg. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 22 maja 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1062” z nr. 18: *Ludzie mówią, co chcą.*
Nagrody otrzymują: Józef Maskiewicz z Rybnika, Eugenia Barbara Rosińska z Krakowa, Elżbieta Wojdyło z Wilanowa.

eprasa.pl 7eed6e752a

PENETRACJE

WITOLD BEREŚ,
REDAKTOR NACZELNY

W Krakowie doskonałych scen jest bez liku. Ja ostatnio pasjami chadzam do STU. To jedna z kilkunastu prawdziwych pereł kulturalnej Polski. Krakus może być dumny z tego, że takich miejsc w Krakowie jest więcej, i cieszyć się trzeba, że władze miasta na kulturę wydają 4% rocznego budżetu, czyli więcej niż Polska na zbrojenia. A sam Jasiński od dłuższego czasu konsekwentnie idzie drogą artysty, który znajduje na scenie wytchnienie od paskudnego świata, ale przenigdy nie zapomina o tym, że świat Zła istnieje. Więc nienachalnie kłuje nas, by przypomnieć, po której stronie mamy być.

MARTINE BULARD,
FRANCUSKA DZIENNIKARKA

Kilku chińskich intelektualistów reprezentujących liberalny nurt, który w ostatnich latach był zepchnięty na obrzeża życia publicznego, zabiera teraz głos. Sun Liping, były profesor na uniwersytecie Tsinghua, znany ze swojej szczerości, uważa, że Chiny ryzykują marginalizację w obliczu „globalnego sojuszu antyrosyjskiego", który ma inne cele niż Rosja, reprezentująca moce gospodarcze zaledwie równe mocom prowincji Guangdong. Z kolei, odzwierciedlając opinię części środowiska biznesowego, które już od sześciu lat negatywnie zapatruje się na konfrontację ze Stanami Zjednoczonymi, Hu Wei wzywa Chiny do „wyrzeczenia się neutralności i wyboru pozycji dominującej na świecie", tj. do opowiedzenia się po stronie Waszyngtonu. W takim potępieniu polityki, którą obrały władze w Pekinie, oczywiście ani razu nie wymawia się nazwiska Xi Jinpinga.

PROF. GERHARD ROTH,
NEUROBIOLOG I BADACZ MÓZGU

Wiemy już, że na rozwój naszej osobowości nie wpływają tylko geny ani tylko środowisko. O zachowaniu człowieka decyduje pięć kluczowych czynników. Pierwszym są mechanizmy epigenetyczne, w obrębie których następuje sprzężenie trzech kolejnych czynników – genów, przypadku i warunków prenatalnych, czyli kondycji i trybu życia matki w czasie ciąży, kiedy kształtuje się nasz temperament. Czwartym czynnikiem jest jakość życia w okresie niemowlęctwa i wczesnego dzieciństwa, a piątym – doświadczenia zbierane aż do osiągnięcia dorosłości.

Portret Marilyn Monroe Andy'ego Warhola stał się najdroższym dziełem sztuki XX w. Został sprzedany w domu aukcyjnym Christie's za rekordowe 195 mln dol. w zaledwie cztery minuty.

FOT. REUTERS/FORUM

Aby język giętki…

EWA WOYDYŁŁO-OSIATYŃSKA
O TYM, JAK ŻYĆ

W zgodzie ze sobą. Ten wytrych ma znaczenie.

BOGDAN BORUSEWICZ
O ZBIGNIEWIE ZIOBRZE

Gorszą opinię o nim niż ja miał Lech Kaczyński. Nie chciał się z nim spotykać. Oceniał go jako człowieka o nadmiernym ego, który robi zamieszanie.

PROF. RADOSŁAW MARKOWSKI
O WŁODZIMIERZU CZARZASTYM

Z facetem zmieniającym sweterki nikt nie chce się łączyć.

JERZY BACZYŃSKI
O TELEWIZJI PUBLICZNEJ

Donald Tusk jako premier ostentacyjnie lekceważył telewizję publiczną, jej polityczne wpływy, odmawiał spółce jakiegokolwiek dofinansowywania.

DOROTA NIEZNALSKA O DYREKTORZE MUZEUM SZTUKI W ŁODZI

Znam wypowiedzi i aktywność Andrzeja Biernackiego, to człowiek generujący nienawiść. Nie wiem, kto zechce z nim pracować.

ARTUR BALAZS O CENACH ŻYWNOŚCI

Tania żywność w Polsce przed wybuchem wojny w Ukrainie była zasługą zaledwie 3% dużych rolników, którzy dostarczali 75% żywności.

MARTA MANOWSKA
O POKAZYWANIU POMAGANIA

Nie rozstaję się z silikonową opaską na rękę z hasłem „Just do your job" (Po prostu rób swoje).

ALEKSANDRA DOMAŃSKA
O MARCINIE HAKIELU

Gość zdradza prywatne sprawy dotyczące kobiety, która jest matką jego dzieci. Dorośnij, koleś!

JAN ENGLERT
O BEACIE ŚCIBAKÓWNIE

Jeśli sobie coś zaplanuje, to musi nastąpić katastrofa, żeby tego nie zrealizowała. Obydwoje jesteśmy spod znaku Byka. Beata jest bardziej Byk niż ja.

eprasa.pl 7eed6e752a

MEMY BEZ ŚCIEMY

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Nie dla trampa te trampki

1850 dol. za trampki, które od swoich bazarowych odpowiedników różnią się głównie posiadaniem licznych rozdarć i zabrudzeń? Ponieważ mowa o nowym produkcie luksusowej marki Balenciaga, chętnych raczej nie zabraknie – prędzej rzeczonego obuwia, którego do sprzedaży trafiło zaledwie 100 par. – To nie czasy na takie wygłupy, choćby w kontekście katastrofy klimatycznej, która każe nam dbać i nosić nasze rzeczy jak najdłużej – skomentował Michał Zaczyński, ekspert rynku mody. Krytycznych głosów było dużo więcej, ale żyjący na naprawdę wysokiej stopie mogą nie zrozumieć, w czym problem…

Wszędzie dobrze, ale w biurze najlepiej

Brazylijczyk Walter Orthmann, który niedawno obchodził 100. urodziny, nie tylko jest nadal aktywny zawodowo, ale także bije kolejne rekordy długości pracy w jednej firmie. Mężczyzna już 84 lata jest członkiem zespołu przedsiębiorstwa produkującego tekstylia, ReneauxView. Jest tam dyrektorem ds. sprzedaży i musi być w tym dobry, gdyż piastuje to stanowisko od lat 50. Jak zapewne się domyślacie, zdrowie i umysł rekordzisty są bez zarzutu. Pewnie już planuje, co sobie kupi w 2028 r. za nagrodę jubileuszową!

Sześć tur i styka

W wybranych kurortach Majorki i Ibizy prawnie ograniczono liczbę wysokoprocentowych drinków serwowanych turystom w opcji *all inclusive* – do sześciu dziennie, po trzy do obiadu i kolacji. Władze Balearów chcą w ten sposób poprawić wizerunek wysp, które kojarzą się z ekscesami nietrzeźwych poddanych Elżbiety II. Zmian jest więcej, m.in. zakazano promocji typu *happy hours* i „dwa drinki w cenie jednego", a statki wycieczkowe nie mogą już się reklamować jako imprezowe. Walkę wydano nie tylko opilstwu, ale również skakaniu z balkonów i dachów bezpośrednio do basenu. Wszystko zgodnie z hasłem: turystyka tak, wypaczenia – nie!

Czy leciał z nimi pilot?

W USA kontroler ruchu lotniczego i pasażer wspólnie wylądowali jednosilnikową cessną 208, której pilot źle się poczuł. Szczęście w nieszczęściu, że ten pierwszy jest certyfikowanym instruktorem lotów (choć nigdy nie siedział za sterami wspomnianej maszyny), a drugi interesuje się awiacją. Dzięki precyzyjnym zdalnym wskazówkom kontrolera oraz mocnym nerwom i zdolności koncentracji jego nowego podopiecznego samolot został bezpiecznie posadzony na lotnisku w Palm Beach. Instruktaż i chęć szczera zrobią z ciebie bohatera!

Przeminął z wiatrami

Brazylijski piłkarz Marcelo Antônio Guedes Filho, w przeszłości gracz m.in. Wisły Kraków, wyleciał z Olympique Lyon (m.in.) za… puszczanie bąków. Dziennik „L'Equipe" ujawnił, że styczniowe ostateczne rozejście się dróg Marcela i francuskiego klubu, o czym zdecydowała jego legenda, pełniący obecnie funkcję dyrektora sportowego Juninho Pernambucano, wynikało z nieodpowiedniego zachowania obrońcy. Koronnym przykładem miało być „pierdzenie w szatni i śmianie się z tego z kolegami". Nawet jeśli był to tylko pretekst, by pozbyć się niechcianego zawodnika, smród pozostał.

eprasa.pl 7eed6e752a

Łatwiej przeskoczyć, niż obejść? Słoniątka w Parku Narodowym Kalawewa na Sri Lance.

…i tak to się kręci

Uniwersytet Duke'a w Durham w Karolinie Północnej wprowadził do cyklu nauczania przedmiot budowanie globalnej publiczności, potocznie nazywany kursem TikToka. Studenci i studentki nauczą się, jak tworzyć filmy, które zdobędą popularność, i jak uczynić z siebie rozpoznawalną markę. Dyplomowani tiktokerzy będą też umieli m.in. nawiązywać kontakty ze sponsorami i optymalizować tworzone treści pod kątem wyszukiwarek. Czekamy, aż dla szczególnie głodnych wiedzy (i sławy) powstanie Wyższa Szkoła Lajków.

Ciągnik potęgą jest i basta

Stworzona przez Ukraińców gra komputerowa umożliwia kradzież rosyjskich czołgów z wykorzystaniem traktora. Mowa o „Ukrainian fArmy", w której szukamy wozów bojowych wroga i staramy się jak najszybciej odholować je do naszego gospodarstwa, omijając miejsca, w których zaraz dojdzie do ostrzału artyleryjskiego. Produkcja jest darmowa, jednak jej autorzy apelują, by w zamian za cyfrową rozrywkę gracz wsparł Ukrainę datkiem na cele humanitarne. Zagrać nie zagrać, przelać warto.

FOT. PIS NA KSIĘŻYC, POLSKA ORKA POLITYCZNA, SEKCJA GIMNASTYCZNA (2), SOLENT NEWS/EAST NEWS

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz **e-mail:** p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz **e-mail:** r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Robert Walenciak **e-mail:** r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat **e-mail:** j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek **e-mail:** a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska **e-mail:** a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:
Sandra Zawadzka **e-mail:** s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 7eed6e752a

Bartek Sadowski, Protest NIE dla pseudowyroku! TK, wypierdalać, vol. 2, Wrocław, 2021

Adam Rzepecki, Ulica Byłych Więźniów Politycznych, 1980

POLITYKA
w sztuce

Relacja polityki i sztuki ma długą tradycję. Przez wieki częścią tego układu była też religia. Dzięki niej władcy i politycy mogli panować nad ludzkimi umysłami, zresztą nadal wspiera ona chętnie politykę. Demoralizuje to obie strony. O ile dawniej sztuka służyła umacnianiu władzy, obecnie często służy jej kontrolowaniu i podważaniu. Prace pogrupowane w sześć działów: Opór i protest, Podważanie systemów i granic, Demokracja i jej deprawowanie, Nacjonalizm, Unia Europejska, Medialność polityki, to krytyczne spojrzenie na działania rządzących. Politycy w imię ambicji, zachowania władzy i wykarmienia dyktatorskiego ego potrafią kłamać, manipulować. Polityka także zabija. Artyści przeciwstawiają się temu zarówno jako krytycy, jak i żołnierze.

MOCAK
Kraków, ul. Lipowa 4
do 26 lutego 2023 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Jerzy Bereś, Kolaska, 1968

Hubert Czerepok, Nigdy nie będziesz Polakiem!, 2007

eprasa.pl 7eed6e752a

STODOLA
MORCHEEBA
22 CZERWCA 2022
KLUB STODOŁA | WARSZAWA
BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOLA.PL ORAZ WWW.TICKETCLUB.PL
@KLUB.STODOLA
@KLUB.STODOLA

TARGI KSIĄŻKI W WARSZAWIE

NORWEGIA – GOŚĆ HONOROWY

Norwegia 2022 Warszawa

26–29 maja PKiN i plac Defilad

SOLIDARNI Z UKRAINĄ

targiksiazkiwarszawa.pl

- Targi Książki w Warszawie - wielkie święto książki i literatury
- Spotkania z gwiazdami literatury - kilkuset autorów z kraju i zagranicy
- Gość Honorowy - Norwegia - 50 wydarzeń i 30 norweskich twórców
- Stoisko m.st. Warszawy - Zaczytana Warszawa
- Festiwal Kryminalna Warszawa
- Dzień Reportażu z Nagrodą im. Ryszarda Kapuścińskiego
- Bogaty program dla dzieci i młodzieży

Organizator: Fundacja Historia i Kultura

Gość honorowy: NORLA Norwegian Literature Abroad; Ambasada Norwegii

Patronat honorowy: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego; Prezydent Miasta Stołecznego Warszawy; PAN; Biblioteka Narodowa

Partnerzy: Ambasada Ukrainy w Rzeczypospolitej Polskiej; Ukrainian Book Institute; zaKS; BookCloud; TR; Koleje Mazowieckie

Wydarzenia towarzyszące: PSK; FKW; Ojce i dzieci

Patronat medialny: Książki; wyborcza.pl; RMF Classic; interia; polsat news

eprasa.pl 7eed6e752a